

Edmund Niziurski

PRZYSTAŃ ESKULAPA

MON 1962

Rozdział I

- To było właśnie w tym pokoju - profesor Mistral otworzył drzwi do gabinetu i wpuścił nas przed sobą - pracowałem przy biurku jak zawsze o tej porze. Nagle trzasnęła szyba...

- Przepraszam - przerwał mu kapitan Trepka - czy pan potrafi dokładnie określić czas?

- Chyba tak - odrzekł profesor - jak już wspomniałem panom, zdarzyło się to po kolacji. Kolację jemy o godzinie ósmej. Gdy zegar wybił pół do dziewiątej, pierwszy zerwał się od stołu Michał, syn profesora Kasicy, i nastawił telewizor. O tej godzinie miał być nadany reportaż filmowy z zawodów żużlowych Polska-Szwecja. Zaraz potem zjawili się jego dwu kolegów i razem siedli przy aparacie. Było to hałaśliwe widowisko, które bardzo przeszkadzało mi w pracy, mimo że, jak panowie widzą, drzwi mojego gabinetu są dodatkowo izolowane wołokowym materacem. Reportaż miał trwać do dziewiątej. Ponieważ w chwili wypadku trwał wciąż jeszcze, sądzę, że wypadek miał miejsce kilka minut przed dziewiątą, chociaż nie spojrzałem wtedy na zegarek.

- Doskonale - powiedział zadowolony Trepka.

Wiedziałem, że lubi mieć do czynienia z ludźmi wyrażającymi się rzeczowo i ściśle, a pod tym względem profesorowi nie można było nic zarzucić.

Podeszliśmy do okna. W lewym skrzydle, niemal dokładnie w lewym dolnym rogu szyby, widać było okrągłą dziurę wielkości ziarna grochu. Aczkolwiek szyba popękała od tego miejsca promieniście, to jednak trzymała się mocno ramy. Trepka przypatrywał się jej uważnie przez chwilę.

- Czy znalazł pan ten, jak pan przypuszczał, kamyk?

- Niestety, nie. Chociaż przyznam się panom, że byłem zbyt zdenerwowany, żeby szukać metodycznie.

- Dlaczego nie zawiadomił pan natychmiast milicji?

- Sądziłem, że to wybryk jakiegoś łobuza z procą. Na naszej ulicy są chłopcy specjalizujący się w strzelaniu do ptaków. Dopiero nazajutrz przy śniadaniu panna Stor, moja laborantka, zwróciła mi uwagę, że to mógł być strzał z broni palnej i poradziła na wszelki wypadek zawiadomić komisariat. Szczerze mówiąc, wahałem się; nie lubię tego rodzaju spraw. I zadzwoniłem tylko do mojego brata, adwokata, zostawiając mu wolną rękę w tej sprawie. No i okazało się, że Grzegorz zawiadomił pana, kapitanie.

- Pan Grzegorz Mistral jest moim dobrym znajomym - powiedział Trepka oglądając z zainteresowaniem książki na regałach pod ścianą - kiedyś pracowaliśmy z sobą. No, ale wracając do sprawy, niech pan nam powie, profesorze, co pan zrobił bezpośrednio po wypadku?

- Byłem zdenerwowany i, doprawdy, nie bardzo wiedziałem, co mam zrobić. Zdawałem sobie sprawę, że nie zdołam schwytać sprawcy. Pan rozumie... wieczór, ciemności, ulica słabo oświetlona. Zresztą miałem wątpliwości co do samego charakteru wypadku. Czy to był przypadek, czy umyślny wybryk? A jeśli wybryk, to czy z pustoty, czy też z zemsty? Natarłem kiedyś uszu tym smarkaczom za tłuczenie butelek na jezdni, więc...

- Jednym słowem, nie ruszył się pan zza biurka - przerwał mu Trepka.

- No, nie - rzekł zażenowany profesor - potem otworzyłem okno i wyjrzałem, ale nic nie zobaczyłem.

- Ja myślę - mruknął Trepka. - To była zresztą lekkomyślność. I co dalej?

- Wyszedłem do hallu - ciągnął profesor. - Michał Kasica siedział wciąż z kolegami przy telewizorze. Zapytałem ich, czy co słyszeli. Odpowiedzieli, że nie. Zajrzałem do ogrodu,

ale nie podejrzanego nie zauważyłem. Nie chcąc robić zamieszania, nie wspomniałem już nikomu więcej o wypadku i wróciłem do siebie.

- Więc nie sprawdził pan nawet, czy ktoś z pana współmieszkańców opuszczał w tym czasie dom względnie kogo tego wieczoru w domu nie było?

- Nie sprawdziłem.

- Szkoda.

- Nie przyszło mi nawet do głowy, że to mógłby zrobić ktoś z domu. U nas nie ma dzieci.

- Dzieci... dzieci... - powtórzył zdenerwowany kapitan - dajmy już spokój dzieciom. Tu nie ma żadnych wątpliwości. Ktoś strzelał do pana. To jest otwór po kuli.

- Myśli pan? - W oczach profesora więcej było zdziwienia niż strachu. - Czy jest pan tego pewien?

W odpowiedzi Trepka schylił się nad książkami w dolnym rzędzie półek, chwilę jakby czegoś szukał, a potem w milczeniu zaczął przerzucać książki jedną po drugiej. Wreszcie wyciągnął tę właściwą.

- Niech pan spojrzy - powiedział podając profesorowi oprawny w płótno tom zatytułowany „Leukaemia” z okrągłą dziurką w grzbiecie. - Miał pan szczęście - dodał wodząc wzrokiem po linii od okna do fotela przy biurku, a potem aż do dolnego rzędu książek w bibliotece - jeszcze dwa, trzy centymetry, a miałby pan taką samą ładną dziurę w brzuchu.

Ta pogładowa lekcja zrobiła na profesorze, wrażenie. Zbladł, a jego palce zacisnęły się nerwowo na krawędzi biurka.

Tymczasem Trepka wyjął flegmatycznie jeszcze kilka książek z półki, po czym umiejętnie wyłuskał z tylnej ściany regału mały metaliczny przedmiot.

- Oto właśnie ten kamyczek niegrzecznych chłopców z ulicy - rzekł z westchnieniem pokazując nam na dłoni kulkę.

- Więc to jednak prawda - szepnął profesor - strzelano do mnie. Ale kto?! Dlaczego?!

Trepka zignorował te pytania. Wyciągnął z kieszeni pudełko od zapalek wypełnione watą i umieścił w nim kulkę.

- Broń małokalibrowa - mruknął.

- Szóstka - dodałem.

- Tak, przypuszczalnie pistolet kalibru 6,35 - powiedział zamyślony. - Bardzo ciekawa historia. Czy zwróciłeś uwagę, Pawełku, na kąt padania pocisku?

- Zdaje się, że był oddany z dość wysoka - odpowiedziałem.

- Tak jest - skinął głową kapitan - strzał został oddany ze zdumiewającej wysokości.

- Dlaczego? Po czym pan sądzi? - zapytał nerwowo profesor.

- Niech pan spojrzy, profesorze - Trepka wskazał na półkę, skąd wydobył przestreloną książkę. - Pocisk utkwił wyraźnie poniżej tej wysokości, na której widzimy dziurę w szybie. Dziura w szybie znajduje się mniej więcej na wysokości metra od podłogi. Dodajmy do tego wysokość podmurówki, a łatwo obliczyć, że strzał został oddany licząc na oko co najmniej z wysokości trzech metrów nad ziemią, mówię około, bo to zależy, czy napastnik stał dalej, czy bliżej od okna.

- Trzech metrów... - powtórzył profesor - jak pan to sobie wyobraża, kapitanie? Nie myśli pan chyba, że ktoś stanął na podmurówce?

- Nie, to wykluczone - odparł Trepka - sądząc po braku osmaleń od sadzy na szybie, które musiałyby wystąpić, gdyby strzał był oddany z tak bliska, oraz po stosunkowo słabej sile pocisku - strzał został oddany z dość daleka. Przypuszczam, z jakichś dwudziestu metrów co najmniej.

- Na przykład... z płotu - wtrąciłem.

- Albo z tego drzewa - kapitan pokazał jabłoń naprzeciwko okna.

- Z drzewa? Ależ to po prostu śmieszne! - zawołał profesor.

- Być może - mruknął Trepka. - Czy nie moglibyśmy teraz rozejrzeć się trochę po ogrodzie?

Ogród o tej porze przedstawiał smutny widok. Była dopiero połowa kwietnia i liście na drzewach jeszcze się nie zdążyły rozwinąć. Tylko trawniki pokrywała już świeża zieleń. Trepka skierował się od razu w stronę jabłoni stojącej na przypuszczalnej linii strzału. Kilka metrów dalej człowiek w ochronnym kombinezonie i okularach stał na drabinie i opryskiwał sąsiednią jabłoń za pomocą specjalnego aparatu.

- Czy przypadkiem ta drabina nie stała wczoraj pod tym drzewem? - Trepka pokazał na jabłoń naprzeciw okna.

- To bardzo możliwe - powiedział profesor - nie zwróciłem na to uwagi, ale to bardzo możliwe. Mogę zapytać Kotowskiego - obrócił się do człowieka z aparatem. - To brat naszej gospodyni, zajmuje się u nas ogrodem.

- Zbyteczne - Trepka pokazał na charakterystyczne ślady w trawie. - Ta drabina na pewno tu stała.

Pochyleni nad ziemią uważnie przeszukiwaliśmy trawnik metr po metrze. Wreszcie znalazłem to, o co nam chodziło. Łuskę od kuli.

- No, bardzo ładnie jak na początek, Pawełku - mruknął do mnie Trepka otrzepując rękę. - Więc strzał został oddany stąd, a ściślej mówiąc, z drabiny. Bardzo ciekawy wypadek. Należałoby teraz ustalić, którądy zamachowiec uciekł. Mógł uciec przez furtkę, na ulicę. Furtka, jak zauważyłem, nie jest zamykana ani na klucz, ani na zatrzask, czyż tak, profesorze?

- Istotnie, nie jest zamykana. Kiedyśmy się tu sprowadzili, już taka była i dotąd jakoś nie sprawiliśmy zamka.

- Nie sprawili państwo zamka... no cóż, zdarza się. A więc napastnik mógł uciec przez tę furtkę. Widzę jednak tutaj niedaleko drzwi. Co to za drzwi, profesorze?

- To drzwi od kuchni.

- A więc mógł również zbiec przez te drzwi, o ile jest mieszkańcem domu, co też musimy brać pod uwagę. Wracajmy teraz do domu. Chciałbym zadać panu kilka pytań, profesorze.

Rozsiadłszy się wygodnie w fotelach milczeliśmy przez chwilę.

- No i co pan o tym wszystkim sądzi? - zapytał wreszcie zmęczonym głosem profesor.

- Bardzo śmieszna historia.

- Śmieszna? - Mistral zdumiał się. - Czy zamach na czyjeś życie może być śmieszny?

- Jest to raczej bardzo dziwaczna historia - powiedział Trepka. - Czy pana nie zastanowiło, że gdyby pana chciał ktoś sprzątnąć, zrobiłby to chyba trochę inaczej?

- Nie rozumiem...

- Zdumiewa mnie, profesorze, nieskuteczność działania przestępcy. Strzelać z odległości blisko trzydziestu metrów, w nocy, małokalibrowym pistoletem, to znaczy strzelać na chybił trafił. To był niepoważny zamach, zakrawający raczej na głupi żart.

- Żart, ależ kapitanie! - Profesor był wyraźnie rozżalony na Trepkę. - Nie żartuje się chyba strzelając do ludzi.

- Ma pan rację - skinął głową Trepka. - Nie żartuje się strzelając do ludzi. W każdym razie normalny człowiek tego nie czyni. Ale też nie to miałem na myśli mówiąc, że zamach był niepoważny. Miałem na myśli, że w tym przypadku chodziło o coś innego niż o pozbawienie pana życia.

- O cóż więc chodziło zamachowcy? - zapytał zaskoczony profesor.

- O to właśnie chciałem pana zapytać.

- Mnie? A skądże ja mogę wiedzieć!

- Czy pan ma jakichś osobistych wrogów?

- Wrogów? Nie... nie sędzę. - Mistral zastanowił się chwilę - oczywiście, jak każdego człowieka, jedni darzą mnie sympatią, inni raczej nie... ale że nikt nie ma powodów, żeby do mnie strzelać, to na pewno.

- Czy nie naraził się pan komuś?... Może jakiemuś współpracownikowi czy studentowi?

- Nie... nic takiego nie może wchodzić w rachubę. Nigdy nie miałem z nikim poważniejszej scysji. Pan myśli, że ktoś z zemsty chciał minie postraszyć?... Nie, to śmieszne!

- A czy nie wywierano na pana jakichś nacisków w związku z pana pracą?

- Nacisków?... Nie rozumiem.

- Pan pracuje naukowo.

- Tak. Jak pan wie, jestem hematologiem...

- Może ktoś składał panu propozycje w związku z pana pracą, chciał od pana uzyskać jakieś naukowe dane?

Profesor był wyraźnie zażenowany.

- Nie, nie spotkałem się z niczym takim. To jakieś reminiscencje z rozgrywek na polu techniczno-naukowym, kapitanie. W świecie lekarskim te rzeczy nie zdarzają się, na szczęście.

- Czy nie otrzymał pan jakichś listów lub telefonów coś nakazujących lub zakazujących?

Mistral się roześmiał.

- Pan myśli o szantażu? Nie, daję słowo, nic takiego mnie nie spotkało. Muszę panu zresztą z góry powiedzieć, że nie mam żadnego majątku. Pan wie, jaka jest dzisiaj pozycja pracownika nauki.

Trepka chrząknął nieco zakłopotany.

- Jednym słowem, nie może pan wytłumaczyć przyczyn tego dziwnego zamachu?

- W żaden sposób. - Mistral podszedł do ściennej szafki i wyciągnął francuski koniak - to chyba dzieło szaleńca. Mam przyjaciela, psychiatrę, profesora Jasztyna, który sypie jak z rękawa opowiastkami o kryminalnych wyczynach swoich pupilów.

- Zostawmy więc ma razie ten temat - powiedział Trepka. - Kto mieszka w tym domu?

- O, cała kupa osób - powiedział profesor nalewając kieliszki. - Więc przede wszystkim profesor Kasica, dyrektor naszego instytutu, następnie jego syn Michał, świeżo upieczony lekarz, dalej asystenci profesora Kasicy: doktor Zapłon i doktor Protoklicka, mój asystent, doktor Jonasz, i panna Stor, laborantka. Oprócz personelu naukowego mieszka jeszcze w pokoiku służbowym koło kuchni panna Kotowska, nasza gosposia.

- Pan z nimi rozmawiał o wypadku?

- Tak. Wspomniałem o tym przy śniadaniu.

- I co?

- I nic. Wszyscy w tym czasie byli w domu, ale nikt nic nie widział ani nie słyszał.

Przepraszam, pani Kotowskiej nie było wtedy w domu. Wyszła do sąsiadki i wróciła dopiero po dziesiątej.

- No cóż - rzekł Trepka.- pozostaje nam jeszcze obejrzeć dom.

- Co to panu da?

- To taka formalność - westchnął Trepka.

Poruszaliśmy się swobodnie po willi, gdyż Trepka umawiając się z profesorem wybrał taką porę, by nikogo w domu nie było. Budynek miał dwa piętra. Na parterze znajdował się hall, z którego jedne drzwi prowadziły do małej biblioteki, a drugie do pokoju profesora Mistrala. Z hallu przez oszklone drzwi wychodziło się na klatkę schodową. Stąd można było skręcić w prawo, w drzwi do kuchni. Za kuchnią mieścił się jeszcze pokoik służbowy gospodyni. Na pierwszym piętrze było podręczne laboratorium oraz trzy pokoje zajęte przez profesora Kasicę z synem. Koło laboratorium znajdował się również pokoik panny Stor. Trzecie piętro zajmowali asystenci: doktorzy Zapłon, Jonasz i Protoklicka.

- To mi przypomina falanster Fouriera - zażartował Trepka, gdy schodziliśmy na dół.
- Istotnie - uśmiechnął się profesor - złośliwi nazywają nas kibucem. To prawda, zajmujemy się tą samą pracą i mieszkamy pod jednym dachem, ale bynajmniej niecałkowicie dobrowolnie. To raczej konieczność gospodarcza. Po przeniesieniu z Wrocławia instytut nie mógł znaleźć mieszkań dla pracowników naukowych. Ostatnio dzięki pewnej autonomii budżetowej udało nam się zakupić na ten cel dwie wille. Jedną tutaj, a drugą w Piasecznie. Tę drugą traktujemy jako dom wypoczynkowy, choć i tam założyliśmy małe laboratorium, żeby móc kontynuować nasze badania. Kiedyś po zagospodarowaniu „Przystań Eskulapa” będzie całkiem przyjemną posiadłością.

- „Przystań Eskulapa”? - zdziwił się Trepka.

- Ochrcziliśmy obie wille. Oczywiście nieoficjalnie i trochę żartobliwie. Ta tutaj nazywa się „Izolotka”, nie wiem, czy bardzo trafnie, a tamta w Piasecznie „Przystań Eskulapa”. W rzeczywistości jednak noszą one bardzo prozaiczne nazwy: „Domy Drugiego Instytutu Hematologii Doświadczalnej: nr I i nr II”.

- Tak, to ciekawe - zamruczał z roztargnieniem Trepka, pogrążony w jakichś myślach. - Do tej willi prowadzą dwa wejścia, czy nie, profesorze?

- Tak jest. Od ulicy mamy wejście główne do hallu przez taras, a od ogrodu boczne, prowadzące do kuchni.

- Czyli że na klatkę schodową można się dostać bądź z hallu przez te oszklone drzwi, bądź przez kuchnię.

- Tak jest

Trepka naszkicował plan i przyglądał mu się badawczo.

Profesor Mistral spojrzał zdziwiony.

- Dlaczego to tak pana interesuje?

- Pan mówił, profesorze, że po wypadku wyszedł pan do ogrodu. Nie powiedział nam pan jednak, którymi drzwiami: głównymi czy przez kuchnię?

- Głównymi.

- Głównymi? - zapytał Trepka. - Dlaczego? Wydaje mi się, że przez kuchnię miał pan bliżej. Strzał padł przecież od strony ogrodu, a do ogrodu prowadzą drzwi przez kuchnię.

- Owszem, pan ma rację - rzekł Mistral nieco zmieszany. - Chciałem wyjść przez kuchnię, ale drzwi z hallu były zamknięte.

- Te szklane drzwi na klatkę schodową?

- Tak. Były zamknięte na klucz. Zawróciłem więc i wybiegłem wyjściem przez taras.

- Zamknięte na klucz, mówi pan - Trepka zmarszczył brwi. - Czy te drzwi zwykle bywają zamknięte?

Mistral wydawał się zaskoczony pytaniem.

- No, nie... raczej nie... - odpowiedział niepewnie.

- Co pan rozumie przez to „raczej”?

- To, że o tej porze nie powinny być zamknięte. Panna Kotowska zamyka je dopiero o dziesiątej.

- Czy to pana nie uderzyło?

- Nie zastanawiałem się nad tym.

- Jak pan sądzi, kto mógł zamknąć te drzwi?

- Nie mam pojęcia.

Trepka milczał chwilę.

- Pan wspominał, że panny Kotowskiej nie było w tym czasie w domu...

- Istotnie. Nie było jej.

- ...i że telewizor bardzo hałasował - mruknął Trepka pod nosem.

Nie zadawał już więcej pytań i na tym zakończyliśmy naszą wizytę.

Rozdział II

Dwa dni później Trepka przyjmował wstępne meldunki podwładnych. Pierwszy pojawił się podporucznik Filip, który przesłuchiwał mieszkańców „Izolatki”. Wyznaczenie Filipa do tej funkcji miało swoją wymowę. Trepka nieraz załamywał ręce nad kwalifikacjami Filipa, skoro więc właśnie jemu zlecił przebadanie tych ludzi, widać nie przywiązywał do tej części śledztwa specjalnej wagi. Istotnie, protokoły, które przedłożył Filip, były przerażająco nudne i nie wnosiły do sprawy nic nowego. Wszyscy byli zaskoczeni zamachem na profesora Mistrała i nikt nic nie widział ani nie słyszał, gdyż rzekomo znajdowali się w swoich pokojach, pochłonięci pracą. Poza tym zbyt głośny i hałaśliwy reportaż telewizyjny miał zagłuszać wszystko. Kategorycznie i ze świętym oburzeniem odrzucano podejrzenie, że strzelać mógł ktoś z mieszkańców. Współlokatorzy zgodnie utrzymywali, że łączą ich z profesorem Mistralem jak najbardziej poprawne stosunki. A jednak pozostawała sprawa zamkniętych na klucz drzwi! Nikt nie przyznał się, że je zamykał, i to było niepokojące, bo przecież ktoś musiał to zrobić. Co do Kotowskiej, to zeznała, że do jedenastej była w maglu i podawała świadków, mogących to potwierdzić. Istotnie, dziewięć wskazanych przez nią niewiast łącznie z właścicielką magła, niejaką panią Packo, potwierdziło to bez wahania, gdyż pani Kotowska była dobrze znana w tym towarzystwie z powodu nieprzeciętnego talentu do obmawiania bliźniego swego. Ta sama Kotowska w kwestii zamkniętych drzwi oświadczyła, że owszem, chciała je zamknąć przed snem, jak to codziennie robi, ze zdumieniem stwierdziła jednak, że drzwi są już zamknięte. Ale nie rozmyślała dłużej nad tym faktem sądząc, że zamknął je ktoś z domowników.

Zdziwiłem się, gdyż Trepka wydawał się zadowolony z relacji Filipa. Dobrego nastroju kapitana nie zdołały popsuć nawet następne, równie niezbyt pocieszające raporty. Broni, z której pochodził krytyczny pocisk, nie znaleziono i nawet nie wiadomo, gdzie jej szukać. Nie zdołano także zebrać obszerniejszego materiału informacyjnego o mieszkańcach „Izolatki”.

Jak zaraportował sierżant Żaczek, cały zespół dopiero od roku mieszka w Warszawie po przeniesieniu się z Wrocławia i wywiady należało przeprowadzić raczej w tamtym mieście. Jeśli chodzi o opinie warszawskie, to były jak najlepsze, zarówno pod względem zawodowym, jak moralnym, wyjąwszy może doktora Zapłona, któremu przypisywano nadużywanie napojów alkoholowych, oraz Michała Kasicy. Ten karany był wielokrotnie za naruszanie przepisów ruchu drogowego i pewne ekstrawagancje, jak na przykład kąpiele w stawie w Łazienkach, udawanie trupa na ulicy i zamieszczanie nieprzyzwoitych ogłoszeń na słupach ulicznych. Był także wyłowiony przez milicję rzeczną z Wisły na wysokości Siekierok.

„Ma chłopak szczęście - pomyślałem - że spędził ten krytyczny wieczór przy telewizorze i posiada alibi, bo inaczej ciężko byłoby mu się wybronić z taką hipoteką.”

- No i co, Żaczek, to wszystko? - Trepka układał w teczce notatki.

- Jest jeszcze tylko to - sierżant przedłożył Trepce wycinek z gazety.

„W dniach od 26 do 30 kwietnia br. odbędzie się w Tokio I Światowy Kongres Hematologów. Polski świat nauki reprezentować będzie profesor doktor Szymon Mistral.”

- A, to ciekawe! - poruszył się Trepka. - Profesor nie wspominał nam o tym.

Następnego dnia kapitan Trepka poprosił profesora Mistrała do Komendy.

- Przesłuchaliśmy pańskich współmieszkańców, kolegów i współpracowników, profesorze - powiedział bez wstępu - i przynajmniej wiemy teraz, czego się trzymać.

- Mianowicie?

- Zdaje się, że mało zaryzykuje, jeśli powiem, iż zamachu dokonał ktoś z nich, to znaczy z mieszkańców „Izolatki”.

- Wybacz pan, ale określe to jednym słowem - odparł szybko profesor - absurd!

Trepka nie podjął jednak dyskusji, lecz przeprosiwszy profesora znikł za parawanem, by oddać się czynnościom zaparzania herbaty, co zwykł był czynić w najbardziej niespodziewanych chwilach.

- To absurd, poruczniku - powtórzył profesor zwracając się do mnie. - Znam wszystkich moich współlokatorów. Są to ludzie normalni. Nie mogę sobie w żaden sposób wyobrazić, by ktoś z nich wdrapał się na drabinę, aby urządzić sobie nonsensowne ćwiczenia w strzelaniu do mojego okna.

Skinąłem głową. Ja sam byłem zaskoczony ryzykowną diagnozą Trepki. Oczywiście był w tej sprawie pewien zadziwiający zbieg okoliczności wybitnie ułatwiających dokonanie zamachu, a przede wszystkim te zamknięte na klucz drzwi. Można było sobie wyobrazić, że sprawca zamknął je umyślnie, by uniemożliwić profesorowi lub innej zaalarmowanej osobie wyjście do ogrodu przez kuchnię, a tym samym zapewnić sobie bezpieczny odwrót klatką schodową na górę.

Wszystko to jednak wydawało mi się mocno niewystarczające i dziwiłem się, że Trepka tak lekkomyślnie wystawia swój autorytet na szwank. Nie widziałem motywu tego zamachu, a sposób jego przeprowadzenia wydawał mi się dziwaczny. Czyżby przestępca strzelał na postrach? Lecz profesor kategorycznie odrzucił tę możliwość twierdząc, że nikt nie miał powodu go straszyć. Chyba że profesor nie był z nami szczery i ukrywał motyw. Lecz jego zachowanie przeczyło temu posądzeniu. Mistral traktował całą rzecz o wiele mniej poważnie niż Trepka. I to była normalna reakcja człowieka, który nie czuje się zagrożony. Gdyby go szantażowano, gdyby się kogoś obawiał, z pewnością reagowałby inaczej.

Tymczasem Trepka wrócił z dymiącym czajnikiem i mimo oporu profesora skłonił go do skosztowania zielonej herbaty, którą pijał systematycznie od czasu swego pobytu w Chinach.

Profesor, choć skrzywił się z niesmakiem po pierwszym łyku, bohatersko popijał dalej. Trepka przez chwilę zachował milczenie i tylko jego małe oczka przyglądały się badawczo profesorowi.

- Przemyślałem tę sprawę, profesorze - powiedział wreszcie - i powiem panu otwarcie, że wcale mi się ona nie podoba. Czuję zagrożenie niejasne i nieokreślone, ale realne. Ta sprawa nie jest tak absurdalna, jak nam się z początku wydawało.

- Daruje pan, ale ja nie widzę żadnego rozsądnego wyjaśnienia tego zamachu - rzekł z przekonaniem profesor.

- Jest jedno - powiedział Trepka odstawiając herbatę.

Profesor spojrzał na niego zaskoczony.

- Jest jedno - powtórzył Trepka. - Próba. Próba generalna.

- Próba! - wykrzyknął profesor. - Czego?

- Sprawności... nerwów, pańskiej i naszej reakcji, jednym słowem, wszystkiego, czego potrzebują zbrodniarze, by wykonać swój plan.

- To śmieszne.

- Nie. To niebezpieczne. Nie chciałbym pana straszyć, ale należy się liczyć z powtórzeniem zamachu i obawiam się, że tym razem już całkiem na serio.

Profesor chciał gwałtownie zaprotestować, ale opanował się i zapytał z wymuszonym spokojem:

- Po czym pan sądzi, na jakiej podstawie?...

- Niech pan się zastanowi - rzekł cicho Trepka. - W tym zamachu jest wszystko obmyślane prócz ostatniego aktu. Wygląda tak, jakby ktoś inteligentnie, prosto i pomysłowo przygotował zabójstwo, zabrakło mu jednak chęci doprowadzenia go do skutku. Zupełnie jak na manewrach. Jest wszystko: przeciwnik, broń, plan operacji, różne przemyślenia taktyczne, atak, tylko że przeciwnika się nie zabija, bo to była tylko generalna próba własnych możliwości.

- Ależ, kapitanie - wykrztusił profesor - pan chyba żartuje. To są makabryczne fantazje. Któż się bawi w próby zabójstwa?

- Nie wiem - westchnął Trepka - widocznie jest ktoś taki. I to jest mu do czegoś potrzebne. Ja tylko wyjaśniłem fakt.

- Ależ to nic nie wyjaśnia! Niech się pan zastanowi! Po co miałby ktoś na mnie przygotowywać zamach?

- Wciąż o tym myślę - powiedział Trepka - a pan mi nie chce pomóc. Czy naprawdę nikt nie skorzystałby na pana śmierci?

- Nikt. Nie mam żadnego majątku. Jestem bezdzietny i nieżonaty, a jedynym moim spadkobiercą jest mój brat Grzegorz, którego pan chyba nie podejrzewa. Zresztą, powtarzam, odziedziczy po mnie tylko to, co mam na sobie. Wszystko inne, łącznie z większością książek i samochodem, którym jeżdżę, jest własnością instytutu.

- Pan, zdaje się, wyjeżdża za kilka dni do Tokio? - zapytał nagle Trepka.

- Istotnie! - Profesor wydawał się nieco zmieszany.

- Pan nam nie powiedział o tym.

- Nie przypuszczałem, że to może mieć jakiegokolwiek znaczenie w tej sprawie. Jadę na zjazd hematologów.

- Jaka tam będzie pana rola?

- Raczej skromna... referat sprawozdawczy, to chyba wszystko.

- Kiedy pan odlatuje?

- We wtorek, po świętach, do Kopenhagi, a stamtąd już bezpośrednio.

- Linią SAS nad biegunem?

- Tak. Przez Alaskę.

- Dzisiaj mamy środę, a więc za sześć dni... - mruknął Trepka. - Przez te sześć dni radzę się mieć na ostrożności.

- Ależ, kapitanie, doprawdy zdaje mi się, że pan sobie po prostu żartuje!

- Nie. Niech pan zaufa memu doświadczeniu - rzekł Trepka - zaczęła się niebezpieczna gra. Najgorsze, że nie wiemy o co. Nie znamy ani jej partnerów, ani reguł, ani stawki. Jest to gra w ciemno.

- Cóż więc mam robić? - rzekł starając się panować nad sobą profesor.

- Przede wszystkim mieć do nas zaufanie. Byłoby niewybaczalnym, tragicznym błędem, gdyby pan przemilczał cokolwiek, co ma choć trochę wspólnego z tą sprawą. Choćby się to panu zdawało mało ważne.

- A ponadto?

- Niebezpieczeństwo grozi panu od wewnątrz - rzekł Trepka. - Powiem panu szczerze. Walczą we mnie dwie dusze: dusza milicjanta i dusza człowieka. Milicjant wolałby, żeby pan przez te dni nigdzie nie wyjeżdżał, bo chciałby schwycić zbrodniarza i w tym celu rad by pana użyć w mało przyjemnej roli przynęty. Lecz to jest niebezpieczna zabawa i dlatego, jako człowiek, po przyjacielsku radzę panu usunąć się, zniknąć na te sześć dni.

- Dziękuję panu - Mistral uśmiechnął się krzywo. - Myślę, że raczej ułatwię panu rolę milicjanta, źle bym się czuł w roli uciekiniera.

- A jednak radziłbym wyjechać gdzieś incognito, nie podając kierunku. - Nalegałbym na to!

- To niemożliwe. Muszę przygotować się do zjazdu. Poza tym prowadzę pewne prace laboratoryjne, które wymagają ciągłego wglądu.

- Więc pana decyzja pozostania w Warszawie jest nieodwołalna?

- W Warszawie? Nie. Wybieram się na święta do „Przystani Eskulapa”. Jeśli to pana pocieszy, to powiem panu, że jest to prawdziwa twierdza otoczona murem na trzy metry. Nazywamy ją „fortem na pustyni Colorado”. Przejeliśmy ten obiekt 2 rąk przemysłu

mięsnego. Były tam jakieś laboratoria. Ci panowie od mięsa umieli zabezpieczać swoją skórę. Wątpię, czy tam odważy się ktoś strzelać do mnie.

- Pan jest bardzo odważny, profesorze.

- Poza tym - ciągnął profesor - powiem szczerze. Nie przekonał mnie pan. Nie odpowiada mi pańska hipoteza, kapitanie. Pan niedwuznacznie postawił w stan oskarżenia moich kolegów. Gdyby to zrobił ktoś inny, poczytałbym to za obrazę. Ale pan jest milicjantem, zawodowym łapaczem i dlatego składam to, co pan powiedział, na karb waszego milicyjnego pesymizmu i staram się pana zrozumieć. No cóż, życie w świecie występku i zbrodni, macie skrzywione proporcje, dla was każdy jest zdolny do zbrodni, jak do zjedzenia bułki.

Trepka przełknął spokojnie tę gwałtowną filipikę.

- W takim razie, profesorze, nie pozostaje nam nic innego, jak jechać z panem do tej twierdzy.

- Jechać?! - powtórzył zaskoczony profesor. - Jak pan to sobie wyobraża?

- Całkiem po prostu. Pan nas zaprosi do siebie w charakterze swoich prywatnych gości. Znajdziemy jakiś pretekst. Na przykład starzy koledzy broni. Co pan robił w czasie wojny?

- Byłem w Anglii.

- Doskonale! Polegamy w zupełności na pana twórczej wyobraźni i postaramy się sprostać historycznej roli, którą nam pan wyznaczy.

- Ależ...

- Możemy być na przykład bohaterami z dywizjonu 303, których pan poznał w szeregach RAF podczas wojny i którzy przybyli odwiedzić pana w ojczyźnie.

- Nie służyłem w RAF - wykrztusił profesor - pracowałem całą wojnę w szpitalu. Nigdy nie byłem lotnikiem.

- Nie szkodzi. My za to możemy być lotnikami.

Mistral spojrzał na Trepkę ciężkim wzrokiem, ale nic nie powiedział.

Dopiero gdy odprowadzałem go do bramy, zwierzył mi się ze swych wątpliwości.

- Bardzo pana przepraszam, pan wybacz, ale kapitan nie robi na mnie wrażenia poważnego człowieka. Nie przypuszczałem, że macie takich ludzi w milicji. Choć może nie rozgryzłem go jeszcze. To albo geniusz, albo...

- Zaręczam panu, że geniusz - przerwałem mu pośpiesznie.

O piątej, jak zwykle w środę, udałem się na basen. Byłem właśnie pod tuszem, kiedy poproszono mnie do telefonu. Dyżurny oficer wzywał mnie do Komendy. Podobno znaleziono pistolet. Pojechałem bez zwłoki. Gdy znalazłem się w pokoju dyżurnego, pokazano mi pudełko po proszku do prania i pakunkowy papier.

Spojrzałem zdziwiony.

- Prowadzicie sprawę Mistrala? - zapytał dyżurny.

- Tak jest.

- To dla was. Nadesłano pocztą.

- Miał być pistolet?

- Jest w pudełku.

Istotnie w pudełku leżał pistolet. Ująłem go za lufę. Kaliber 6,35. U rękojeści dyndała przyczepiona sznurkiem, jakby do jakiegoś eksponatu, kartka. Obejrzałem ją ciekawie. Na kartce naklejono wycięte z gazety litery, które tworzyły słowa: „Eksponat do muzeum milicji”, a pod spodem: „Tą bronią marki Kommer 6,35 uwolniłem świat od Szymona Mistrala. Niech żyje postęp!”

Przesyłka owinięta była w zwyczajny papier pakunkowy, na który naklejono znaczki pocztowe oraz adres Komendy Głównej, również złożony z wciętych drukowanych liter. Stempel pocztowy wskazywał urząd nr 10, a więc pocztę na placu Konstytucji.

Spokojnie zrobiłem, co w takich wypadkach zrobić należało. Wysłałem sierżanta Żaczka do urzędu pocztowego nr 10, oddałem pistolet do ekspertyzy rusznikarskiej i daktyloskopijnej oraz zawiadomiłem Trepkę.

Późnym wieczorem mieliśmy pierwsze wiadomości. Sierżant Żaczek zjawił się z nieco zawiedzioną miną.

- Przesyłka nie została nadana, lecz znaleziona - zameldował.

- Co takiego? - Trepka uniósł się znad biurka.

- Znalazła ją sprzątaczką we wtorek wieczorem pod ławką i dała kierownikowi.

Ponieważ znaczki były naklejone, wyekspediowano paczkę pod wskazany adres.

Kto ją podrzucił, nie zdołano stwierdzić.

Jeśli chodzi o dalsze meldunki, to ekspertyza rusznikarska potwierdziła, że znaleziony przez nas pocisk i łuska pochodzą z nadesłanego pistoletu marki Kommer, kaliber 6,35.

Natomiast daktyloskopiści nie znaleźli na pistolecie żadnych odcisków palców.

- Jak myślisz, jaki cel mogła mieć ta przesyłka? - zapytał mnie Trepka.

- Są trzy możliwości, kapitanie - rzekłem po chwili zastanowienia. - Albo mamy do czynienia z rzeczywistym wariatem, albo z dowcipnisiem, co chciał się popisać brawurą i wątpliwym humorem, albo...

- Albo? - podchwycił Trepka.

- Albo to jest z góry ukartowane posunięcie niebezpiecznego ptaszka, który chciał robić wrażenie kogoś, kim nie jest w rzeczywistości. Ale myślę, że na to nas nie nabierze.

- Masz rację, Pawełku - rzekł Trepka i począł za parawan zaparzyć herbatę.

Rano zjawiliśmy się u profesora Mistrała z walizkami. Profesor zapowiedział już widać, że będzie miał gości, bo przywitano nas obojętnie. Zresztą zastaliśmy tylko Kotowską i doktora Jonasza. Asystent jadł właśnie śniadanie w hallu. Był to przysadzisty, czyściutki, starannie wygolony i pachnący z daleka lawendą mężczyzna lat około trzydziestu, o początkach łysiny, pełnych policzkach i obiecująco zapowiadającym się brzuszku. Mistral przedstawił nas z dość naturalną miną. Zamieniliśmy parę grzecznościowych sloganów, nie budząc ani podejrzeń, ani nawet zainteresowania. Jak nam wyjaśnił profesor, zresztą nie bez uszczypliwości, tutejsi mieszkańcy są całkowicie zajęci sobą i mimo wspólnego dachu nad głową żyją raczej w izolacji, nie zwracając uwagi na towarzyskie kontakty sąsiadów.

- Tym bardziej - zakończył z gorzkim uśmiechem - że ostatnio w związku z wyjazdem do Tokio stałem się nagle popularny i ze zdumieniem skonstatowałem, że mam wielu przyjaciół, którzy nie omieszkali mnie odwiedzić i zapewnić o swoim przywiązaniu.

Przed samym wyjazdem Trepka poprosił profesora o chwilę poufnej rozmowy. Przeszliśmy do gabinetu.

Tutaj Trepka poinformował profesora o otrzymaniu niezwyklej przesyłki.

- Co pan o tym sądzi? - spojrzał pytająco na Mistrała.

Profesor był wyraźnie zdetonowany.

- Niesłychana historia! To jakiś bezczelny żart, a przy tym dość niewybredny. Albo dzieło szaleńca.

Trepka wpatrywał się w niego przez chwilę.

- Czy orientuje się pan, kto z pańskich znajomych mógłby zrobić coś takiego? Do kogo to najbardziej pasuje?

- Z moich znajomych, ależ, kapitanie! - wykrzyknął z oburzeniem Mistral. Widać było, że jest szczerze dotknięty. - Pan daruje, ale muszę powtórzyć to, co już wielokrotnie powtarzałem: w moim otoczeniu nie ma szaleńców.

- Doktor Michał Kasica - zauważył spokojnie Trepka - w zeszłym roku, gdy jeszcze był studentem, został zatrzymany przez milicję za udawanie trupa na ulicy i wywoływanie

zbiegowisk. Gdy zjawilo się pogotowie i ładowano go na nosze, uciekl wprawiając sanitariuszy i przechodniów w stan osłupienia.

- Istotnie, słyszałem o tym coś niecoś. Ale to przecież jest różnica. Ostatecznie to nie była zbrodnia. Po prostu niesmaczny dowcip. Chodziło podobno o jakiś zakład...

- Czy nie przyszło panu na myśl - zapytał Trepka - że dowcip z pistoletem może być tego samego pokroju?

- Nie. Są przecież pewne granice. Michał ich nigdy nie przekraczał. Zresztą utemperował się po uzyskaniu dyplomu. Wykluczam zupełnie, aby to był jego pomysł.

- Hm, a jednak prosiłbym bardzo, żeby pan poszperał w swojej pamięci. Sprawa jest naprawdę ważna. Może naraził się pan kiedyś jakiemu pacjentowi?

- Nie, cóż znowu! Mówiłem już panu, że nigdy nie miałem z pacjentami scysji. Zresztą nie praktykuję już od wielu lat. Poświęciłem się wyłącznie pracy naukowej.

- Ale w klinice styka się pan z chorymi?

- Ma pan chyba jakąś *idee fixe*, kapitanie. Czy naprawdę sądzi pan, że jakiś wariat ubzdurał sobie, iż musi mnie zgładzić?

- Sposób, w jaki ten „wariat” bierze się do dzieła, nie jest bynajmniej głupi. Niech mi pan wierzy, tacy „wariaci” są najniebezpieczniejsi.

Trepka urwał i przez chwilę pocierał sobie w zamyśleniu łysinę.

- Zastanawiam się nawet - rzekł po chwili - czy ta przesyłka nie wskazuje na to, że zamach będzie powtórzony, i to już niedługo.

- Dlaczego?

- Przestępca przesyłając nam pistolet chciał może sugerować, że sprawa jest zakończona i zdemobilizować nas, by bez przeszkód rozprawić się z panem.

- No cóż - profesor wstał z miejsca i przechadzał się po gabinecie - przecież zostało postanowione, że panowie jadą ze mną do „Przystani”. Będę pod niebyle jaką opieką - dodał nie bez ironii.

Rozdział III

Okazało się, że nie jedziemy sami. Razem z nami zabrała się doktor Protoklicka, asystentka profesora Kasicy, energiczna, szczupła niewiasta lat około czterdziestu. Jak nam oświadczyła, jej misja w „Przystani” ma charakter specjalny i polega na „zorganizowaniu świąt”. Stąd jej obfite bagaże. Na skutek tychże bagaży jazda nie należała do zbyt wygodnych. Z braku miejsca w ciasnej skodzie musiałem trzymać na kolanach stos różnych paczek i paczuszek oraz obiecujące butle o przyjemnych opływowych kształtach. Jedynym plusem tego brzemienia było, że wprawiał mnie on w nastrój świąteczny. Jako kawaler tułający się po milicyjnych stołówkach, marzyłem o prawdziwych domowych świątach.

Niestety z przykrością stwierdziłem, że jeśli chodzi o te szlachetne marzenia, byłem w tym gronie chwalebny, lecz odosobnionym wyjątkiem. Twarze pozostałych osób świadczyły, że oddają się oni myślom dalekim od przyjemnego nastroju świąt. Mistral prowadził wóz w ponurym skupieniu. Trepka siedział zamyślony po jego prawicy, a pani doktor na tylnym siedzeniu koło mnie z zaciekleścią godną lepszej sprawy wertowała jakiś periodyk lekarski. Zanotowałem nie bez zdumienia, że przez całą drogę Mistral i Protoklicka nie odezwali się do siebie ani słowem. O ile Mistrala można jeszcze było wytłumaczyć, jako że znajdował się w przygnębiającej sytuacji człowieka, na którego dokonano zamachu, o tyle gorzko zaciśnięte usta doktor Protoklickiej były dla mnie zagadką. Z pozoru wyglądała na kobietę towarzyską. Słyszałem, jak przed wyjazdem prowadziła ożywioną rozmowę z doktorem Jonaszem. Cóż się więc stało u licha! Mimo że nie mam wielkich talentów w tej dziedzinie, uważam, że do obowiązków gentlemana należy bawić kobietę rozmową. Podjąłem więc po krótkiej walce wewnętrznej próbę w tym kierunku.

- Święta zapowiadają się dość przyjemnie - powiedziałem głośno.

- Sądzi pan? - doktor Protoklicka spojrzała na mnie obojętnie znad lektury.

Wymownym ruchem pieszczotliwie pogłaskałam butelkę, choć słowo daję, nie mam specjalnych inklinacji w tym kierunku i zrobiłem to gwoźli podtrzymania rozmowy.

- A, o to panu chodzi. - Doktor Protoklicka uśmiechnęła się pobłaźliwie. - Muszę pana rozczarować. To, co pan trzyma na kolanach, to aminokwasy.

- A...aminokwasy - powtórzyłem czując, że mój świąteczny nastrój prysł. Ze wstrętem odstawiłem butelkę.

- Wieziemy trochę specyfików aptecznych. Profesor Kasica polecił mi zaopatrzyć nasze laboratorium w „Przystani”.

- Zdaje się, że wspominała pani o organizowaniu świąt - zauważyłem nieśmiało.

- Owszem. Z punktu widzenia ciągłości naszych prac laboratoryjnych. Jeśli zaś chodzi o sprawy kuchenne, które, zdaje się, najbardziej pana interesują, proszę zwrócić się do naszej gospodyni, pani Macioszkowej. Zdolności kulinarne są jej niezaprzeczalną zaletą, obawiam się zresztą, że jedyne.

Na tym konwersacja nasza definitywnie utknęła, a doktor Protoklicka znów zajęła się fachową lekturą.

Niestety, ani w tym dniu, ani w następnym nie miałem przyjemności sprawdzić opinii o jedynej i niezaprzeczalnej zalece pani Macioszkowej. Gospodyni była osobą religijną i zaaplikowała nam ścisły post.

Alle nie tylko z powodu głodówki „Przystań Eskulapa” zrobiła na mnie dość przykre wrażenie. Nie było ani słowa przesady w tym, co mówił profesor Mistral określając ją jako ponury fort na pustyni Colorado. To była rzeczywiście twierdza, rzeczywiście ponura i rzeczywiście na pustkowiu.

Położona na dalekich peryferiach Piaseczna, na piaszczystym, podmokłym bezludziu, za całe towarzystwo miała tylko jedną zrujnowaną chałupę, zamieszkałą, jak zdążyłem zauważyć, przez rodzinę bogatą tylko w potomstwo. Niegdyś rósł tu zapewne las, lecz dzisiaj zostało z niego kilka żalonych sosen i zarośla olszyn. Resztę terenu zajmowały jałowe nieużytki, piaski i wrzosowiska. Sama „Przystań Eskulapa” stanowiła obszerną posiadłość liczącą sobie chyba z jakieś dwa hektary powierzchni. Otaczał ją mur wysoki na trzy metry i najeżony u góry odłamkami szkła, które zniechęcić mogły wszystkich niepowołanych gości. Wchodziło się przez portiernię strzeżoną przez kudłatego wielkiego psa i małego łysego człowieczka o chytrych oczach, który, jak się okazało, pełnił tu także funkcję ogrodnika. Osobnik ten nazywał się Macioszek i był mężem gospodyni. Część posiadłości zajmował ogród warzywny i sad, reszta była czymś w rodzaju dzikiego parku pociętego alejami. Na końcu głównej alei w głębi parku wznosiła się piętrowa willa z czerwonym dachem.

W nocy nawet przez zamknięte okna dochodziło nas wycie psów. Zgasiwszy światło w pokoju, można było obserwować za murem szare ruchliwe cienie uganiające się przy księżycu. Okazało się, że psy z całego Piaseczna upodobały sobie ten zakątek. Zapytany o powód tego zjawiska, Macioszek wyjaśnił, że dzieje się tak dlatego, ponieważ w okolicy znajduje się dużo zepsutego mięsa. W czasach, kiedy nieruchomość znajdowała się pod zarządem przemysłu mięsnego, mieściło się tu laboratorium. Zepsute mięso i nie nadające się do spożycia odpadki zakopywano w pobliżu płytko i niechlujnie, ku uciesze psów z całej okolicy. Odtąd tradycyjnie co wieczór ciągnęły tu bandami na ponure uczty.

Rano bieranina i wycie czworonogów ustawały, dla odmiany natomiast dawało się słyszeć ujadanie suki ogrodnika. Było to bardzo niesympatyczne zwierzę nieokreślonej rasy, kosmate i podobne do małpy. Miało przekrwione oczy i wabiło się Reza. Trzymane na krótkim łańcuchu w budzie przy bramie, całą wściekłość wyładowywało na przybyszach, którzy stukali do portierni. Ta właściwość suki pozwalała Macioszkowi na pracę w ogrodzie.

Dopiero gdy usłyszał ujadanie Rezy, przerywał robotę i szedł spojrzeć przez judasza w drzwiach, kto przyszedł.

Po rozejrzeniu się w sytuacji doprawdy zastanawiałem się, czy nasz wczesny przyjazd był konieczny. W tej twierdzy nie mogło się nic stać, przynajmniej do czasu, aż zjedzie się reszta towarzystwa, która zapowiedziała swe przybycie na sobotę.

Powiedziałem o tym Trepee, ale on był innego zdania.

- Nie szkodzi, przyjacielu - odparł - to lepiej. Lubię mieć przed operacją pole wyjałowione.

Wzruszyłem ramionami.

- Cóż więc mam właściwie do roboty?

- Patrzeć, słuchać, rozmawiać.

Jakby było na co patrzeć albo co słuchać! Chyba tylko tych psów po nocach. Gadać również na dobrą sprawę nie było z kim.

Macioszek, gdy dowiedział się, że przybywamy z Anglii, umilkł w jakiś zasadniczy sposób. Macioszkowa zajęta była porządkami przedświątecznymi i na wszelkie próby nawiązania rozmowy odpowiadała półsłówkami. Jeśli zaś chodzi o doktor Protoklicką, ta była osobą całkowicie nieprzystępną, zresztą niemal nie wychodziła z laboratorium.

W ciągu tych dni nie zdarzyło się nic szczególnego poza dwoma mało ważnymi faktami, które zanotowałem raczej tylko dla porządku.

W kilka godzin po przyjeździe, przeglądając książki w hallu na dole, usłyszałem podniesione głosy kobiece dochodzące z góry. Zaciekawiony wszedłem na schody. Gdy byłem na półpiętrze, z laboratorium wypadła Macioszkowa ze ścierką i zbiegła na dół mamrocząc gniewnie pod nosem. Za nią wyszła zdenerwowana doktor Protoklicka w białym rozpiętym fartuchu i z nie zapalonym papierosem w ręce.

- Ma pan zapalki? - zapytała mnie dość bezceremonialnie.

- Służę pani - pośpiesznie sięgnąłem do kieszeni i podałem jej ogień.

Doktor Protoklicka zaciągnęła się głęboko i drżącymi lekko rękoma zaczęła poprawiać fartuch.

- Małe nieporozumienie? - zaryzykowałem nieśmiało pytanie.

Doktor Protoklicka wymownie machnęła ręką.

- To okropna kobieta. Nie ma dzisiaj uczciwej służby. Ile razy wracam tutaj, zawsze coś tymczasem zdąży zginąć. Trudno przecież trzymać wszystko pod kluczem. Pracujemy w takiej ciasnocie. Pięć osób w tym mikroskopijnym laboratorium.

- Ale wyjeżdżając może pani przecież zamykać...

- W tym właśnie rzecz, że nie. W laboratorium mamy zwierzęta doświadczalne, które trzeba karmić. Nie chcą nam dać specjalnego etatu i musimy posługiwać się Macioszkową. No i ponosimy konsekwencje. Zawsze brakuje spirytusu, a przed świętami drożdży. W zeszłym tygodniu posunęła się tak daleko, że wzięła pięć gramów arsenu. Ciemna kobieta. Tłumaczyła się, że chciała wytepić szczury. Podejrzewam ją jednak, że jest w kontakcie z kłusownikami, którzy trują lisy. Po awanturze zwróciła co prawda arsenik, ale brakowało blisko grama. Mówiła, że jej się rozsypało. Rozsypało, rozumie pan. Może pan sobie wyobrazić, jak się zdenerwowałam. Przez cały tydzień nie mogłam sypiać. Na szczęście obyło się bez wypadku.

- To rzeczywiście niebezpieczne - zauważyłem. - Powinniście państwo lepiej zabezpieczać tego rodzaju specyfiki.

- Po tej historii wystarałam się o specjalną szafkę na trucizny, do której klucze mają tylko profesorowie, laborantka i ja. Ale czy jest sposób na złodzieja! Macioszkowa nie była już specjalnie uczciwa wtedy, gdy pracowała jako salowa w szpitalu na Oczki. Ginęła wtedy systematycznie morfina.

- I profesor zaangażował ją tutaj? - zdziwiłem się.

- Nie przyłapano jej na gorącym uczynku. To sprytna kobieta. A profesor Kasica to dobry człowiek. Za dobry. Poza tym ma jakieś moralne zobowiązania w stosunku do Macioszka. Macioszek to przedwojenny sierżant zawodowy. Razem przeszli kampanię wrześnieową. Podobno pod Kutnem Macioszek uratował profesorowi życie. Do dziś nazywa go „panem majorem”. Ale po co ja to wszystko opowiadam.

Doktor Protoklicka rzuciła niedopałek na popielniczkę i zniknęła za drzwiami laboratorium.

Wróciłem do hallu. Zastałem tu Macioszkową z kubłem i ścierkami. Szarpała się z oknem chcąc je widocznie otworzyć do mycia. Podeszedłem bez słowa i pomogłem jej.

- Nie trzeba tak nerwowo, proszę pani - powiedziałem.

- Łatwo panu mówić - odburknęła. - Człowiek od rana roztrzęsiony. Jak tylko przyjedzie ta galicyjska baronowa, to już spokoju nie ma.

- Pani mówi o doktor Protoklickiej?

- A o kimże? To pan nie wie? To baronowa z pierwszego małżeństwa. Kiedy była przed wojną na praktyce w szpitalu we Lwowie, poznała tam starego barona Westerhorna. Leżał po operacji. Tak go omamiła, że się z nią ożenił, proszę pana. Niedługo co prawda się nią cieszył, bo rok tylko, ale baronową była, proszę pana. Potem wyszła za męża za doktora Protoklickiego. Mieli prywatną lecznicę w Krynicy aż do wojny. Wojna ich zniszczyła. Protoklicki zginął w Oświęcimiu i została na lodzie. Ale taka zawsze wypłynie. Teraz znów uczepliła się profesora Mistrala... Sieci na niego zapuszcza...

- Co też pani opowiada - przerwałem z niesmakiem - jechaliśmy przecież razem samochodem i nic nie zauważyłem... nawet przeciwnie.

- To pan źle patrzy! Pan nie wie, jak to u tych ludzi? Człowiek prosty, proszę pana, to powie, co ma na sercu, i koniec. Ale w tych lepszych sferach to wieczny teatr, proszę pana. To się nazywa dobre wychowanie. Tak, proszę pana. Protoklicka myślała, że okręci profesora koło małego palca, gadali już nawet o ich ślubie, ale odkąd profesor przyjął tę małą Stor, wszystko się pogmatwało. Dlatego Protoklicka taka zła. Diabeł w nią wstąpił. Chodzi wściekła jak żmija i mści się na wszystkich. Co tu było o ten arsenik, com wzięła, żeby te szczury wytepić, bo przecież sobie rady dać nie można z tym paskudztwem...

- Czy musiała pani koniecznie arsenikiem, przecież są specjalne trucie na szczury - nie mogłem powstrzymać się od uwagi.

- Nie ma, proszę pana. Dają tylko na akcję. A tak, spróbuj pan kupić. Nie ma. A na szczury najlepszy arsenik, tak wszyscy gadają. Bo bez smaku. A szczur byle czego nie weźmie. Ale ona w ogóle się uwzięła na mnie. Dzisiaj jak tylko przyjechała, to zaraz na mnie, zem spirytus wzięła. A ten liter, panie, to świnka stłukła.

- Świnka?

- A tak! Jest tam, proszę pana, w laboratorium taka jedna diabliska bieguska z włosami jak pudel. Uciekła mi przy karmieniu i biegała po szafach, aż ten spirytus stłukła.

- Zaraz - przerwałem jej - pani mówi o śwince morskiej?

- No, a o czym?

- Zdawało mi się, że świnka morska nie ma włosów, a pani mówi, że z włosami jak pudel.

- A bo to taki odmieniec. Potwora, panie. Niepodobna do innych i zła jak diabeł, ten sam duch co nasza baronowa.

„Ty, moja droga, też nie wyglądasz na łagodne stworzenie” - przeszło mi przez myśl. Nie czułem jakoś sympatii ani zaufania do pani Macioszkowej i mierziło mnie wysłuchiwanie jej plotek, aluzji i złośliwych opinii, toteż odczułem ulgę, kiedy skończyła mycie i brzękając wiadrem wyniosła się z hallu kołysząc się w biodrach jak kaczka.

Drugi wypadek miał miejsce w piątek następnego dnia po naszym przyjeździe. Nie było to zresztą nic szczególnego i jak zaznaczyłem, zanotowałem to małe zdarzenie jedynie dla porządku. Otóż tego dnia profesor zniknął gdzieś rano, zanim wygrzebaliśmy się z naszych łóżek. Nie było go ani na śniadaniu, ani w pracowni, ani w gabinecie. Zapytany przez nas o profesora, Macioszek oświadczył, że profesor wyszedł. Trepka był bardzo zaniepokojony. Zanim jednak zdecydowaliśmy, co należy robić, profesor zjawił się niespodziewanie w doskonałym humorze, choć w dość opłakanym stanie. Cały zmoknięty i ubłocony jakąś czerwoną gliną. Trepka usiłował delikatnie wy badać cel tej rannej eskapady, profesor jednak uchylił się od bliższych wyjaśnień tłumacząc, że był na przechadzce i że tego rodzaju przechadzki praktykuje od lat.

- Nie wiem, czy w taki deszcz to zdrowo - zauważył Trepka.

- Głupstwo, nie jestem z cukru - zaśmiał się profesor.

- Wolałbym jednak, profesorze, by pan. przez ten okres zrezygnował z samotnych spacerów - powiedział z naciskiem Trepka - służymy zawsze naszym nie krępującym towarzystwem.

- Bardzo to miło z panów strony - odrzekł Mistral, wydało mi się jednak, że nie jest z jakiegoś powodu zachwycony tą propozycją.

Jednakże następnego dnia nie opuścił domu. Rano słyszeliśmy przez ścianę, jak pokasłuje i głośno wyciera nos. Przy śniadaniu oświadczył, że czuje się nie najlepiej. Przeziębził się trochę i boi się, żeby nie nastąpiło zaostrzenie choroby reumatycznej, na którą cierpi od wojny. Przepowiedział też głęboki niż barometryczny. Czas do obiadu spędził w pracowni, a po południu pisał w gabinecie. Odniosłem także wrażenie, że nas unika.

Rozdział IV

Sobotni wieczór przyniósł radykalne zmiany i zmienił mój sąd o „Przystani” jako o „polu wyjałowionym”. Już o piątej zjawił się doktor Jonasz, przywożąc z sobą pannę Halinę Stor, małe urocze stworzenie pełniące funkcję laborantki, przed samą kolacją wreszcie przyjechał warszawą profesor Kasica, tęgi jowialny pan w sportowej wiatrówce i gabardynowych spodniach, napęliając od razu całą „Przystań” swym tubalnym głosem. Przybyły razem z nim asystent doktor Zapłon od samego początku zwrócił moją uwagę swoim ekstrawaganckim zachowaniem. Wysiadł z wozu w kapeluszu nasuniętym na oczy i z szalikiem zakrywającym pół twarzy.

- Ręce do góry! - krzyknął i wymierzył pistoletem w Macioszka stojącego opodal z najstarszym synem Tomkiem.

Z pistoletu trysnął strumień wody, a Zapłon śmiejąc się z naszych osłupiałych min wręczył pistolet, chłopcu i powiedział:

- Trzymaj, Tomek, to na śmigus-dyngus.

W hallu podszedł do mnie znienacka i klepnął mnie boleśnie w plecy.

- A, to pan! - zaśmiał się - to pan jest ten Anglik! Cóż, u licha, nie ma pan w kraju rodziny, żeby święta spędzać w tej dziurze?

- Nie mam - powiedziałem zaskoczony - ciotka, którą chciałem odwiedzić, zmarła. Nie zdążyłem nawet na pogrzeb.

- A temu panu kto umarł? - Zapłon uśmiechając się szyderczo pokazał na Trepkę.

Zanim zdążyłem coś odpowiedzieć, wziął mnie pod pachę i odprowadził w kąt.

- Bez kawałów, kolego - przymrużył oko - jesteście z milicji.

- Co takiego? - wykrztusiłem usiłując pokryć zmieszanie.

- Znam się cokolwiek na tym. Dwa lata krajałem trupy w zakładzie medycyny sądowej i przypadkiem widziałem tam pana w towarzystwie podporucznika Filipa, mojego starego kumpla... Nie bój się pan - zachichotał - nie wsypię was. Chodź pan, napijemy się lepiej wódki.

- Ależ pan się myli, to jakieś nieporozumienie - próbowałem się bronić - ja naprawdę do ciotki...

- Mniejsza z tym - rzekł Zapłon - no to chodź się pan pocieszyć po stracie ciotki.

Odmówiłem udając oburzenie i wyrwawszy się mu bezzwłocznie powiadomiłem o całym tym przykrym wypadku Trepkę.

Trepka był niepocieszony.

- Być może, przyjacielu, wybraliśmy trochę niefortunne wcielenie. Chociaż przeciw zbiegowi okoliczności trudno coś poradzić. Zastanawiam się, co robić. Może lepiej byłoby zdjąć przyłbicę?

- Obiecał dyskrecję - bąknąłem.

- Muszę porozmawiać z tym człowiekiem - rzekł zdenerwowany Trepka.

Wrócił dopiero po godzinie mocno pachnąc alkoholem.

- Ten człowiek istotnie nas przejrzał, Pawełku, obiecał jednak milczenie. Powiedział, że to go będzie bawić. Jestem jednak zrozpaczony, mój chłopcze.

- Co postanawiacie?

- Osobnik ten wyskoczył teraz na miasto odwiedzić jakichś przyjaciół. Chwilowo jesteśmy bezpieczni.

Dwie młode dziewczyny wyszły z kuchni i Trepka umilkł. Były to pomocnice Macioszkowej, które sprzątały pokoje i pomagały w kuchni.

- Wesołych Świąt! - bąknęły nieśmiało, przechodząc koło nas.

- Wesołych Świąt! - odpowiedział Trepka gładząc się po łysinie. - Nie wiem... Pawełku, czy te życzenia się spełnią - dodał po chwili.

- Złe przeczucie?

Trepka milczał zaszępiiony.

Do kuchni weszła doktor Protoklicka i od razu doszły nas odgłosy małej sprzeczki.

- Jak pani mogła, Macioszkowa, wypuścić o tej porze dziewczyny, przecież nic nie sprzątnięte. Zlew zatkany. Śmieci w kuble. Czy tak ma zostać na święta?

- Chciały koniecznie zdążyć na rezurekcję. Jakże nie puścić - broniła się Macioszkowa - mój stary się obrobi, to wyniesie wieczorem te śmieci.

Z miasteczka dobiegł nas huk wystrzału. Potem drugi, trzeci.

- Chłopaki strzelają karbidem - mruknął Trepka. - Ja też kiedyś strzelałem. Zawsze strzelało się na rezurekcję. Nie wiesz, co robi profesor Mistral? - zapytał mnie nagle.

- Ostatnio był w swoim pokoju. Przed kwadransem słyszałem, jak Macioszkowa pytała go, czy wyjdzie na kolację. Profesor odpowiedział, że źle się czuje i nic jeść nie będzie.

- Chciałbym go zobaczyć - mruknął Trepka i skierował się na schody.

Ku naszemu zdziwieniu profesora w pokoju nie było. Zdenerwowany Trepka zastukał do laboratorium.

Za drzwiami dało się słyszeć człapanie i usłyszeliśmy rozdrażniony głos profesora:

- Kto?

Na dźwięk naszych nazwisk Mistral uchylił drzwi. Był w białym fartuchu. Na przegubie dłoni miał „Testfilm”, przyrząd do wykrywania szkodliwego promieniowania. W głębi laboratorium przed aparatem rentgenowskim zauważyliśmy nieruchomą świnkę morską.

- O co chodzi? - zapytał niemal opryskliwie.

- Chcieliśmy się dowiedzieć o pańskie zdrowie, profesorze.

- Żyję, jak panowie widzą, i proszę nie przeszkadzać - zamknął przed nami drzwi.

Trepka przygryzł wargi i wyciągnął zegarek.

- Pół godziny do kolacji - powiedział - przejdźmy się po ogrodzie.

Mrok już zgęstniał zupełnie. Z tarasu poprzez czarną siatkę bezlistnych gałęzi widać było dalekie światła Piaseczna. Strzały powtarzały się raz po raz.

- Denerwujący obyczaj - zauważył Trepka.

Skinąłem głową. Nie dziwiłem się wcale, że to go denerwuje. Między tą obyczajową strzelaniną łatwo można było przemycić... strzał prawdziwy.

- Boję się, mój chłopcze - usłyszałem głos Trepki - boję się, że on dzisiaj powtórzy swój atak. I wciąż myślę, czy jednak nie odsłonić przyłbicy. Jak myślisz, czy to by go odstraszyło, gdyby wiedział, że ma do czynienia z Kajetanem Trepką?

- Sądzę - odparłem - że nie powinniśmy pozbawiać się tej szansy, jaką daje nasze incognito.

- O ile ono jeszcze istnieje - westchnął Trepka. - Ten człowiek o skłonnościach pijackich nie daje mi spokoju.

- Wyszedł - przypomniałem.

- Ha, ale na jak długo?

- Być może, będzie milczał. A z chwilą kiedy przestanie, łatwo się zorientujemy po zachowaniu obecnych. Nie potrafią ukryć, że wiedzą. Moim zdaniem powinniśmy pozostać zamaskowani tak długo, jak tylko to będzie możliwe. Jeśli przedwcześnie odkryjemy nasze karty, przestępca przerazi się i skutecznie przyczai, być może, na czas dłuższy. A nam zależy przecież nie tylko na uchronieniu profesora, lecz także na unieszkodliwieniu zbrodniarza. Sądzę, że nie powinniśmy pozbawiać się tej szansy.

- Od pewnego czasu zaczynasz mówić wcale rozsądnie, Pawełku - westchnął Trepka. - Istotnie nie powinniśmy pozbawiać się tej szansy. A jednak jestem niespokojny. Boję się odpowiedzialności, przyjacielu. To zbyt wielka stawka. Zbyt wielka - mruknął.

- A więc?

- Myślę, że należałoby wzmocnić nasze szeregi, nie zdradzając zarazem naszego incognito. Co byś powiedział, na przykład, gdybyśmy sprowadzili tu naszego przyjaciela Żurkę w mundurze. Ogłosi się oficjalnie, że profesor Mistral od tego a tego momentu pozostaje pod oficjalną ochroną milicji.

Słuchałem ze zdziwieniem. Żurko z Trepką lubili się jak pies z kotem.

- Żurkę? Dlaczego akurat jego?

- Są święta, mój chłopcze, i nie chcę ludziom zawracać głowy. Z Żurką to inna sprawa. Ten chłopak to wyjątek.

- Żurko ma urlop - zauważyłem.

- O to właśnie chodzi. Żurko ma urlop i się nudzi. Poza tym nie zapominaj, że nasz przyjaciel Żurko chce się odznaczyć. Przyleci jak kot do śmietany.

Wzruszyłem ramionami.

- Macie przecież poważne zastrzeżenia co do metod jego pracy. O ile się nie mylę, powiedzieliście nawet niedawno, że Żurko to fuszer.

- Istotnie, przyjacielu, masz dobrą pamięć. Mówiąc między nami, Żurko to fuszer, ale fuszer inteligentny. Takiego mam tu potrzeba. Nie zapominaj, że oprócz Żurki będziemy tutaj my. Nasz przyjaciel Żurko ma przy tym jedną cechę, którą możemy się posłużyć. Nasz przyjaciel Żurko lubi straszyć. Sądzę, że dobrze by było wpuścić do „Przystani” naszego dzielnego Żurkę.

To powiedziawszy Trepka uśmiechnął się jak uczeń, który obmyśla sztubacki kawał. Zbyt jednak dobrze go znałem, żeby ten uśmiech mógł mnie zmylić. Założyłbym się, że za wpuszczeniem Żurki do sprawy kryje się coś bardziej istotnego.

Rozmawialiśmy jeszcze chwilę krążąc po alejach parku, a kiedy zadzwoniono na kolację, nie poszedłem ze wszystkimi na górę do jadalni, lecz korzystając ze sposobności dyskretnie zadzwoniłem po Żurkę.

- Mój szanowny kolega Mistral zawsze choruje nie w porę - powiedział profesor Kasica patrząc na puste miejsce przy stole - czy naprawdę z nim tak źle?

- Dostał ataku silnych bólów - odrzekł Jonasz.

- To pech. Położy się profesorzyśko na święta - westchnął Kasica.

- Co mu właściwie dolega? - zapytał Trepka.

- Lumbago, mister Kowalski. Po prostu lumbago. Choroba emerytowanych pułkowników z Wysp Brytyjskich. A propos, czy panowie zauważyli, że w dziewiętnastowiecznych powieściach starsi panowie chorują zawsze na lumbago?

- O ile nie chorują na podagrę - wtrąciła doktor Protoklicka.

- O ile nie chorują na podagrę! - zaśmiał się Kasica podsuwając Trepce półmisek. - Czegóż tu brakuje, pani Macioszkowa. Nie będzie karafki do bigosu?

- Przecież pan, profesor nie lubi - Macioszkowa spojrzała zdziwiona na Kasicę.

- Mamy gości - powiedział profesor - gości częstuje się wódką. Wypijecie przecież, panowie, po kieliszku - zwrócił się do nas.

- Dziękujemy najmocniej. Jeśli chodzi o nas, proszę się nie kłopotać - odpowiedział uprzejmie Trepka.

- Niech pan nie opowiada takich rzeczy, panie Kowalski, wy, Anglicy, lubicie się napić.

- Nie jestem jeszcze Anglikiem - uśmiechnął się Trepka.

- Więc wypije pan jako Polak. Szkoda, że położyło się profesorzyśko. Mistral umie zachęcić najbardziej wstrzemięźliwych.

- Sądzę, że i doktor Zapłon też potrafi - rzekła Protoklicka.

- Zapłon? - zaśmiał się Kasica. - O nie! Mój dzielny asystent działa na ludzi poważnych raczej odstrasżająco. On nie umie pić.

Weszła Macioszkowa niosąc na tacy karafkę wiśniaku, trzy kieliszki i dwie szklaneczki.

- To cały nasz majątek - zarumieniła się rozstawiając szkło na stole. - Muszę kiedy do Warszawy jechać po te kieliszki, bo aż wstyd. Tyle się naprosiłam i nie mogę się doczekać, żeby ktoś przywiózł. A tu w tej dziurze nawet głupich kieliszków nie można dostać.

- Pani zawsze sieje mi tu nastroje defetystyczne - żartował profesor.

- Jakby pan profesor musiał się tak za wszystkim uganiać, to by się nie śmiał - zamruczała urażona Macioszkowa.

- Głupstwo, pani Macioszkowa, grunt, że jest karafka, i to niepróżna. Na przyszły raz przywiozę pani całą skrzynię kieliszków.

- Ciekawam, skąd pani profesor weźmie?

- Mam na klinice dyrektora Cedetu. Na stole operacyjnym wszyscy miękną.

Po kolacji, gdy Macioszkowa sprzątnęła ze stołu, profesor Kasica zaproponował brydża.

- Pan zagra? - zwrócił się do Jonasza.

- Z chęcią - odpowiedział asystent - zjrzyj tylko do profesora Mistrala.

Kasica przeprosił nas na chwilę, zszedł na dół i wrócił niebawem z dwoma taliami eleganckich nylonowych kart.

- Zdaje się, że tym razem nie będziemy mieli kłopotu z tym przysłowiowym czwartym. Pan oczywiście gra w brydża? - zwrócił się do Treпки - w Anglii jest to gra narodowa.

- Obecnie raczej już wychodzi z mody - odrzekł Trepka.

- No, ale pan zagra?

- Gram bardzo słabo.

- Jaką konwencją?

- Obawiam się, że nie będę umiał wytłumaczyć.

- Zaraz dojdziemy do ładu. Jak pan licytuje strefę szlemową?

- W ogóle nie licytuję.

- Nie licytuje pan, a to dobre - Kasica zaśmiał się tubalnie. - Słyszał pan chociaż o konwencji węgierskiej?

- Wstyd mi się przyznać, ale nie.

- Więc niech pan zapamięta. Jeśli mamy w zapisie co najmniej dziesięć punktów... uważa pan, dziesięć punktów, a ja w dowolnym okresie licytacji dam odżywkę cztery bez atu, nie może mi pan spasować, rozumie pan, lecz musi mi pan pokazać asy.

Z pokoju Mistrała wyszedł zaaferowany Jonasz.

- No, już pan gotów? - zerknął na niego Kasica. - Jak tam z profesorem?

- Bóle się potęgują. Panno Stor - Jonasz zwrócił się do laborantki - czy w laboratorium jest jeszcze nowokaina?

- Obawiam się, że już nie ma. Zdaje się, że ostatnią ampulkę wstrzyknął doktor Zapłon temu małemu od Nowakowskich z przeciwwka.

- Niech pani sprawdzi - powiedział Jonasz i panna Stor wyszła do laboratorium.

- Co z tym małym Nowakowskim? - zapytał Kasica rozkładając karty.

- Bryka już - odrzekła Protoklicka. - Nie widział pan profesor? Cały dzień buszował po ogrodzie z dziećmi Macioszków. Macioszek skarżył się, że znów mu zdeptali rzodkiewkę.

- Sam ich wpuszcza - zauważył Jonasz.

- Skądże znówu. Wślizgują się nie wiadomo jak i kiedy.

- Dzieciaki zawsze mają sposoby - mruknął Kasica pokazując Trepce jakieś wyjście brydżowe.

Panna Stor wróciła z pustymi rękoma.

- Niestety, nic nie znalazłam.

- Psiakrew! - zaklął Jonasz. - Zawsze czegoś brakuje. Prosiłem już, żeby nic nie wynosić z laboratorium.

- Tak to bywa, podobno szewc bez butów chodzi - mruczał Kasica z oczami utkwionymi w kartach - a w ogóle po co od razu nowokaina? Już późno, noc. Daj pan lepiej profesorowi coś na sen. Sen najskuteczniej znieczula.

Ale Jonasz nie słuchał. Chwilę bębnił w rozterce palcami po stole, a potem powiedział:

- Przykro mi, ale ktoś będzie musiał iść do apteki.

Panna Stor popatrzyła za okno. Deszcz znaczył szybę grubymi kroplami.

- Ohydna pogoda - mruknął Jonasz - niech pani wyśle Macioszkową.

- Znów będzie wściekła - westchnęła panna Stor - i tak ma dzisiaj roboty do północy.

Piecze ciasto. Już wolę pójść sama.

Jonasz przygryzł wargi.

- Przykra wyprawa w taki wieczór, panno Halinko - powiedział i sięgnął po palto.

- Co pan robi? - krzyknął Kasica.

- Idę do apteki.

- Oszalał pan! A nasz brydż? Nie róbcie, państwo, szlachetnej licytacji! To dziecinada. Doprawdy, jakby to apteka była na biegunie. Panna Stor załatwi to doskonale. Czy nie tak?

- Ależ oczywiście, panie profesorze - powiedziała Halinka. - Pan jest bardzo uprzejmy, doktorze, dziękuję panu, ale pójdę sama. To dla mnie nic strasznego - uśmiechnęła się do Jonasza.

- Słyszysz pan, to dla niej nic strasznego - zagrzmiał basem Kasica. - Siadaj pan i pisz receptę.

Jonasz westchnął.

- Niech się pani przynajmniej dobrze ubierze, Halinko.

- Głupstwo, mam płaszcz nieprzemakalny.

Jonasz wręczył Halince receptę i usiadł przy stoliku. Wylosowano miejsca i zaczęto rozdawać karty.

- Piki - zagrzmiał Kasica.

Jednakże w tej samej chwili zaskrzypiały drzwi i na progu stanął profesor Mistral z twarzą wykrzywioną bólem.

- Kolego Jonasz, co z tą nowokainą?
 - Halinka pobiegła do apteki, w laboratorium zabrakło.
 - Na miłość boską, czy pan chce, żebym oszalał? Daj mi pan przynajmniej jakiegoś świństwa na sen.
 - O właśnie, na sen - przytaknął Kasica.
 - Po co to panu, profesorze - rzekł spokojnie Jonasz. - Unikałbym tego w pańskim stanie.
 - Łatwo to mówić. Pan nie wie, co to za draństwo to moje lumbago!
 - Młodzież lekarska jest okrutna, panie kolego Mistral - zagrział Kasica. - Niechże pan nie będzie taki stoik, Jonasz, rusz no się pan!
 - Nie mamy żadnych narkotyków, bardzo mi przykro, profesorze.
 - Co pan mi opowiada! Pani Protoklicka przywiozła przecież ten cholerny *natrium phenylaethylbarbiturici* w słoiku. Upitrasz mi coś z tego.
 Jonasz spojrział pytająco na lekarkę.
 - Tak, przywiozłam - skinęła głową Protoklicka - jest w szafie po lewej stronie u góry.
 Jonasz westchnął, wziął klucz i wstał od stolika.
 - Niech pan się położy, profesorze. Zaraz coś panu przyniosę.
 - My chyba nie zaczniemy dziś tego brydza - jęknął Kasica. - Też się pan wybrał na święta z chorobstwem, kolego.
 Mistral nic nie odpowiedział i zamknął cicho drzwi.
 - Napijemy się chyba z tego wszystkiego kawy - rzekł rozdrażniony Kasica. - Niech pani będzie dobra powiedziec Macioszkowej, żeby zrobiła kawy - zwrócił się do asystentki.
 - Dobrze, profesorze - doktor Protoklicka podniosła się z miejsca. Razem z nią powstał Trepka.
 - A pan... gdzie pan znów ucieka? - denerwował się Kasica.
 - Martwi mnie stan profesora - odparł Trepka - zajrzę na chwilę do niego.
 - Nic mu nie będzie - mrucał Kasica - to przewrażliwienie... Lekarze nie potrafią chorować.
 Trepka jednak nie słuchał go i znikł za drzwiami.

Czekaliśmy pięć minut.
 - Co oni tak się guzdrzą? - Kasica spojrział na zegarek: była za pięć dziewiąta. - Co za wieczór, mój Boże. Pański przyjaciel też wsiąkł u Mistrala na dobre. Masaże mu tam robi, czy co? Niech no pan go wywoła, mój panie!
 Zastukałem do drzwi i wszedłem.
 - Profesor Kasica się denerwuje, chce już rozpocząć brydza - powiedziałem.
 Trepka spojrział na mnie niezadowolony.
 - Zamknij drzwi, przyjacielu - mruknął. Po czym powrócił do rozmowy z Mistralem.
 - Niech pan da się przekonać. Uprzedzam pana. Ani na sen, ani na ból. Żadnych prosków i narkotyków. Wyjątek dla zastrzyku nowokainy. Ale proszę sprawdzić ampułkę i strzykawkę, poza tym nic nie przyjmować. Także potraw i napojów z kuchni.
 - Pan mnie zaczyna bawić, kapitanie. Właśnie myślę, że dobrze by mi zrobiło coś konkretnego. Nie jadłem nic od rana. Wypiłem tylko puszkę kompotu.
 - Widzę, że ma pan tutaj konserwy. Co to takiego?
 - Kura w rosole.
 - Niech pan zje tę kurę - powiedział poważnie Trepka.
 - Na zimno?
 - Podgrzeje pan sobie na kuchence elektrycznej. - Trepka wstał, włączył maszynkę do kontaktu, obejrzał dokładnie puszkę, otworzył i postawił na kuchence.
 Wkrótce rosół i kura były gotowe i Trepka postawił puszkę przed zbolałym profesorem.

- A może panowie spróbują wspaniałego, ananasowego kompotu. Dostałem go w paczce z Anglii - zaproponował skrzywiony Mistral.

Chwilę certowaliśmy się, wreszcie dla świętego spokoju Trepka ustąpił. Zabrałem się do otwierania kompotu. Po chwili wonny smakołyk znalazł się na spodeczkach.

- Wracając do naszej poprzedniej rozmowy - zaczął Trepka - radzę panu także wykorzystać pretekst choroby i wynieść się z tego domu jutro rano.

- To śmieszne - rzekł Mistral.

- Czy pan nie rozumie - nalegał kapitan. - że pańska choroba i konieczność zażywania różnych środków dają zbrodniarzowi wyjątkową okazję. Stwarzają to, co nazywam „układem zbrodniotwórczym”. Wywołują pokusę łatwej zbrodni. „Przystań Eskulapa” nie jest dla pana zdrowym miejscem, profesorze. W tym domu mieszka z panem zbrodniarz.

- To tylko pańska teoria. O ile mi wiadomo, oparta jedynie na tych nieszczęsnych drzwiach w „Izolatce”, które ktoś zamknął przez roztargnienie na klucz. Czy to nie za wątłe oparcie?

- Niech mi pan wierzy - rzekł Trepka - moje obserwacje potwierdzają tę teorię. Pewne wrażenia, jakie wyniosłem z „Przystani”...

- Ach, nareszcie puścił pan farbę! - zawołał Mistral zapominając o bólu. - Więc pan buduje swoje teorie na wrażeniach. A może na szóstym zmyśle? I to mają być te nowoczesne metody pana pracy! Pan daruje, ale już wolę Conan Doyle'a. On przynajmniej udawał, że opiera się na dedukcji i analizie.

- Mam pewne doświadczenie w tych sprawach - ciągnął nie zrażony Trepka - kiedy się w tym siedzi tyle lat...

- Zatraca się trzeźwe spojrzenie - wpadł mu w słowa Mistral. - Pan mi daruje, że strawstowałem pańskie słowa, kapitanie, ale my, lekarze, też coś o tym mamy do powiedzenia. Rutyna, doświadczenie, suma nabytych odruchów, to bardzo cenne, ale to broń obosieczna. Niekiedy prowadzi do przykrych omyłek. Psychologia zna takie wypadki. Zbyt daleko posunięta specjalizacja w jakiejś dziedzinie to rzecz niekoniecznie zdrowa. Umysł nastawiony ustawicznie na tropienie zbrodni zaczyna z biegiem lat troszeczkę patologicznie reagować. Albo obojętnieje, albo co gorsza wpada w maleńką nerwicę, której nie będę tu bliżej tłumaczył, gdyż i tak wydaje się pan nieco urażony.

- Nie, proszę, niech pan dokończy - rzekł chłodno Trepka.

- Otóż obawiam się, że zagraża panu pewien stan lękowo-maniakalny... Jak pan mógł wymyślić coś takiego, że Jonasz chce mnie otruć proszkiem. To przecież farsa. Znam tego chłopaka jeszcze z czasów, gdy był studentem. To z gruntu uczciwy chłopiec!

- Nie ma nic pewnego pod gwiazdami - powiedział filozoficznie Trepka wpatrując się w szybę błyszczącą kroplami deszczu. - Radziłbym także dobrze zamknąć okno i spuścić rolety.

To mówiąc Trepka podszedł do okna, sprawdził, czy jest zamknięte, a potem dokładnie je zasłonił.

- Daj pan spokój - zaprotestował Mistral - uduszę się w tym pokoju. Już wiosna, a oni palą jak w łaźni.

- Przykro mi - rzekł Trepka - że pan nie ma do mnie zaufania. No cóż, mam jedną wadę. Dla wielu ludzi wyglądam śmiesznie.

- Ależ nie, co znowu - zmieszał się profesor - pan mnie źle zrozumiał. Doceniam pańskie poświęcenie się tej sprawie i żałuję, że narobił pan sobie tyle fatygi. Ale zobaczy pan, jutro będziemy się razem śmiać z tych ostrożności.

- Oby tak było - westchnął Trepka pochmurnie - w każdym razie nie wyjdę stąd, póki mi pan nie obieca, że wykona pan moje zlecenia.

- Dobrze już... dobrze - Mistral uśmiechnął się twarzą wykrzywioną z bólu.

Zastukano do drzwi:

- To profesor Kasica - rzekł Mistral - zdaje się, że panowie mają grać w brydza.

Wyszliśmy.

- Ludzie, co się dzieje w tym domu! - wykrzykiwał wzburzony Kasica. - Nędznej partyjki nie można zacząć!

W tym momencie na schodach pojawiła się Macioszkowa z tacą i doktor Protoklicka.

- Czy wam przypadkiem, panowie, nie za gorąco - powiedziała doktor otwierając okno.
- Pani Macioszkowa to pali, jakby miała kopalnię węgla.

- Nie każdego serce grzeje - odburknęła Macioszkowa rozstawiając dzbanek z kawą i filiżanki.

Przez otwarte okno dochodziło szczekanie psów, dźwięk dzwonów i pojedyncze strzały. Macioszkowa zasłuchiwała się nabożnie.

- Już rezurekcja... Mój Boże!

- A pani nie wybiera się na rezurekcję? - zapytał Trepka.

- Nie każdy może, a ci, co mogą, nie chcą - karcącym wzrokiem obrzuciła rozłożone karty.

- Gospośniu, co to znów za aluzje - zmarszczyła się doktor Protoklicka.

- Państwo się nie obrażaj, ale to nieładnie grać dzisiaj w karty. Nie trzeba się Bogu narażać. Przecież to Zmartwychwstanie. Kara boska jeszcze na nas spadnie.

- Niechże już sobie pani idzie, Macioszkowa - rzekł dobrotliwie Kasica.

- Jeszcze zobaczą, czy profesorowi Mistralowi czego nie potrzeba. Nie śpi chyba... - zastukała do drzwi.

- Niech pani nie wchodzi, profesorowi już nic nie potrzeba - rzekła pośpiesznie doktor Protoklicka.

Ale profesor Mistral usłyszał już głos Macioszkowej i uchylił drzwi.

- Cóż to Maciosia o mnie zapomniała? Niech no Maciosia pozwoli na chwileczkę. To mówiąć wpuścił Macioszkową do środka.

Z laboratorium wyszedł spocony Jonasz niosąc dwa proszki. W drzwiach pokoju profesora omal się nie zderzył z Macioszkową.

- Co tam Macioszkowa robiła? - zapytał podejrzliwie.

- Posłałam łóżko profesorowi - odpowiedziała i zbiegła pośpiesznie po schodach.

Jonasz wszedł do pokoju i zamknął drzwi. Po paru minutach wyszedł stamtąd wzburzony.

- Nie rozumiem, co się stało! Profesor Mistral nie chce proszków. Człowiek się męczy, bawi w pigularza nie wiadomo po co...

- Czemu się pan denerwuje, przyjacielu? - łagodził Trepka - przecież pan sam odradzał profesorowi zażywanie środków nasennych.

- Ale kiedy już zrobione, to przyzwoitość wymaga, żeby je zażyć. Nie lubię tracić nadaremnie czasu.

- Nie stracił pan - odrzekł spokojnie Trepka - cierpię na bezsenność i byłbym panu bardzo zobowiązany, gdyby mi je pan podarował.

- O, nie! - zaprotestował Kasica. - Bez wskazania lekarza nie można, stanowczo zabraniam, konfiskuję te proszki. Proszę mi je dać, doktorze.

- To niemożliwe - rzekł Jonasz - zostawiłem je w pokoju.

- Zostawił pan - Trepka nie mógł ukryć rozczarowania.

- Zostawiłem na wszelki wypadek. Może się profesorowi znów coś odmieni. Pan miał rację - zwrócił się do Kasicy - lekarze to najgorsi z pacjentów.

- Panie majorze! - usłyszeliśmy zachrypty głos z dołu.

Na schodach pojawił się mokry od deszczu Macioszek. - Panie majorze!

- Co tam znów? - Kasica odłożył karty. - Niechże pan nie przeszkadza.

- Pan major pozwoli na chwileczkę.
W głosie Macioszka dźwięczały jakieś alarmujące nutki, a jego twarz wyrażała lęk i konsternację. Kasica wyszedł. Po chwili wrócił pośpiesznie.

- Bardzo państwa przepraszam, ale muszę natychmiast wyjść. Ten brydż był zapeszony od początku. Widziałem, że nic z niego nie wyjdzie.

- Co się stało, profesorze? - zapytał doktor Jonasz.

- Wzywają mnie do pacjentki. Zachorowała nagle znajoma z Piaseczna - zasapał zbiegając po schodach.

Trepka podszedł do okna i patrzył w ciemność, zdawało się, że czegoś nasłuchuje. Ale słyhać było tylko wycie i ujadanie psów.

- Niechże pan zamknie już to okno - rzekła nagle doktor Protoklicka dziwnie zdenerwowanym głosem.

- Przecież pani twierdziła, że gorąco - zauważył Trepka.

- Chciałam tylko przewietrzyć, ale przecież nie można wiecznie słuchać tych psów, to okropne! Dziwię się, że nikt nie pomyślał, żeby coś zrobić z tymi potworami. Powinno się je wytruć.

- Wytruć? - powtórzył Trepka.

- Mam już dosyć tego niesamowitego wycia.
Podeszła do okna i zatrasnęła je gwałtownie.

- No więc, co robimy, proszę państwa? Ciągniemy tego brydża? - zapytał Trepka.

- Zdaje się, że najlepiej zrobimy idąc spać - ukrył ziewanie Jonasz - już pół do dziesiątej

- spojrzął na zegar i zaczął zbierać karty.
Wtem znieruchomiał na chwilę.

- Czy państwo słyszeli?

Nim zdążyliśmy odpowiedzieć, rozległ się przeraźliwy krzyk kobiecy, a potem pośpieszne kroki na dole. Wszyscy rzuciliśmy się w kierunku schodów.

Przez hall biegła Macioszkowa.

- O Jezu! O Jezusie!... - dyszała przerażona.

- Co się stało? - zapytał Trepka.

- Widziałam twarz w oknie w kuchni!

- Co też Macioszkowa opowiada - zdenerwowała się doktor Protoklicka.

- Jak Boga żywego kocham, proszę państwa... Twarz widziałam. Z nosem przy szybie. Maszkara taka, że niech Bóg broni.

- Czyją twarz?

- A bo ja wiem. Ni to człowiek, ni małpa. Z rozwartym pyskiem.

- Zdawało się pani - rzekł z powątpiewaniem Jonasz.

- Mogłabym przysiąc!

- Zostańcie tu, państwo - powiedział Trepka - zaraz sprawdzimy. Niechże się pani uspokoi, pand Macioszkowa.

- Pan to bierze poważnie? - uśmiechnął się zaskoczony Jonasz.
Ale Trepka nic nie odpowiedział. Razem z Macioszkową zeszliśmy do kuchni.

- To tutaj, w tej szybie - pokazała Macioszkowa. Szyba była wilgotna od deszczu.

- Nic nie widać - mruknąłem.

- Wyjdźmy na dwór - szepnął do mnie Trepka. Gdy znaleźliśmy się pod oknem kuchni, Trepka polecił mi zbadać ślady. Ale nic nie zauważyłem. Wzdłuż domu biegł chodnik z płyt betonowych, wypłukany teraz do czysta przez deszcz. A na trawniku obok nie widać było żadnych śladów.

- Musiało się jednak zdawać babie - mruknął Trepka - obejdzmy dom dookoła. Spotkamy się pod oknem profesora.

Ruszyliśmy w przeciwnym kierunku świecąc uważnie latarkami po krzakach i murze. Kiedy spotkaliśmy się wreszcie, żaden z nas nie miał nic do zakomunikowania.

Spojrzelśmy w okno profesora. Świeciło się jeszcze.

- Do licha ciężkiego, popatrz, Pawełku - zaklął Trepka ciągnąc mnie w kierunku pobliskiego muru.

Z tej odległości, widać było wyraźnie, co go tak wzburzyło. W otwartym oknie rysowała się sylwetka Mistrala. Wyglądał przez okno rozkoszując się świeżym powietrzem.

Trepka skinął na mnie zdenerwowany i ruszyliśmy w stronę drzwi. Nagle, gdy znajdowaliśmy się już przy frontowej ścianie domu, oślepiło nas mocne światło, a zdławiony, lecz wyraźny głos zachrypiał:

- Stój! Ręce do góry!

Rozdział V

Serce -zatrzymało mi się w piersiach i ciarki przeszły po grzbiecie. W żółtym świetle latarki ujrzałem metaliczny błysk lufy.

Nim się zorientowałem w sytuacji, ciemna postać doskoczyła do nas i zatrzymała się jak wryta. Światło zgasło, po czym błysnęło znowu przesuając się po nas od stóp do głów.

- Niech to diabli!... To wy, Dziarmaga? - usłyszałem znajomy głos.

Porucznik Żurko chował pistolet.

- Co wy za polowanie urządzaacie tu, Żurko! - warknął zdenerwowany Trepka.

- Wezwano mnie. Przybyłem. Ujrzałem dwa podejrzane cienie snujące się wzdłuż ściany. Zaatakowałem - Żurko, jak zwykle, wyrażał się zwięźle. Zwięźłość w wystawianiu się była jedną z wielu chlubnych cech porucznika Żurko.

- Jesteście sami?

- Z sierżant Rojkową i Kajtusem, jak sobie życzyliście. Rojkowa jest w altanie. Kajtus objął posterunek w portierni. Oczywiście dyskretnie.

- Słyszę - westchnął Trepka.

- Jak to, nie rozumiem, co słyszycie?

- Słyszę wściekłość tej bestii Rezy. Ona, zdaje się, nie znosi konkurencji.

- Okropne bydlę. Omal nie rozerwało mi spodni - przytaknął porucznik.

- Słuchajcie, Żurko - zapytał Trepka - czy to nie wy zaglądaliście przez okno od kuchni?

- Przez okno? Nie. A dlaczego?

- Tutejsza gospodyni miała takie widzenie. Dawno tu jesteście?

- Przyjechałem przed chwilą. Właśnie szedłem do willi, kiedy zaszła ta pożałowania godna omyłka.

- Nie spotkaliście poza nami nikogo w ogrodzie?

- Ani żywej duszy. Ale co tu się właściwie dzieje?

- I dużo, i mało. Zależy, jak się patrzy.

- Konkretnie?

- Obawiam się nowego zamachu.

- Są podejrzani? Macie kogoś na oku?

- Zbyt wielu, żeby to wam coś wyjaśniło.

- No to po jakie licho mnie wezwaliście?

- Nie czułem się na siłach prowadzić tej sprawy we dwójkę. Jak wiecie, występujemy incognito.

- Do diabła, prewencja to nie moja funkcja!

- Wasz udział uznałem za niezbędny. To zbyt poważna sprawa.

Żurko spojrzał podejrzliwie na Trepkę. Widocznie jednak wziął jego słowa za dobrą monetę, bo odrzekł.

- W czym mogę pomóc?

- Idźcie na górę i przedstawcie się. Myślę, że to na razie wystarczy.
- Wystarczy? Do czego? - zapytał zdumiony Żurko.
- Żeby powstrzymać mordercę.

Żurko znów spojrzął podejrzliwie na Trepkę, czy nie kpi, ale twarz kapitana była nienagannie poważna.

- Rozumiem - powiedział i ruszył sprężystym krokiem po schodach tarasu.

Kiedy kilka minut później wróciliśmy do hallu, zastaliśmy tam dość dziwną scenę. Jonasz, Protoklicka i Macioszkowa stali pod ścianą, a Żurko siedział przed nimi na krześle i oglądał sobie paznokcie. Koło niego na stole leżały dowody osobiste.

- Niechże państwo siadają, proszę jeszcze raz - mówił groźnie - państwo niepotrzebnie wywołują napiętą sytuację.

- Przepraszam bardzo - wykrztusił Jonasz - ale to chyba pan, poruczniku... To pan, że tak powiem, wtargnął tu niespodziewanie i nie chce podać powodu.

- Co to za jedni? - zamiast odpowiedzi Żurko pokazał na nas.
- Nasi goście - odparł Jonasz.
- Poproszę dokumenty.

Trepka zasapał. Wiedziałem, że był wściekły. Styl pracy porucznika Żurki zawsze działał mu na nerwy. Podczas gdy odgrywaliśmy scenę legitymowania, rozległy się kroki na schodach i wszedł Zapłon otrząsając się z deszczu.

- A więc mamy i mundur - rzekł bez zdziwienia i bez słowa skierował się do swojego pokoju.

- Przepraszam, a pan? - zapytał Żurko. - Dowód poproszę.

Zapłon wyciągnął z kieszeni legitymację i rzucił na stolik, po czym znikł za drzwiami.

- Państwo też mogą udać się na spoczynek - powiedział Żurko do pozostałych.

Jonasz chciał o coś zapytać, ale w ostatniej chwili zrezygnował i poszedł do swego pokoju. Także doktor Protoklicka opuściła hall. Macioszkowa oglądając się bojaźliwie na Żurkę ruszyła jej śladem. Na schodach obejrzała się jeszcze raz i mruknęła:

- W imię Ojca i Syna! Co się tu wyrabia... pojęcie przechodzi!

Kiedy zostaliśmy sami, Żurko zapytał półgłosem:

- No cóż, zadowoleni?

- Po diabła to legitymowanie - szepnął Trepka.

- Milicja musi legitymować - odparł z przekonaniem Żurko bawiąc się legitymacjami.

Ze zdumieniem zauważyłem, że było ich dwie. Jedna Zapłona, a ta druga? Wziąłem je od Żurki i obejrzałem. Druga była legitymacją profesora Mistrała.

- Legitymowaliście profesora? - wykrztusiłem.

- Dla porządku - oświadczył spokojnie. - Stary był nieco zaskoczony. Pozwolił sobie również na niegrzeczne uwagi o rzekomo ekstrawaganckich metodach pracy milicji.

Powiedział, że ma już tylko jedno życzenie, żebyśmy zostawili go w spokoju.

- Żurko, przekroczyliście kompetencje - zasapał Trepka - kto was upoważnił do wchodzenia do pokoju profesora?

- Nie rozumiem waszego wzburzenia - rzekł Żurko. - Nie umiem pracować na ślepo. Jeśli chcieliście ślepe narzędzie, trzeba było sprowadzić Filipa. Ja muszę znać twarz osoby, którą ochraniam. Przy sposobności sprawdziłem pokój.

- Jak to?

- Poprzesuwałem trochę meble, obejrzałem ściany, skontrolowałem zamknięcie okna. Pod oknem znajduje się gzyms dość szeroki, by można było po nim przejść. Aby zabezpieczyć pokój od tej strony, zamknąłem okiennice.

- I cóż profesor?

- Oczywiście protestował. Ale teraz wiem przynajmniej, że jest zabezpieczony. Stwierdziłem również ważny szczegół. W drzwiach nie ma klucza. Profesor niestety odmówił wyjaśnień, polecając mi, bym się wyniósł do wszystkich diabłów.

- Tylko dla tego klucza daruję wam wszystko - rzekł Trepka. - Pamiętam doskonale, że klucz był jeszcze wczoraj. Tę rzecz należy wyjaśnić.

- W każdym razie, jeśli chcemy być pewni, należy czuwać pod drzwiami - powiedział Żurko. - Ściągnę tu na noc Rojkową.

- To zbyt uczynne. Nocujemy w tym hallu, na kanapach. Rojkowa niech czuwa na tarasie.

Była godzina jedenasta, kiedy powrócił profesor Kasica.

- Panowie, co się tu stało?

- To w związku z zamachem na profesora Mistrala - powiedział Żurko.

- Nie rozumiem... Jak to? Więc podejrzewacie kogoś z otoczenia?

- W istocie.

- Kogo?

Żurko odmówił wyjaśnień i poprosił profesora, by udał się do swojego pokoju.

W kilka minut potem usłyszeliśmy drobne kroki na schodach. Do hallu wbiegła Halinka Stor, otrząsając deszcz z płaszcza.

- Wciąż jeszcze leje? - zapytał Trepka.

- Och! - panna Stor wykonała pełen wyrazu ruch ręką - jak z cebra. Widziałam ludzi, którzy wracali z procesji. Coś niesamowitego. Przemokli do suchej nitki. Paskudne święta. A to kto? - Cofnęła się wystraszona na widok Żurki. - Milicja? Czy coś się stało?

- Nic - powiedział Żurko.

- Miałam zrobić profesorowi Mistralowi zastrzyk nowokainy - rzekła z wahaniem.

- Proszę - powiedział Trepka.

Panna Stor zniknęła w laboratorium. Po kilku minutach wyszła w białym fartuchu z pudełkiem do zastrzyków i ampułką w ręce.

- Na chwileczkę - zatrzymał ją Żurko - proszę pokazać ampułkę.

- Ależ co znowu! Dlaczego! - Panna Stor spojrzała na niego ze strachem.

- Profesor Mistral jest pod ścisłą inwigilacją z uwagi na próbę zamachu na jego osobę - powiedział Żurko. - Proszę otworzyć pudełko. W porządku. Dziękuję. Ampułki? Doskonale.

Panna Stor chciała odejść, ale Żurko zatrzymał ją.

- Nie, proszę jeszcze zaczekać.

Zbiegł na dół i po chwili wrócił z sierżant Rojkową.

- Sierżancie, zrewidujcie tę obywatelkę - powiedział.

- To niesłychane. Jak pan mnie traktuje! - oburzyła się laborantka.

- Bardzo nam przykro. To nie jest bynajmniej jakiś dowód nieufności. To procedura - powiedział ostro Żurko. - Musimy zachować maksimum ostrożności. W pana interesie leży, by stanąć poza wszelkimi podejrzeniami. Proszę zostawić pudełko i iść z sierżant Rojkową.

Panna Stor dysząc ze wzburzenia pozwoliła się odprowadzić do łazienki.

Po dwu minutach wyszła stamtąd czerwona.

- Czysta - zameldowała sierżant Rojkowa.

- Proszę! - Żurko wręczył laborantce ampułkę i pudełko.

Upokorzona i wściekła Halinka zniknęła za drzwiami profesora.

- Zdaje się, że nie zaniedbaliśmy niczego - powiedział zadowolony Żurko - ale pamiętajcie, Trepka, robię to wszystko na waszą odpowiedzialność. To wy stwierdziliście stan zagrożenia.

- Biorę to na siebie - powiedział Trepka.

- Czy mogę odejść? - zapytała sierżant Rojkowa.

- Zaczekajcie, wyjdziemy razem - powiedział Żurko wkładając płaszcz. - A wy zostaniecie tu długo? - zapytał kapitana.

- Jutro zabierzemy stąd profesora - odrzekł Trepka. - Mimo naszych wysiłków nie da mu się tu zapewnić dostatecznej ochrony. Zresztą to go żenuje i denerwuje. Nasza rola też nie należy do przyjemnych.

- Coś mi się zdaje - zażartował Żurko - że Dziarmadze żal będzie stąd wyjeżdżać.

- Dlaczego? - zapytałem czerwieniąc się mimo woli.

- No... no... - Żurko pogroził mi i uśmiechnął się pod swoim długim nosem - widziałem, z jakim zainteresowaniem wpatrywałaś się, bracie, w tę małą Stor. Dziewczyna jakby stworzona do kochania. Zazdrościłeś Rojkowej, co? Jak tam, koleżanko Rojkowa. Prawda, że było co zazdrościć?

Rojkowa zaśmiała się.

- Nie powiem. Zgrabniutka.

Nagle drgnęliśmy wszyscy. Drzwi pokoju Mistrala otwały się gwałtownie i stanęła w nich blada jak ściana Halinka. Dyszała ciężko, patrząc na nas okrągłymi z przerażenia oczyma.

- Co się stało? - krzyknął Żurko.

- Profesor Mistral nie żyje!

Rozdział VI

Jeśli kiedyś udało mi się widzieć Trepkę zaskoczonego, to właśnie w tej chwili. Wrażenie było tak silne, że przez moment nie ruszaliśmy się z miejsca. Potem wszyscy naraz rzuciliśmy się do drzwi. Panna Stor cofnęła się do pokoju robiąc nam przejście. Zrazu nie zauważyłem Mistrala. Wzrok mój najpierw padł na łóżko zastawione krzesłem, na którym wisiało ubranie. Sądząc, że profesor leży w łóżku, skoczyłem, w tę stronę. Lecz było puste. Rozejrzałem się po pokoju i dopiero wtedy spostrzegłem rękę sterczącą sztywno z głębi fotela przy oknie. Fotel zwrócony był tyłem do drzwi i zasłaniał profesora.

Mistral siedział skurczony z głową zwisłą na piersi. Miał na sobie szlafrok i miękkie pantofle. Obok na podłodze leżała stłuczona strzykawka. Trepka podniósł ją.

- Pani się bardzo przestraszyła, dziecino?

- O tak! - wykrztusiła panna Stor przyciskając ręce do piersi.

- Wezwij doktora Zapłona - polecił mi Trepka. - Niech weźmie z sobą fonendoskop i termometr.

Zapłon nie spał jeszcze. Leżał w ubraniu na łóżku i przeglądał jakieś notatki. Gdy powiedziałem mu, co się zdarzyło, zagwizdał i skoczył na podłogę.

Kiedy w minutę potem patrzyłem, jak spokojnie i rzeczowo ogląda zwłoki, pomyślałem: „Ten wesołek ma zadziwiająco zimną krew”. Temperatura ciała profesora wynosiła tylko 35 stopni, ręce i nogi ochłodziły już znacznie. Wszystko to wskazywało, że zgon nastąpił co najmniej przed godziną. Spojrzeliśmy na zegarek. Było dwadzieścia po jedenastej.

- Jaka jest według pana przyczyna zgonu? - zapytał Trepka.

- Nie znałem dokładnie stanu zdrowia Mistrala - rzekł Zapłon wymijająco. - Może Jonasz mógłby coś na ten temat powiedzieć.

Poszedłem po Jonasza. Już spał. Wyciągnąłem go z łóżka tak cicho, jak tylko było można, i poinformowałem o zgonie profesora. Jonasz był niesamowicie zdenerwowany. Gdy wkładał szlafrok, ręce mu drżały. Długo nie mógł znaleźć okularów. W hallu zgubił fonendoskop.

- To niemożliwe... Boże... to przecież niemożliwe... - bełkotał niezrozumiale przez całą drogę.

Nerwowo oglądał zwłoki. Szczególną uwagę zwrócił na jamę ustną. Raz po raz ocierał czoło chusteczką. Wreszcie wyprostował się i rozłożył bezradnie ręce.

- Nie rozumiem - wybełkotał - naprawdę nie rozumiem... Badałem profesora dzisiaj po kolacji... Miał bóle reumatyczne, to prawda, ale przecież nie groziły żadne powikłania... Ciśnienie było w normie...

- Zawał? - podsunął Zapłon.

- Wykluczone - Jonasz potrząsnął głową - serce było w porządku. Owszem, profesor miał pewne zmiany reumatyczne. To się zawsze w końcu odbija na sercu. Ale to nie były w żadnym razie zmiany groźne - otarł czoło - powiem panom otwarcie: to mi nie wygląda na śmierć naturalną.

- Czy tylko z powodu nagłości zgonu? - zapytał Żurko.

- Zauważyłem... - zawahał się Jonasz - zauważyłem pewne przekrwienie jamy ustnej i jakby rozpulchnienie śluzówki. Może to być następstwem spożycia mocnego alkoholu... Ten zapach... Czy kolega wyczuł ten zaspach? - zwrócił się do Zapłona.

Zapłon skinął głową.

- Istotnie, wygląda na to, jakby profesor gołnął sobie przed śmiercią, chociaż podobne objawy daje także inny wypadek. Mnie na przykład wydaje się - Zapłon przymrużył oczy - że profesor otruł się cyjankiem.

- Lub ściślej, został otruty - powiedział Żurko.

Jonasz przygryzł wargi. Zapanowała chwila nieprzyjemnej ciszy.

- Panowie pozwolą - wycedził Żurko utkwivszy wzrok w asystentach - że raczej tej wersji będziemy się trzymać.

- W ładną wpadliśmy kabałę - mruknął Zapłon, choć zdawało mi się, że nie jest specjalnie zmartwiony - nie obejdzie się bez sekcji, protokołów i huczku w prasie. Jednym słowem, zacznie się śledztwo, panie kolego Jonasz, a śledztwo w karierze lekarza to bardzo brzydka historia.

- Tak, to jest przykra historia - westchnął Trepka przyglądając się blademu Jonaszowi.

- Mówiąc między nami dla panów też - Zapłon uśmiechnął się złośliwie - pilnować ofiary przez trzy dni i nie upilnować. Ach, ta prewencja to cholernie trudna rzecz. My, lekarze, też mamy podobne zmartwienia.

Jonasz i Halinka drgnęli.

- Jak to... co pan chce przez to powiedzieć, kolego Zapłon?! \

- Chciałem przez to powiedzieć, że bywają czasami specjalne kategorie gości świątecznych bardzo kłopotliwych, czyż nie tak, poruczniku Dziarmaga?

Spojrzałem bezradnie na Trepkę. Był wściekły.

- Panowie są z milicji? - wykrztusiła Halinka patrząc to na nas, to na uśmiechającego się złośliwie Zapłona, a jej oczy znów zrobiły się bardzo okrągłe.

Trepka przygryzł wargi. Nie pozostawało nam jednak nic innego, jak zrobić dobrą minę do złej gry. Uśmiechnęliśmy się z przymusem i przedstawili.

Jonasz i Halinka byli w równym stopniu przerażeni.

- Och, to okropne - szepnęła Halinka - nigdy bym nie myślała... panowie nie wyglądają na milicjantów...

- Czy to zmienia sytuację, dziecińo? - zapytał dobrotliwie Trepka.

- Nie, nie... ale to straszne. Tajna milicja w domu. Boże! I pomyśleć, że panowie nas szpiegowali!

- Bez większych zresztą skutków i raczej z opletanym rezultatem - zakpił bezczelnie Zapłon.

- Pan jest diabelnie złośliwy, doktorze - zauważył Trepka.

- Przyznam się, że mam cholerną satysfakcję widząc milicję w kropce. Zastanawiam się, skąd to się u mnie bierze. Może stąd, że gdy dziecięciem będąc, na naszym kochanym Targówku bawiliśmy się w złodziei i policjantów, ja zawsze byłem złodziejem.

Trepka zasapał. Jawny cynizm Zapłona działał mu wyraźnie na nerwy.

- Radzę panu przyciąć sobie język, doktorze Zapłon, bo pan może kiedyś wpaść w tarapaty.

- Czyżby? - Zapłon uśmiechnął się szyderczo.

- Kto wie, czy tu nie zabawimy się jeszcze raz w tę ciekawą zabawę z Targówka.

- Och, byłbym panu niewymownie wdzięczny, gdyby się panu udało wskrzesić wspomnienia mego anielskiego dzieciństwa.

- Dostyc żartów nad zwłokami, panowie - uciał surowo Trepka. - Poruczniku Żurko, poproście wszystkich mieszkańców do górnego hallu.

- Gospodynię też?

- Macioszkową i jej męża zostawcie. Przesłuchamy ich potem. Rojkową dajcie do hallu na dole. Niech nikt nie opuszcza budynku.

Gdy Żurko wyszedł, Trepka polecił mi zadzwonić do Warszawy po porucznika Pajkerta i jego ekspertów oraz po paru ludzi do Komendy w Piasecznie.

Kiedy powróciłem do pokoju, Trepka zabierał się właśnie do przesłuchania Halinki Stor. Wystraszona dziewczyna siedziała naprzeciw niego z rękami na kolanach jak uczennica przed egzaminatorem.

- No i cóż nam pani powie, dziecino? - Trepka smutno pogładził się po łysinie.

- Co mogę panu powiedzieć? Weszłam, chciałam zrobić ten zastrzyk, zobaczyłam, że profesor nie żyje, przestraszyłam się i wybiegłam.

- Zaraz... zaraz, spokojnie, dziecino. Niech pani opowie po kolei. Zdaje się, że upłynęło chyba ze trzy minuty, zanim pani wybiegła. Cóż pani robiła przez ten czas?

- Widzi pan... ja... ja nie od razu zobaczyłam profesora Mistrala.

- Czy w pokoju paliło się światło?

- Tylko lampka nocna. Widziałam, że łóżko posłane i ubranie leży na krześle, więc myślałam, że profesor już się położył. Zaczęłam przygotowywać zastrzyk, wie pan, zakładać igłę, potem piłować ampulkę... Kiedy w końcu ze strzykawką, watą i eterem podeszłam do łóżka, przestraszyłam się. Na łóżku nie było nikogo. Dopiero patrzę, a profesor siedzi w fotelu. Myślałam, że się zdrzemnął, próbowałam go obudzić, ani drgnął. Wtedy się tak przestraszyłam, że mi wypadła strzykawka, Ale wciąż jeszcze nie wierzyłam, że nie żyje. Myślałam, że zemdał. Próbowałam go ocucić. Dopiero jak nic nie skutkowało, wybiegłam.

- Czy pani ruszała coś tutaj... dotykała czegoś?

- Nie, nic.

- Dziękuję pani. Niestety czeka panią jeszcze jeden niemiły zabieg, dziecino. Bardzo mi przykro, ale sierżant Rojkowa będzie musiała panią obszukać jeszcze raz.

- Pan myśli, że ja coś wzięłam - zacerwieniła się Halinka.

- Nic nie myślę, ale pani pierwsza znalazła zwłoki. Są takie pewne reguły, taki milicyjny obyczaj, wobec którego jesteśmy bezsilni - Trepka rozłożył ręce - tak zresztą będzie lepiej dla parni, po co ma później ktoś się przyczepiać.

- No dobrze, niech ta pani przeszuka - zgodziła się Halinka.

Trepka odprowadzał ją do drzwi i oddał w ręce Rojkowej.

- Znowu? - zdumiała się sierżant.

Po wyjściu Halinki zabraliśmy się do przeszukania i oględzin pokoju, siłą rzeczy pobieżnych tylko, gdyż nie chcieliśmy zacierać ewentualnych śladów przed przybyciem Pajkerta.

Żurko w milczeniu wskazał na pusty woskowany papierek po proszku i przewróconą szklankę na stoliku przy fotelu profesora. Na dnie szklanki i na spodeczku była woda.

- Więc jednak zażył - westchnąłem. - A tak go prosiliśmy.

- Kto dostarczył proszek?

- Jonasz - odpowiedziałem.

Żurko uśmiechnął się kwaśno:

- To cokolwiek zbyt proste jak na mój gust.

Dalsze poszukiwania niewiele przyniosły ciekawego. W pokoju panował zupełny porządek. Okiennice były zamknięte, tak jak je zostawił Żurko. Nawet kosz do śmieci, przysłowiowa deska ratunku wszystkich detektywów, okazał się pusty. W kieszeni wewnętrznej marynarki profesora znaleźliśmy tylko portfel zawierający dwa tysiące siedemset złotych w stułotowych banknotach. W kieszeni zewnętrznej dolnej było trochę drobnych. W białym laboratoryjnym kitlu na wieszaku przy drzwiach - kalendarzyk kieszonkowy i gumowe lekarskie rękawiczki.

- No tak - mruknął zawiedziony Żurko - morderstwo, pięknie, ale gdzie motyw?

Do drzwi zastukała Sierżant Rojkowa i wręczyła Trepce raport ze spisem przedmiotów znalezionych przy Halince. Kapitan przebiegł go oczyma i oddał mi bez słowa.

W spisie nie było nic godnego uwagi. Sam się zdziwiłem, że sprawiło mi to taką ulgę. Jeśli chodzi o Trepkę i porucznika Żurko, byli raczej ponurzy.

- Coś tutaj przeoczyliście, Trepka - Żurko oglądał paznokcie.

Trepka nie odpowiedział. Pocierał nerwowo łysinę. Wiedziałem, że boleśnie przeżywa swoją klęskę.

- Słuchajcie, Żurko - odezwał się po chwili - co byście powiedzieli, gdybym wam zaproponował poprowadzenie tej sprawy?

- Żartujecie chyba?

- Mówię poważnie. W tej chwili nie macie nic na głowie. Chyba że chodzi wam o święta.

- Jakie tam moje święta - mruknął Żurko pod nosem.

- No więc zgoda? Wiem, że polujecie od dawna na grubszą robotę.

- Ale to wasza sprawa - rzekł Żurko dalej pilnie oglądając paznokcie.

- Rozumiem was. Jeśli o to chodzi, bądźcie spokojni. Przekażę wam ją formalnie.

Pułkownik nie będzie miał nic przeciwko temu.

- Naprawdę odstąpiłobyście mi tę robótkę? Dlaczego? - w Żurce obudziła się czujność.

- Zainteresowałem się nią ze względów eksperymentalnych na marginesie moich studiów i chciałbym w dalszym ciągu zająć się raczej naukową stroną zagadnienia.

- Boicie się poślizgu? Mamy przecież cały komplet podejrzanych pod kloszem?

- Właśnie dlatego, Żurko. Dawno czyhałem na taką właśnie „laboratoryjną” robótkę.

Analiza przebiegu śledztwa w takich niemal klinicznych warunkach - oto, co mnie pasjonuje.

- Ach, więc i ja mam być przedmiotem analizy! - Żurko uśmiechnął się krzywo. -

Dziękuję wam za szczerość, ale to mi nie odpowiada. Musicie sobie poszukać innej doświadczalnej świnki.

- Nie, chcę tylko was.

- Mnie? A to dlaczego?

- Słuchajcie, Żurko - powiedział Trepka siadając naprzeciw porucznika - porozmawiajmy poważnie. Nasze metody i styl pracy różnią się zasadniczo.

- Chyba tak, więc?...

- Kłóciliśmy się nieraz, narzucaliśmy sobie partactwo i wymyślaliśmy sobie od fuszerów.

- Do licha, do czego zmierzacie, Trepka? - zaniepokoił się Żurko.

- Nieraz mówiłem sobie: „Ten Żurko to fuszer...” spokojnie, Żurko, nieraz mówiłem sobie: „...ten Żurko to fuszer, ale, powiedziałbym, genialny fuszer”.

- Dziękuję wam za komplement - westchnął Żurko.

- Myślałem sobie: „Żurko to jednak najbardziej obiecujący facet z całej Komendy. To nie rzemieślnik. To gracz! To umysł ścisły i bystry i gdybym ja, Kajetan Trepka, padł ofiarą zamachu, chciałbym, żeby sprawę zabójstwa Kajetana Trepki prowadził Hipolit Żurko”.

Żurko siedział osłupiały. Nie wiedział, co powiedzieć, czy ma się gniewać, czy okazać zadowolenie.

- Przyjacielu, poprowadź tę sprawę - kusił Trepka. - To nie jest zwykła rąbanka. Węszę tu niecodzienną aferę. To sprawa warta gry i wiem, że ona was ciągnie.

Żurko uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Dobrze, umowa stoi, ale ostrzegam was: tu nie ma miejsca na żadne eksperymenty. Ta sprawa nie nadaje się do tego. Tu potrzebna jest zwykła uczciwa robota i taką wam pokażę.

- O nic mi innego nie chodzi, przyjacielu - zakaszłał Trepka. - A więc, do roboty. Daję wam Pawła do pomocy.

Rozdział VII

Pół godziny potem Żurko kończył przeglądać notatki, które porobiłem na marginesie sprawy.

- Przypuśćmy, że w proszku, który dano do zażycia Mistralowi, był cyjanek czy jakaś inna trucizna - powiedział.

- Już sam proszek - wtrąciłem - o ile się nie mylę, zawierał pochodne kwasu barbiturowego, które stosowane w większych dawkach są śmiertelnie trujące.

- Oczywiście... ale nie o to mi w tej chwili chodzi. Zastanawiam się, kto i jak mógł umieścić w proszku tę truciznę.

- No, chyba najłatwiej Jonasz.

- Jonasza raczej nie biorę pod uwagę - powiedział Żurko - nie wygląda mi na aż tak lekkomyślnego, a to byłoby z jego strony po prostu głupie. Podejrzenia od razu zwróciłyby się przeciwko niemu.

- Sądźcie, że ktoś mógł nasypać trucizny do słoika, z którego czerpał Jonasz, lub sfalszować wagę, na której odmierzał składniki?

- Nie. To mało prawdopodobne. Sprawa zaaplikowania środka nasennego wypłynęła stosunkowo, późno i Jonasz bezpośrednio potem udał się do laboratorium. Myślę inaczej, że ktoś mógł zamienić już gotowy proszek w pokoju profesora. Zamienić lub dosypać tam czegoś korzystając z nieuwagi Mistrała. Jedno jest pewne - wykorzystano okazję, jaką stwarzała choroba profesora. W grę wchodziłoby: doktor Jonasz, doktor Protoklicka, profesor Kasica i Macioszkowa. To chyba wszyscy. Panny Stor nie biorę pod uwagę, bo wyszła zaraz po kolacji.

- Jest jeszcze doktor Zapłon - dorzuciłem.

- Zapłon też chyba odpada. Wyszedł na miasto grubo przed kolacją i nie mógł nawet wiedzieć o nagłej niedyspozycji profesora.

- Chyba że wśliznął się przez okno zaraz po swoim powrocie. Jego pokój znajduje się obok pokoju Mistrała, a pod oknami biegnie szeroki gzyms.

- Nonsens - uśmiechnął się Żurko. - Zresztą okiennice były zamknięte. Sam zamykałem. Wiemy, że z wymienionych czterech osób dwie tego wieczora wchodziły do pokoju profesora: Jonasz i Macioszkowa. Ostatni z podejrzanych zaglądał do profesora Jonasz, gdy zaniósł mu proszek, chociaż... właściwie trzeba by to sprawdzić. Mógł jeszcze ktoś wejść, gdy was nie było w hallu. Wychodziliście przecież na dwór.

- To prawda - przytaknąłem - wtedy gdy Macioszkowa zaalarmowała nas tą twarzą w oknie.

- Wywabiła was raczej - mruknął Żurko. - Twarz w oknie! Że też daliście się nabrać na taką sztuczkę? To przecież psuje wszystko. Bóg wie co mogło się w tym czasie zdarzyć tam na górze.

- No, nie wiem, czy tak można powiedzieć - mruknąłem urażony. - Bądź co bądź zostały wtedy w hallu na górze dwie osoby: Jonasz i Protoklicka.

- Jeśli chodzi o ścisłość - powiedział Żurko - to trzy. Gdy szedłem na górę, przyłapałem na schodach Macioszkową. Ale cóż z tego, te osoby mogły być w znowie.

- Wątpię - odrzekłem. - Protoklicka i Macioszkowa nie cierpią się wzajemnie.

- Pozór, gra, komedia - wszystko jest możliwe. A nawet jeśli to prawda, to nie zapominaj o wspólnocie interesów, która może w danej chwili zjednoczyć nawet wrogów. Lecz zostawmy to na razie. Bardziej mnie ciekawi, co Macioszkowa robiła wtedy w kuchni, kiedy miała to fantastyczne widzenie. Zdaje się, że o tej porze nic już tam nie miała do roboty.

- Chyba tak - potwierdziłem - powinna była raczej być przy pieczeniu ciasta w piekarni.

- Gdzie ta piekarnia?

- W ogrodzie przy inspektach.

- Trzeba będzie zbadać tę okoliczność - zanotował Żurko. - Trzeba także zbadać, co robiła w hallu na górze, gdy wyszliście na dwór...

Otwarty się drzwi i wszedł zadowolony Trepka.

- No, pierwszy krok już zrobiony - powiedział. - Wiemy, skąd wzięto truciznę. Ze słoika w laboratorium ubyłoby cztery gramy cyjanku potasu. Potwierdza to zarówno Halina Stor, jak Protoklicka. Są przerażone. Zabezpieczyłem słoik. Ciekawym, czyje znajdziemy tam odciski palców.

- Znajdziemy albo nie znajdziemy - mruknął Żurko - kto miał klucze od szafki z truciznami?

- Doktor Protoklicka, Halinka i obaj profesorowie. Doktor Protoklicka wręczyła przy nas swój klucz Jonaszowi. Poza tym zwracam waszą uwagę na jeden szczegół. Przy zwłokach profesora Mistrala nie znaleźliśmy żadnych kluczy.

- Rozumiem... A jak wyglądał kluczyk od szafy z truciznami?

- Typu „yale” - Trepka wyciągnął z kieszeni dwa płaskie kluczyki - zabrałem je dla bezpieczeństwa.

- Trzeba jeszcze pamiętać - wtrąciłem - że szafka dopiero od niedawna zamykana jest na specjalny klucz. Przedtem każdy miał dostęp do trucizn.

- Kiedy ostatni raz sprawdzano zawartość słoika?

- Sześć dni temu. W Wielki Poniedziałek, kiedy doktor Protoklicka poleciła założyć yale.

- Czy ktoś potem zaglądał do szafki?

- Nikt się nie przyznaje.

Żurko spojrzał na zegarek. Była godzina pierwsza.

- Zaczniemy chyba przesłuchania.

- I ja tak myślę - powiedział Trepka - najlepiej kuć żelazo, póki gorące.

Gdy weszliśmy do hallu, toczyła się tam właśnie gwałtowna dyskusja. Oczywiście na temat śmierci Mistrala. Na nasz widok wszyscy umilkli i przyglądali się nam ciekawie.

Żurko przedstawił krótko sprawę: Profesor Mistral został zamordowany i rozpoczyna się śledztwo. Jest to śledztwo specjalnego rodzaju, gdyż morderca znajduje się wśród zebranych. Jest jedną z pięciu osób, które siedzą w tym hallu, jeśli oczywiście nie liczyć Macioszków, którzy też muszą być wzięci pod uwagę.

- W związku z tym - wtrącił Trepka - jedna prośba. Byście się, państwo, na dwa, trzy dni nie wydalali z „Przystani”. Będziemy stanowić środowisko zamknięte. W tej, że tak powiem, wyjałowionej, laboratoryjnej probówce łatwiej zdemaskujemy i unieszkodlimy niebezpiecznego mikroba, o ile oczywiście pomożecie nam, państwo, przez wasze szczere i wyczerpujące zeznania.

- Jednym słowem, zamykacie nas, panowie - stwierdził Zapłon.

- Nie. To tylko prośba. Nic więcej. Jeśli ktoś z państwa będzie chciał wyjechać, nie będziemy stawiali przeszkód.

- Rozumiem - Zapłon przymrużył oko.

- Na koniec jeszcze jedna prośba, do pana, profesorze. Czy nie miałby pan nic przeciwko temu, żebyśmy urządzili w „Przystani” naszą małą kwaterę? - zapytał Trepka.

- Ależ oczywiście, że nie - zapewnił spieszenie profesor Kasica. - Wolę to niż ciągnięcie nas po Komendach. Panowie - zwrócił się do Trepki i do mnie - mają już swoje pokoje. Pan zaś, poruczniku - powiedział do Żurki - może zająć pokój naszego nieodżałowanego kolegi Mistrala.

- Wystarczy mi pokój porucznika Dziarmagi - powiedział skromnie Żurko - i tam poproszę państwa na wstępne przesłuchanie. Doktorze Jonasz, niech pan pozwoli z nami.

Do przesłuchania Jonasza jednak na razie nie doszło. Gdy schodziliśmy na dół, ścianę zalało światło reflektora samochodowego i do hallu wbiegł porucznik Pajkert, a za nim sierżant Pluszak z walizką śledczą. Nie potrzebuję dodawać, że Pajkert był wściekły. Wyciągnięto go z łóżka i nie dano nawet czasu na skompletowanie ekipy. Zjawił się z jednym tylko pomocnikiem.

Jego przyjazd połączony z niesamowitym hałasem, trzaskaniem drzwi i głośnymi okrzykami jeszcze bardziej podekscytował zgromadzonych w hallu lekarzy. Nie było końca domysłom i *ad hoc* konstruowanym teoriom.

Tymczasem Pajkert, klnąc, na czym świat stoi, zabrał się do roboty. Najpierw skrzyczał mnie, najzupełniej niesłusznie, że źle zabezpieczyłem ślady. Żurkę oskarżył o niekompetencję, a Trepkę nie wiadomo dlaczego o bałaganiarstwo, co bardzo ubodło kapitana. Miotał się po pokoju podobny do wściekłego pająka, któremu popsuto sieci, mierzył, fotografował, bebeszył łóżko, biurko i szafę, sypał proszek daktyloskopijny. Zdejmował odciski. Tumany talku unosiły się w powietrzu, doprowadzając do ataków kichania biednego Pluszaka, któremu zresztą i tak dostała się osobna porcja wymysłów.

Wreszcie Pajkert wyskoczył z pokoju. Z czarną nie ogoloną brodą, w niechlujnym fartuchu, usmarowany proszkiem, wyglądał przerażająco.

- To jest skandal! - krzyknął do zebranych pod drzwiami mieszkańców mierząc ich groźnym spojrzeniem.

Lekarze cofnęli się odruchowo.

- To jest skandal urządzić morderstwo w święta, jakby nie było innych dni. Ja też jestem człowiekiem, ja sobie wypraszam!

To powiedziawszy zniknął za drzwiami równie szybko, jak się pojawił. Przez kwadrans dochodziły nas jeszcze odgłosy jego pracy, po czym drzwi rozwarły się z trzaskiem. Ujrzelśmy najpierw sine stopy profesora, a potem wybiegli truchtem obaj funkcjonariusze, dźwigając na ramionach zwłoki. Wiedziałem, że Pajkert w ten fachowy sposób nosi sztywnych nieboszczyków, nie zwracając sobie głowy żadnymi noszami, jednakże mógł zaoszczędzić zebranym tego widoku. Makabryczny pochód wywołał wstrząs i zgorszenie. Profesor Kasica usiłował zaprotestować mówiąc coś o godności człowieka, ale odpowiedzi nie otrzymał. Załadowawszy nieboszczyka do swojej czarnej budy, Pajkert z kolei spenetrował laboratorium, obejrzał dom i jego otoczenie, dokonał kilku dodatkowych szkiców i fotografii. Na koniec wreszcie zdjął odciski palców wszystkich mieszkańców „Przystani” i nie powiedziawszy ani słowa odjechał wśród grobowego milczenia.

Było już całkiem widno, kiedy mogliśmy nareszcie wrócić do naszych przesłuchań. Żurko ze względów, jak powiedział, psychologicznych jako miejsce badań obrał pokój Mistrala.

Rozdział VIII

Jonasz zdążył się już otrząsnąć nieco z przeżyć ubiegłego wieczoru i stawił się nienagannie ogolony, wypucowany, pachnący lawendą. Tylko zaczerwienione obwódki powiek za okularami mówiły o nie przespanej nocy.

- Niech pan siada - Żurko podsunął mu fotel profesora.

Jonasz wzdrygnął się nieco.

- Wolałbym na krześle...

- Niech pan siada na krześle - zgodził się Żurko. - Od jak dawna znał pan profesora Mistrala?

- Jeszcze z czasów studenckich, to znaczy od sześciu lat.

- Z Wrocławia?

- Tak, z Wrocławia. Ale bliżej poznałem go, odkąd jestem asystentem, czyli od dwu lat.

- Jaki naprawdę był profesor Mistral?

- Nie bardzo rozumiem, o co panu chodzi. Co mam właściwie powiedzieć?

- Niech pan mówi, co pan chce - powiedział Żurko.

Jonasz spojrział na niego zaskoczony.

- Jeśli chodzi o sylwetkę naukową - wyjąkał wreszcie - jeśli chodzi o sylwetkę naukową, to była osobistość wybitna. Tak, wybitna. Obawiam się, że nasza nauka poniosła niepowetowaną stratę, chociaż może niedocenioną. Tak, niewątpliwie niedocenioną.

- Dlaczego?

- No... jeśli chodzi o mój prywatny sąd, to profesor należał do najwybitniejszych hematologów polskich, może nawet ostatnio był najwybitniejszym hematologiem. Takie, mimo wszystko, ugruntowało się zdanie w środowisku naukowym, czego dowodem może być, iż właśnie jego wytypowano jako delegata na światowy zjazd do Tokio.

- Tak, a jeśli chodzi o stosunki wewnątrz instytutu?

- Wewnątrz instytutu?... - zawahał się Jonasz.

- Tak, wewnątrz instytutu - powtórzył Żurko.

- Były najzupełniej normalne. Nasz dyrektor, profesor Kasica, panowie go poznali, to bardzo miły zwierzchnik, traktuje nas po koleżeńsku... Zapewne może się zdawać nieco rubaszny, ale to złote serce.

- Czy nie było jakichś zadrażnień między obu profesorami?

- Nie przypominam sobie.

- A pozostali współpracownicy? Jak układały się stosunki między nimi a profesorem Mistralem?

- Zupełnie poprawnie. Profesor Mistral był, zwłaszcza ostatnio, na specjalnych prawach w instytucie i jego zależność od profesora Kasicy była raczej nominalna. Prowadził badania samodzielnie i właściwie nie miał kontaktów z nikim innym poza najbliższymi współpracownikami.

- To znaczy poza panem, doktorze, i panną Stor?

- Tak jest.

- No, a pan jak oceniał profesora Mistrala jako jego asystent? Czy współpraca panów układała się dobrze?

- Nie mogłem narzekać. Profesor Mistral był wprawdzie bardzo wymagający i powiedziałbym nawet pedantyczny, jednakże ja sam też lubię porządek.

- Jednym słowem, panowie się dobrali.

- Można to i tak określić - uśmiechnął się Jonasz.

- Czy to samo można powiedzieć o panie Stor?

- Sądzę, że tak. Profesor był z niej bardzo zadowolony. Długo nie mógł sobie znaleźć odpowiedniej laborantki. Przez te dwa lata przewinęło się ich z pół tuzina.

- I wreszcie znalazł.

- Tak, aż w Kielcach, zupełnie zresztą przypadkowo. W zeszłym roku odwiedzał miejscowy szpital, gdzie pracowała, i tam zwrócił na nią uwagę.

- Jak pan przypuszcza, kto mógł zabić profesora? - zapytał nieoczekiwanie Trepka. Jonasz drgnął.

- Nie mam pojęcia... - wykrztusił - nie mam zupełnie pojęcia...

- A czy pan wie, za co mógłby ktoś zabić profesora?

- Nie... nie... nie widzę żadnego motywu! - odpowiedział bez zastanowienia i z jakąś nieoczekiwaną gwałtownością.

- Co się stało z kluczem od drzwi profesora? - rzucił nagle pytanie Trepka.

- Z kluczem od drzwi? Nie rozumiem, co się miało stać - Jonasz wyglądał na zdziwionego.

- Klucz zginął - odparł Trepka.

- Nic o tym nie wiedziałem.

- Czy wczoraj wieczorem u profesora widział pan klucz w drzwiach?

- Nie zwróciłem na to uwagi.

- Pan zdaje sobie sprawę, że profesor zmarł po zażyciu pańskiego proszku? - wtrącił się Żurko.

- „Po” to jeszcze nie znaczy „na skutek” - odparł ostro Jonasz. Odniosłem wrażenie, że był przygotowany na to pytanie.

- Czy jest pan pewien, że nie pomylił się w dawce tego... tego środka nasennego? - zaakcentował nieprzyjemnie Żurko.

- Z pewnością nie. Odmierzyłem dokładnie i skrupulatnie. Jeśli chodzi o *natrium phenylaethylbarbituricum*, dawka nieszkodliwa *pro dosi* wynosi 0,1 g. Ja dałem tylko 0,08 g.

- Czy proszek zawierał tylko to *natrium pheny... pheny?...* - Żurko nie mógł przebrnąć przez trudną grecko-łacińską nazwę.

- *Phenylaethylbarbituricum* - uśmiechnął się Jonasz. - Nie, nie tylko *natrium phenylaethylbarbituricum*. Dodałem jeszcze nieszkodliwe dawki *phenacetini*, *amidopyrini* i *codeini phoispharioi*.

Przeszliśmy do laboratorium.

- Więc pan stanowczo wyklucza możliwość, że w proszku znajdowała się trucizna.

- Ja w każdym razie jej tam nie umieściłem - powiedział spokojnie Jonasz.

Zauważyłem, że w miarę postępu śledztwa stawał się coraz bardziej pewny siebie. W niczym nie przypominał już roztrzęsionego człowieczka z poprzedniego wieczoru. Czyżby śledztwo szło w złym kierunku?!

- Pan nie umieścił - mruknął Żurko - ale ktoś inny. Czy mógł to zrobić ktoś inny? Co pan o tym sądzi?

- Nie widzę, kto mógłby to zrobić. Kiedy wyszedłem z laboratorium, w hallu na górze był tylko profesor Kasica.

- Zaraz - Żurko pochylił się ciekawie - więc pan wychodził z laboratorium?

- Wyszedłem na dół do mojego pokoju po papierosy.

- Jak długo nie było pana w laboratorium?

- Bo ja wiem... chyba z pięć minut.

- Pięć minut szukał pan papierosów?

- Po drodze wstąpiłem do toalety - wyjaśnił Jonasz.

- Gzy zostawił pan drzwi laboratorium otwarte?

- Oczywiście - zdumiał się Jonasz. - Przed kim miałem zamykać?

- Czy jak pan wrócił, nie zauważył pan jakichś zmian w laboratorium? Nic pana nie uderzyło? Nikt tam nie grzebał.

- Nie... nic nie zauważyłem.

- Jest pan przekonany, że nikt nie wchodził do laboratorium?

- Nie... nie... Przecież profesor Kasica wchodził. Spojrzeliśmy po sobie.
 - I dopiero teraz pan o tym mówi! - westchnął Żurko.
 - Przecież pan nie pytał, kto wchodził, tylko czy ktoś coś ruszał w laboratorium.
 - No dobrze już, dobrze - zdenerwował się Żurko - więc pan zastał Kasicę w laboratorium?
 - Raczej w drzwiach.
 - Jak się zachowywał profesor?
 - Był trochę zdenerwowany. Powiedział: „Warto by dać Kajtusiowi na sen. Piszczy niemożliwie i biega jak szalony”.
 Żurko z trudem powstrzymał uśmiech.
 - Macie tu imiennika - zwrócił się do Trepki.
 - Pan też ma na imię Kajetan? - zapytał Jonasz.
 - Mam, przyjacielu - Trepka poruszył urażony uszami. - Nie widzę jednak powodu do dygresji.
 Żurko podszedł do klatki i przyglądał się świnkom morskim.
 - Która to nazywa się Kajtek? - zapytał.
 - Ta duża z ogonem i długim włosiem - pokazał niechętnie Jonasz.
 - Niesamowita. Czy to naprawdę świnka morska?
 Jonasz skinął głową.
 - Chyba jakiś specjalny gatunek?
 - To mutant.
 - Przypomina raczej szczura piżmowca. Rzeczywiście okropnie nerwowe stworzenie i biega na dwu łapach. - Żurko dotknął przez kratę pyska zwierzęcia.
 W odpowiedzi Kajtuś pisnął przeraźliwie, obnażając olbrzymie siekacze, potem obrócił się błyskawicznie i wystawiwszy ogon przez pręty, smagnął nim po twarzy zaskoczonego Żurkę.
 - Złośliwa bestia - porucznik otarł się ze wstrętem. - Po co panowie trzymają takiego potwora?
 - Jako *curiosum* - uśmiechnął się Jonasz - to jedyny w swoim rodzaju wypadek mutacji.
 - Istotnie wyjątkowy, zwłaszcza jeśli chodzi o ogon - mruknął Żurko - ale wracajmy do sprawy. O co to ja jeszcze chciałem zapytać pana, doktorze... Pan pamięta ten alarm Macioszkowej, że jakaś twarz zagląda przez szybę do kuchni?
 - Istotnie, przypominam sobie - Jonasz spojrzął na Żurkę ze zdziwieniem.
 - Kapitan Trepka i porucznik Dziarmaga wybiegli wtedy przed dom. W hallu na górze zostaliście państwo tylko we dwoje. To znaczy pan i doktor Protoklicka. Czy ktoś z państwa zaglądał wtedy do pokoju profesora Mistrala?
 - Nie... po co?
 - Potem wróciła Macioszkowa, czy nie tak?
 - Zgadza się - skinął głową Jonasz.
 - Po co wróciła?
 - Przyniosła coś profesorowi do picia.
 Żurko uniósł się z miejsca.
 - Do picia?
 - Tak.
 - W czym?
 - W szklance.
 - Co było w tej szklance?
 - Nie wahałem. Sądząc po kolorze, wiśniak - odpowiedział spokojnie Jonasz. -
 Profesor Mistral codziennie do kolacji wypijał sobie kieliszek.
 - I pan dopiero teraz o tym mówi! - zdenerwował się Żurko.

- Odpowiadałem na pytania - mruknął Jonasz.
Żurko wstał i zrobił kilka nerwowych kroków wzdłuż pokoju. Potem powiedział:
- Dziękuję na razie, doktorze.
- No, rzecz się ładnie gmatwa - powiedział, gdy wróciliśmy do pokoju Mistrała. -
Chciałbym teraz zobaczyć Macioszkową. Ciekawym, co ona nam powie.

Rozdział IX

Macioszkową znalazłem w kuchni. Z zawiniętymi rękawami krzątała się przy przepelnionym zlewie. Na mój widok otarła czerwone i podpuchnięte oczy. Spojrzałem na mokrą posadzkę i przepelniony zlew.

- Cóż tu się stało, proszę pani?
- Nie widzi pan, zlew się zatkał. Tyle razy mówię dziewczynom, nie wlewać byle czego, ale gdzie tam, zawsze zrobią swoje. Od wczoraj tak stoi. Smarkule spieszyły się na rezurekcję i zostawiły tak wszystko. W takie święto człowiek musi się tak babrać... aż grzech, ale zostawić drugi grzech. A tu i robić się nie chce, tylko by człowiek płakał... Jezusie, w jakim to człowiek czasie żyje! Jak dzisiaj rano zabrali profesora, to miejsca sobie nie mogłam znaleźć. Spłakałam się jak bóbr, ale tu nawet płakać nie dadzą. Pani baronowa od razu: „Cóż to, Macioszkowa ojca straciła?” Ojca nie ojca, ale przecież człowiek to nie pies. Jak sobie pomyślę, że jeszcze wczoraj mówił do mnie „Maciosiu, cóż to Maciosia zapomina o mnie, a ja taki chory”, to mnie aż tu ściska, proszę pana. Takie nieszczęście, proszę pana. I gadają - otruty! Boże miłościwy! Ale to prawda, że już wczoraj miałam przecucia i ta twarz w oknie. To był znak, proszę pana. Znak to był! Panowie też już coś uważali... gadają, że dom był obstawiony od trzech dni... Panowie też już swoje myśleli. Boże kochany, i kto by pomyślał, że pan z milicji. W tych okularach i z taką inteligentną twarzą. Głowę bym dała, że nauczyciel. No i co, panowie już coś znaleźli? - zapytała nagle z jakąś pospolitą ciekawością, która nie licowała zupełnie z jej poprzednim nastrojem.

- Szukamy pomału - rzekłem - właśnie pomyśleliśmy sobie, że pani mogłaby nam bardzo pomóc.

- Ja? - Macioszkowa otworzyła usta i patrzyła na mnie wylękniona.
- Pani zna tutaj wszystkich. Chcielibyśmy porozmawiać z panią.
- Teraz, zaraz.?
- Tak.
- Ano, niech i tak będzie - westchnęła i zaczęła zdejmować fartuch.

Zauważyłem, że przed progiem gabinetu przeżegnała się lękliwie jak przed niebezpieczną podróżą. Ledwo usiadła na krześle, które podsunął jej Żurko, rozplakała się. Żurko krążył koło niej zakłopotany. Nie wiedział, co ma z nią począć.

- Niechże się pani uspokoi - powtarzał bezskutecznie. - No czemu pani płacze?
- O Boże... taki człowiek... - szlochała - takiego człowieka otruć... w same święta... Kara boska... na nas spadnie... na ten cały diabelski dom... a mówiłam... mówiłam, że to diabelski dom. A poświęcić nie chcieli.

- Dlaczegoż to pani nazywa ten dom diabelskim?
- To pan nie wie? Tu za tych czasów, kiedy ci rzeźnicy mieszkali, nierządnicę się prowadziła.

- Kto taki?
- Nierządnicę, proszę pana, niejaka Tereska, co tutaj za maszynistkę była. Mieszkała w tym pokoju, gdzie teraz pani baronowa.

- Proszę mówić zwięźle i rzeczowo - zdenerwował się Żurko. - Co pani robiła w kuchni o dziesiątej wieczór?

- Ja to zaraz wytłumaczę za porządkiem, jak było. Więc najpierw przed kolacją pytałam się pana profesora, czy będzie jadł, ale pan profesor powiedział, że nic jeść nie będzie, że

kapuśniak i flaki za ciężkostrawne. Więc mówię, może omlet albo kaszki zrobić, ale profesor mówi: „Niech się Maciosia nie kłopotczy, ja wiem, że i tak Maciosia ma urwanie głowy”. Taki to, proszę pana, życzliwy był człowiek, że do rany przyłożył. Jakże tak bez jedzenia - zdziwiłam się, a profesor: „Niech się Maciosia nie martwi, mam tu sucharki ze śniadania, kompot i konserwę z kury”. Ale jak przyszłam wieczorem z kawą, to mnie zawołał: „Maciosiu, cóż to, zapomniała o mnie Maciosia?” A gdzież tam - mówię - tylko pan profesor nie chciał przecież nic jeść. „Maciosiu - powiada na to - Maciosia zapomniała” i uśmiecha się biedaczyna, chociaż mu z tym bólem nie bardzo było do śmiechu. Ale to taki życzliwy człowiek był, proszę pana. Dopierom sobie przypomniała, że to o wiśniak chodzi, bo profesor codziennie pijał do poduszki. „Tylko - mówi profesor - niech się Maciosia strzeże tego łysego pana, niech Maciosia tak przyniesie, żeby nikt nie widział, bo mi nie pozwalają wypić nawet kieliszka”. Ale ja myślę sobie, jakże tak przeniosę, żeby nikt nie widział, e, co tam będę się kryć. Niech no mi tylko powie kto. Zeszłam do kuchni po ten wiśniak i nagle, panie, struchlałam. Ta twarz w oknie tak mnie przestraszyła. I pobiegłam na górę.

- Ale potem zaniósła pani tę szklaneczkę profesorowi?

- Zaniósłam.

- Czy profesor wypił wódkę przy pani?

- Nie, powiedział, że wypije, jak się będzie kładł do łóżka.

- Gdzie postawiła pani szklanę?

- Na stoliku przy łóżku, ale...

- Ale, co?

- Profesor powiedział, żebym postawiła na półkę do szafy, bo nie chce, żeby kto widział.

- Co robił profesor, gdy pani przyniosła wódkę?

- Wygrzewał się termoforem na fotelu.

- Czy mówił coś jeszcze do pani?

- Tak, prosił, żeby okno otworzyć, bo duszno. Nawet się zdziwiłam. Jakże to - mówię - pan profesor się przecież wygrzewa, a okno chce otworzyć. Niezdrowo. Powietrze chłodne i wilgotne, zawieje pana. Na reumatyzm, niech Bóg broni, nie ma nic gorszego. Ale profesor powiedział, że to przesąd, że świeże powietrze jeszcze nikomu nie zaszkodziło.

- No i cóż, otworzyła pani to okno?

- A cóż miałam zrobić. Otworzyłam.

- A co potem?

- Potem?... wyszłam.

- Jeszcze jedno, pani Macioszkowa, co się stało z kluczem?

Macioszkowa wytrzeszczyła oczy.

- To panowie wiedzą o kluczu? - wykrztusiła.

- Pozwoli pani, że my będziemy pytać - powiedział Żurko - gdzie jest klucz?

- O, Boże, a cóż pan tak do mnie... - wystraszyła się Macioszkowa - skądże ja mam wiedzieć, co się stało? Całą sobotę harowałam... nie zauważyłam nawet, że zginął, dopiero wieczorem, jakem przyniosła profesorowi tę szklaneczkę, to mnie spytał, czy nie wiem, gdzie klucz. Nie żeby był zmartwiony alba przestraszony, ale tak zwyczajnie zapytał. Zaczęłam szukać pod drzwiami i pan profesor też szukał po kieszeniach, aleśmy nie znaleźli. Wtedy pan profesor powiedział, że pewnie gdzieś zostawił przez roztargnienie, ale że go to dziwi, bo dałby głowę, że jak wracał z laboratorium, to tym kluczem, otwierał drzwi.

- Jak pani myśli, czy profesor mógł zostawić klucz po stronie zewnętrznej drzwi? - zapytał Żurko.

- Myślę, że mógł... Zawsze zostawiał po zewnętrznej stronie. Profesor nigdy się nie zamykał w pokoju. Chyba na noc.

- Tak... tak... - powtarzał Żurko zacierając ręce - czy może nam pani pokazać tę karafkę, z której pani nalewała wódkę dla profesora?

Macioszkowa spojrzała na niego z lękiem.

- Nie myśli pan porucznik chyba, że... że to od tej wódki?

- Nie myślę - mruknął Żurko - ja nigdy nic nie myślę, ja tylko prowadzę śledztwo, rozumie pani, i proszę mi więcej nie zadawać takich pytań, cokolwiek bym robił.

- Tak, proszę pana.

- No, to przejdźmy do tej kuchni.

- Jeszcze jedno pytanie. - Trepka zbliżył się do Macioszkowej z koszem do śmieci. - Czy pani wczoraj wieczorem usuwała śmieci z tego kosza?

- Nie... proszę pana, kosze opróżnia się rano przy zamiataniu pokoi.

- Dziękuję, możemy przejść do kuchni.

- To z tej karafki - pokazała Macioszkowa i sięgnęła po kryształową butlę stojącą na półce kredensu.

- Proszę nie dotykać! - krzyknął Żurko. Macioszkowa cofnęła rękę i zasłoniła usta.

- O Jezu! - szepnęła ze strachem.

- Co się stało?

- O Boże! - wykrztusiła - karafka pusta.

- Czy pani jest pewna, że wczoraj wieczorem była tam jeszcze wódka?

- Na pewno, panie, przecież panowie przy stole wypili tylko po kieliszku. Jakem sprzątała, było jeszcze z ćwierć litra. Dla profesora nalałam pół tej szklaneczki, zostało jeszcze dużo.

- Czy wódka była jeszcze dziś rano?

- Nie... nie zauważyłam, nie miałam głowy, proszę pana.

- Czy możliwe, żeby ktoś z mieszkańców uraczył się tą wódką? Czy jest tu w zwyczaju, że każdy może przyjść do kuchni i nalać sobie kieliszek?

- Nie, proszę pana. Dla doktorów znajduje się „apteczka” w hallu na górze. Stąd bierze się tylko wódkę do kolacji.

- Rozumiem!

Żurko ujął ostrożnie karafkę za brzeg szyjki.

- Pan ją zabierze? - zapytała Macioszkowa.

- Tak, proszę pani - Żurko przeszył ją wzrokiem.

- Chciałbym panią jeszcze o jedno zapytać - Trepka pogładził łysinę - pani przypomina sobie, że w piątek rano profesor udał się na przechadzkę?

- Przypominam sobie, proszę pana.

- Jak się pani zdaje, dokąd profesor mógł wtedy wyjść?

Macioszkowa zmarszczyła brwi.

- Nie wiem... mówiłam już panu, że nie wiem.

- Szkoda - mruknął Trepka.

Wyszliemy z kuchni.

- Sprawa gmatwa się coraz bardziej - powiedział Żurko - nie podoba mi się ta cała historia z wiśniakiem,

- Myślisz, że w wódce mogła być trucizna? - zapytałem,

- Dlaczegożby nie...

- Wszystko to ładnie, ale motyw, motyw, panowie - zakaszłał Trepka.

Rozdział X

Doktor Protoklicka była zupełnie opanowana. Wydawało się, że śmierć profesora nie poruszyła jej wcale. Wyglądała nawet o wiele korzystniej niż ubiegłego wieczoru. Twarz

miała doskonale „zrobioną”, palce wymanicurowane. Swobodnie zajęła miejsce w fotelu Mistrala i zimno wpatrywała się w porucznika Żurkę, wertującego notatki.

- Jak pani sądzi, dlaczego otruto profesora?

- Nie mam pojęcia - odrzekła bez namysłu.

Żurko spojrział wymownie na Trepkę.

- Co pani robiła wczoraj po kolacji? - zapytał.

- Czy to niezbędne pytanie, poruczniku? Zdaje się, że cały czas byliśmy pod obserwacją tych panów - spojrzała przymrużonymi oczyma na mnie i na Trepkę.

- Jeśli chodzi o ścisłość - wycedził Żurko - to niezupełnie przez cały czas. Kapitan i podporucznik wyszli przecież na dwór, zaalarmowani przez Macioszkową.

- Ach, o to chodzi. Zdaje się, że doktor Jonasz wyjaśnił już tę kwestię. Nie ruszaliśmy się z miejsca. Nie wchodziliśmy ani do laboratorium, ani do pokoju profesora.

- Tak - potwierdził Żurko - a potem? Zdaje się, że pani schodziła do kuchni poprosić Macioszkową o kawę.

- I to panów interesuje? - zdziwiła się doktor Protoklicka. - Owszem, zeszłam do kuchni, i cóż z tego?

- Nie było pani dokładnie dwadzieścia minut - Żurko odłożył notatki - co pani robiła tak długo?

- Widzę, że jest pan bardzo dokładny, poruczniku - uśmiechnęła się zimno doktor Protoklicka - ale sądzę, że z łatwością będę mogła zaspokoić pańską ciekawość. Po prostu Macioszkowej nie zastałam w kuchni i musiałam jej szukać gdzie indziej.

- Mianowicie?

- Mianowicie w piekarni, gdzie piekła ciasto.

- Gdy pani powróciła - wtrąciłem - nie widać było na pani śladów deszczu.

- Istotnie, co za bystra obserwacja, podporuczniku - uśmiechnęła się z ironią doktor. - Czy pan sobie wyobrażał, że pobiegłam na drugi koniec ogrodu w mojej sukience? Mam na szczęście pelerynę z kapturem.

- Proszę, niech pani opowiada dalej - zachęcił ją Żurko.

- Dalej jest bardzo interesująco - ironizowała wciąż Protoklicka. - Powiedziałam Macioszkowej o kawie i wróciłam do domu.

- Razem z Macioszkową?

- No, nie... wróciłam, pierwsza. Macioszkowa powiedziała, że zaparzy kawę w piekarni, bo w kuchni nie ma już ognia.

- Zdaje się jednak, że do hallu weszła pani razem z Macioszkową?

- Weszłyśmy jednocześnie, ale nie razem. To jest mała różnica.

- Więc cóż pani robiła w międzyczasie?

- Byłam u siebie w pokoju. Jeśli to panu nie wystarczy, to mogę jeszcze dodać, że poprawiałam włosy.

- Tak - mruknął Żurko zaglądając do notatek - potem o godzinie dziesiątej pięć zeszła pani na dół. Czy zaglądała pani jeszcze do kuchni?

- Nie, po co? - rzekła zaskoczona. - Udałam się tylko do łazienka, a potem poszłam spać.

- Która to była godzina?

- Pół do jedenastej.

- Czy może zauważyła pani kogoś w hallu?

- Nie, nikogo.

Macioszek kucał przy Rezie i karmił to ohydne zwierzę jakimiś podejrzanymi knedlami. Na widok munduru Żurki podniósł się i przybrał postawę zasadniczą.

- Niech pan dokończy swoich czynności - powiedział Żurko, zawsze wyrozumiały, dla osób spełniających obowiązki służbowe.

- Czym pan karmi tego psa? - spytałem z ciekawionym.

- Daję mu specjalny pokarm. Sam go przygotowuję - odrzekł Macioszek - tylko wtedy jestem pewny. Poprzedniego psa mi otruto.

- Meldował pan o tym milicji?

- E, panie, milicja ma inne sprawy na głowie.

Przeszliśmy do portierni.

- Czy jest możliwe, panie Macioszek, żeby ktoś dostał się do ogrodu przez mur? - zapytał Żurko.

- Bez pomocy z wewnątrz nie da rady - rzekł z przekonaniem Macioszek. - Pan Michał robił raz z kolegami próbę, ale się nie udało.

- Czy wczoraj wieczorem wchodził ktoś obcy do „Przystani”?

- Nie - potrząsnął głową Macioszek - oprócz pana i milicjantów tylko pan doktor Zapłon, panna Halinka i pan major.

- Pan myśli o profesorze Kasicy?

- Tak, o profesorze Kasicy.

- Czy może pan podać dokładny czas, kiedy te osoby wychodziły?

- Nie bardzo, proszę pana. Pamiętam tylko, że pan doktor Zapłon wrócił za kwadrans dziesiąta. Spojrzałem wtedy na zegar, żeby zobaczyć, czy już dziesiąta. Po dziesiątej należy mi się napiwek za otwieranie, proszę pana. A co do pana majora i pani Halinki, to mogę tylko powiedzieć, że wrócili koło jedenastej. Jedno niedługo po drugim. Ale przecież wtedy stał tam już ten gruby milicjant. On powinien wiedzieć.

- Co to za telefon otrzymał wieczorem profesor Kasica?

Macioszek spojrzał nieufnie na Żurkę.

- To od pacjentki - powiedział z ociąganiem - od niejakiej Żurakowskiej.

- Kto dzwonił, ona sama?

Macioszek zawahał się na moment.

- Nie... jakiś głos męski Może syn...

Żurko wstał.

- Jeszcze jedno, panie Macioszek - wtrącił Trepka - czy pan nie wie, gdzie tu jest w okolicy czerwona glina?

- Czerwona glina? - Macioszek łypnął zdumionym okiem na Trepkę.

- Tak, czerwona glina.

- Ano, to chyba w Ryżych Dołach. Tam gdzie dawniej była cegielnia. Tylko tam, proszę pana.

Gdy wyszliśmy z portierni, stanął na progu i patrzył za nami nieruchomo.

Profesor Kasica wyraźnie stracił humor i stał się drażliwy.

- Co ja mogę panom powiedzieć? - wybuchnął zdenerwowany, gdy poprosiliśmy go o chwilę rozmowy w jego pokoju. - O niczym nie mam pojęcia. Jak panowie wiecie, wróciłem dopiero o jedenastej, skąd mogę wiedzieć, co tu się przez ten czas wyrabiało.

- Bardzo nam przykro, ale jednak musimy panu zadać kilka pytań. Pan wieczorem wychodził do pacjentki?

- Tak, dostałem telefon o nagłym pogorszeniu. Mam tutaj znajomą pacjentkę, z dość ciekawym przebiegiem leukopenii z komplikacjami sercowymi.

- Nazwisko tej pacjentki?

- Pani Żurakowska. Panowie chcą to sprawdzić? Bezcelowe.

- Dlaczego?

- Tej pacjentki nie ma. Wyjechała.

- Jak to?

- Ktoś zakpił sobie ze mnie bezczelnie. Kiedy poszedłem na miejsce, domownicy byli bardzo zdziwieni. Oświadczyli mi, że nikt nie telefonował i że pani Żurakowska siedzi od trzech dni w Szczawnicy.

Spojrzelśmy po sobie z Żurką.

- Przykry wypadek - odezwał się Trepka.

- Bezczelność - mruzczał Kasica - chuligański wybryk... śpieszyłem się jak wariat...

- A mimo to poszedł pan piechotą - zauważył niewinnie Trepka - chociaż... chociaż, o ile wiem, pański nowy samochód jest na chodzie. Dlaczego?

Kasica milczał przez chwilę zaskoczony. Pytanie zaskoczyło go i zmieszało wyraźnie.

- Nie wiem... doprawdy nie wiem - wykrztusił - nie wiem, dlaczego nie pomyślałem o samochodzie... Dotąd jakoś nie mogę się przyzwyczaić, że jestem właścicielem samochodu... Tyle lat dreptał człowiek na piechotę.

- Rozumiem - uśmiechnął się dobrotliwie Trepka.

Zapadła chwila kłopotliwego milczenia. Czuliśmy, że Kasica ma jeszcze coś na języku.

- Chciałem panom zakomunikować - odezwał się wreszcie - że muszę wpaść na parę godzin do Warszawy. Czy panowie nie mają nic przeciwko temu?

- Oczywiście, że nie... - odparł Żurko, jednak gdy znaleźliśmy się za drzwiami, dodał: - Podejrzana historia z tym Kasicą. Zarządzimy inwigilację.

Spojrzał na zegarek i poszedł wydać dyspozycje. Wrócił po chwili.

- No to pozostał nam tylko Zapłon. Z nim też w końcu zrobiła się niejasna historia.

- Dlaczego? - zapytałem.

- Czasy... czasy, porównaj czasy, Paweł - Żurko drapał się po brodzie zaaferowany. - Macioszek twierdzi, że Zapłon wrócił za kwadrans dziesiąta. W hallu Zapłon znalazł się dopiero pięć po dziesiątej. Co u diabła robił przez te dwadzieścia minut. Stwierdziłem, że przejście ogrodem od portierni do willi zabiera najwyżej trzy minuty czasu. ,

Zapłona znaleźliśmy w łóżku. Żurko spojrzał na zegarek, była już dziesiąta.

- Pan się źle czuje? - zapytał.

- Nie, skądże znowu! Trochę za dużo wypilem. Nie można się wprost ruszyć, żeby nie częstowali wódką - asystent niemrawo zaczął gramolić się z łóżka. - Panowie fatygowali się całym quorum, czy nie za dużo fatygi? Uprzedzam panów, że będę szaraczkiem w tym śledztwie. Mogę od razu powiedzieć, że nie mam pojęcia, komu potrzebna była śmierć Mistrala i kto go zakatrupił. Jeśli chodzi o mnie, to zdaje się, że mam murowane alibi.

- Nie ma pan żadnego alibi! - powiedział ostro Żurko.

- Czyżby?

- Wrócił pan za kwadrans dziesiąta i miał pan jeszcze sposobność domieszać trucizny do wódki.

- Do wódki? - zdumiał się Zapłon.

- Niestety, trucizna mogła być podana również w wódce.

- Psiakrew! - zaklął Zapłon - więc mnie jednak wplątali w ten bigos.

- O kim pan myśli? Podejrzewa pan kogoś?

Zapłon potrząsnął głową.

- Nie, nie miałem nikogo konkretnego na myśli.

- Dobrze. Wracajmy do tematu. O godzinie za kwadrans dziesiąta był pan już na terenie willi, a dopiero dwadzieścia minut później pojawił pan się w hallu na gorze... Co robił pan przez te dwadzieścia minut?

Zapłon wydawał się stropiony.

- Nie wiem, co mam panom odpowiedzieć... Nic nie robiłem.

- Jak to, musiał pan jakoś spędzić ten czas?

- Rzeczywiście - w głosie Zapłona czuć było kpinę - coś musiałem robić.
 Prawdopodobnie błąkałem się po ogrodzie.

- Proszę nie żartować - powiedział Żurko.
- Czy moje wyjaśnienie nie wydaje się panom przekonujące?
- Absolutnie nie.
- Bardzo mi przykro, ale doprawdy nie wiem, co wymyślić innego.
- Wymyślić? - Żurko nastroszył się wzburzony. - Pan, zdaje się, urządza sobie tu kpimy?
- Dlaczego? Czy mi nie wolno spacerować po ogrodzie?
- Po deszczu, o dziesiątej wieczorem?
- Do licha! - Zapłon poskrobał się po rozczochranej głowie - na śmierć zapomniałem, że wtedy padał deszcz.

Żurko wstał.

- Widzę, że nie ma pan ochoty rozmawiać z nami poważnie. No cóż, może prokurator przemówi panu do rozsądku. Pana sytuacja w każdym razie nie jest do pozazdroszczenia.
- Czyżby było ze mną gorzej niż z szanownymi kolegami?

Żurko pominął milczeniem to pytanie i skierował się do drzwi. Zapłon uśmiechnął się pod nosem i wlał pod kołdrę.

- Jest jeszcze jeden człowiek, który mógłby nam pomóc - powiedział Trepka - brat zmarłego. Zadzwoń, Pawełku, po adwokata Grzegorza Mistrala.

Rozdział XI

- Uważaj! - krzyknął Żurko ciągnąc mnie gwałtownie za ramię.

Istotnie zagapiłem się haniebnie i omal nie wpadłem pod samochód, który profesor Kasica wyprowadzał sprzed garażu na główną alejkę. Od chwili gdy wyszliśmy z pokoju Zapłona, prześladowała mnie pewna myśl.

- Co ci się stało, Paweł? - Żurko miał bardzo zdziwioną minę - czy może wizyta u tego wesołka tak podziałała na ciebie?

Skinąłem głową.

- Ten błazen aż się prosi, żeby go posadzić, ale to nie powód, byś się pakował pod wóz.
- Nie myślę o nim - mruknąłem.
- Nie o nim, więc o kim?
- Myślę o tej małej Stor.
- O Stor? - Żurko aż przystanął ze zdumienia i zajrzał mi w oczy. - Ach, to tak... rozumiem... niech cię diabli wezmą! - zachichotał domyślnie, waląc minie kułakiem w plecy. Ta jego zbytnia domyślność wyprowadziła mnie z równowagi.
- Do licha! - wybuchnąłem - nie rób głupich min i nie udawaj, że nie widzisz, o co chodzi. Ta mała Stor miała taką samą, jeśli nie lepszą okazję, żeby zakatrupić starego.
- Ona?
- Jeśli zakładamy, że cyjanek był w wódce, jeśli zakładamy, że mogła go tam umieścić osoba, która tego wieczora opuszczała hall... jeśli dlatego Zapłon jest podejrzany, to chyba ona jeszcze bardziej.
- Oczywiście - rzekł Żurko - ją też biorę pod uwagę.

Żurko istotnie wziął pannę Stor pod uwagę. Może nawet zbyt ostro i brutalnie. Przekonałem się o tym jeszcze przed obiadem. Gdy szedłem do pokoju na górze, do moich uszu dobiegł cichy płacz, Drzwi do laboratorium były lekko uchylone. Zajrzałem do środka. Halinka leżała zwinięta w kłębek na kanapce i szlochała boleśnie.

Pierwsze wrażenie było przykre i pogłębiło jeszcze bardziej moje podejrzenia. Jest winna, dlatego płacze! Chwyta się środka, jakiego w jej położeniu chwyciłaby się co najmniej

połowa kobiet kryminalistek. Udaje pokrzywdzoną niewinność, chce zagrać na naszych uczuciach.

Usłyszawszy skrzypnięcie drzwi zerwała się i zmierzyła mnie nieprzyjaznym wzrokiem.

- To pan? Czego pan sobie życzy?

- Nic, przepraszani panią - powiedziałem, nie wyszedłem jednak z pokoju.

- Och, przestraszył mnie pan! - Otarła oczy. - Myślałam, że pan znów mnie chce wziąć na badania.

Pomyślałem, że to brzmi fałszywie i nowa fala podejrzeń uderzyła we mnie. Nie chciałem jednak dać tego poznać po sobie.

- Przepraszam panią - powtórzyłem - zajrzałem tu najzupełniej przypadkowo.

- Naprawdę? - zabawnie pociągnęła noskiem.

„Udaje dziecinną” - pomyślałem.

- Wydaje mi się, że porucznik Żurko dopełnił już tej przykrej i niewdzięcznej formalności - rzekłem głośno.

- Niewdzięcznej?

- Cóż, proszę pani, my, milicjanci, też jesteśmy ludźmi i przesłuchiwanie tak miłych stworzeń jak pani zawsze nas krępuje.

- Tego pana Żurkę nic nie krępowało. To straszny człowiek! Wie pan, on jest przekonany, że to ja zabiłam pana profesora Mistrala; nasypałam cyjanku do karafki i...

- Przekonany? To może za mocne słowo. Porucznik Żurko jest nieco zbyt szorstki i sposób jego indagacji mógł panią zaskoczyć.

Potrząsnęła smutno głową.

- Ja wiem, że pan mnie tylko tak pociesza, ale pan myśli - to samo, co pan Żurko.

„Chce, żebym zaprzeczył” - zorientowałem się i pozostawiłem ją bez odpowiedzi.

Halinka znów ukryła twarz w dłoniach i skurczyła się na kanapce. Przypominała skrzywdzone, bezbronne zwierzątko.

„Jeśli gra, to na piątkę” - pomyślałem.

- Wszyscy milicjanci są jednakowi - szepnęła - i pan też jest taki sam jak wszyscy. A do tego jeszcze podstępny z tą swoją niewinną minką. Podstępny jak lis.

Poczułem się niemile dotknięty i zakłopotany. Nie wiedziałem, co mam zrobić. Wyjść czy dodać jej otuchy. Jeśli jest niewinna, zasługuje na współczucie. Dla takiej młodej dziewczyny ta cała historia musi być okropnym przeżyciem. Jeśli wyjdę, uzna mnie za człowieka oschłego i bez serca. Ale czy jest niewinna?

- Niechże pani nie płacze, pani Halinko - odezwałem się nieobowiązująco - tak nie można!

- Kiedy to takie straszne... takie straszne... - szepnęła. - Pewnie mnie wsadzą do więzienia.

- Niechże pani będzie rozsądna! Jeśli pani ma czyste sumienie, nie powinna się pani martwić. Nawet najporządniejszy obywatel może być zaplątany w najgorszą kryminalną sprawę, to często rzecz przypadku.

- Kiedy ja się tak boję.

- Czego?

- Mało to niewinnych wsadza się na całym świecie do więzienia.

Chrząknąłem zakłopotany.

- Niech się pani nie obawia. Gdzie jak gdzie, ale tutaj prawdziwy sprawca będzie na pewno wykryty.

- Dlaczego? - podniosła się i spojrzała na mnie ciekawie.

- Bo tutaj działa kapitan Trepka - uśmiechnąłem się. - To nazwisko pani, jako osobie cywilnej, zapewne nic nie mówi, ale ja mogę pani powiedzieć: Gdyby kapitan Trepka był

prywatnym detektywem, o jakich czyta się w książkach, byłby na pewno sławny. Niestety, jest tylko milicjantem. A sławę milicjantów trzyma się pod korcem.

- Jest pan tego pewien? - ożywiła się Halinka.

- Tak jak tego, że pani jest miłą i uroczą dziewczyną.

- Pan jest bardzo dobry. - Halinka spróbowała uśmiechnąć się do mnie.

- No więc, uszy do góry - zażartowałem - i cierpliwości!

- A jak długo to jeszcze będzie trwało?

- Śledztwo? To zależy przede wszystkim od państwa. Niestety, niektórzy z waszego grona wie chcą nam pomóc tak, jakby mogli. Odnosimy takie wrażenie.

- Ja bym bardzo chciała - powiedziała Halinka - ale nie bardzo wiem w czym. Wszystko już chyba powiedziałam.

- Nigdy nie wiadomo, co może się okazać ważne. Czasami jest to szczegół, który uchodzi uwagi, czasami nawet wrażenie. Po pani spodziewamy się dużo. Pani znała dobrze profesora i całe tutejsze środowisko. Może nasunie się pani jakieś ciekawe spostrzeżenie, może pani coś sobie przypomni, co mogłoby rzucić nowe światło na sprawę. Na przykład bardzo by nam pomogło, gdybyśmy się dowiedzieli, dlaczego zabito profesora. Motyw jest chyba najważniejszy w tej sprawie.

Halinka słuchała uważanie.

- Sama nad tym myślę, proszę pana. Komu mógł przeszkadzać taki dobry człowiek jak profesor Mistral.

- I co?

- I nic nie mogę wymyślić. Ale jak tylko coś mi przyjdzie do głowy, zaraz powiadomię panów.

Patrzyłem na nią i chciałem ją przejrzeć. Nie, to chyba niemożliwe, żeby ona... A jednak nie mogłem się pozbyć podejrzeń. Albo jestem wstrętnym cynikiem, albo...

- Nad czym pan tak rozmyśla? - zapytała niespokojnie Halinka.

- Myślę, że to pech, iż taka dziewczyna jak pani została zaplątana w tę brudną sprawę.

Halinka poczerwieniała.

- Niech mi pan powie - zawahała się spuszczać oczy - czy pan naprawdę wierzy, żebym ja to mogła zrobić?

- Nie... nie chcę w to wietrzyć i byłoby mi bardzo przykro, gdybym się omylił.

Wtedy stała się rzecz niespodziewana. Halinka zarzuciła mi rękę na szyję i pocałowała w policzek.

- Pani Halinko! - wykrztusiłem czując, że się gwałtownie rumienię.

- Och, strasznie się wstydzę - Halinka zasłoniła oazy - co pan sobie o mnie pomyśli. Niech pan już idzie... No, czemu pan jeszcze stoi! - krzyknęła z niezrozumiałą złością.

Wyszedłem spocony jak mysz. Za drzwiami zdjąłem okulary i zacząłem je czyścić, nerwowo i głupio. Mój przyśpieszony oddech i puls demaskowały mnie bezlitośnie. Całe szczęście, że tylko przed sobą.

Poza tym, raczej osobistym zajściem, nie zdarzyło się tego dnia nic osobliwego. Znajdowaliśmy się w maleńkim impasie. Zapewne dlatego Trepka przyjął zaproszenie komendanta miasta i o pierwszej wyruszyliśmy na świąteczny obiad do Piaseczna. Nasz gospodarz był bardzo szczęśliwy, że może podejmować Trepkę, i obiad, który zresztą przypominał raczej staropolską ucztę, trwał dobre parę godzin.

Resztę dnia spędziliśmy na rozmyślaniach teoretycznych. Żurko, w oczekiwaniu na wyniki sekcji zwłok i badań daktyloskopijnych, porządkował zeznania. Trepka, rozsiadłszy się w głębokim wolteriańskim fotelu, pograżył się w sobie tylko wiadomych refleksjach, a może po prostu drzemał. Jeśli chodzi o mnie, to muszę ze wstydem przyznać, że moje rozmyślania miały trochę inny i niezupełnie służbowy charakter.

Notatnik liryczny porucznika Pawła Dziarmagi

Niedziela, 21 kwietnia

Podczas samotnych wieczorów w moim pokoju na poddaszu przy ulicy Fontanny przyzwyczałem się roztrząsać moje myśli i czyny, lecz dzisiejsze zdarzenie w laboratorium wymyka mi się spad analizy. Nie bardzo wiem, co o tym wszystkim sądzić. Być może, zbyt poważnie biorę pewne fakty. Zdaje mi się jednak, że zostałem zdemaskowany w czymś, do czego nie chciałem się przyznać. Odkryłem w sobie coś, czego nie chciałem sobie uświadomić.

Poprzestałbym na tym stwierdzeniu, ale niepokoi mnie jedno: czy moje uczucie do Halinki jest normalnym uczuciem?

Żurko jest zdania, że w ten sposób wyzywają się moje skłonności sadystyczne. Zainteresowałem się dziewczyną, przeciw której mam zbierać dowody obciążające. Dlaczego powiedziałem o tym Żurce? Cóż za materiał na powiernika! Czy chodziło mi tylko o lojalność i czyste sumienie?

Zapytałem Żurkę, czy nie powinienem wyłączyć się ze sprawy. Czy mogę prowadzić ją obiektywnie. Żurko nazwał mnie dziwakiem i skrupulantem. Powiedział, że to będzie przyjemne urozmaicenie dla śledztwa.

Wieczorem przed snem długo przeglądałem się w lusterku - rzecz niesłychana w okresie śledztwa. Zdaje mi się, że moje przeświadczenie o własnej brzydocie było mocno przesadne i podyktowane zapewne wrodzoną skromnością. Wzrostu jestem przyzwoitego - metr siedemdziesiąt pięć, oczy łagodne, myślące. To prawda, że noszę okulary i podbródek mój jest nieco za słabo zarysowany. Jednakże tylko półinteligenci mogą z tego wyciągać jakieś charakterologiczne wnioski. Być może, jestem zbyt miękki, lecz ma to swoje źródło nie w słabości, lecz w delikatności uczuć. Tylko ten nos! On psuje wszystko, nie da się zaprzeczyć, że jest zbyt masywny i obarczony na końcu poczciwą gulą. Nie ulega natomiast wątpliwości, że twarz moja tchnie uczuciowością i temu z pewnością należy przypisać zaufanie, z jakim odnoszą się do mnie kobiety.

Poniedziałek, 22 kwietnia godz. siódma

Ranne golenie. Konieczność rzeczowego patrzenia w lustro. A jednak to jest twarz małpy! Nic innego nie da się o niej powiedzieć.

Redaktor Hałastra opowiadał nam kiedyś, że studenci murzyńscy, których spotyka się w Paryżu na Saint Germain, wyróżniają się z ogółu młodzieży nienaganną czystością, dystynkcją i elegancją. Ja ich rozumiem!!!

Pożyczyłem od Macioszkowej żelazka. Ubrałem się nadzwyczaj starannie.

Godzina dziewiąta

Pech! Zapomniałem o śmigusie-dyngusie. Siedzę w bieliźnie w zamkniętym pokoju i suszę ubranie. Dobrze, że słońce się pokazało. Ale ja im natrę uszu tym łobuzom od Macioszków i Nowakowskich! Halinki nigdzie nie widziałem.

Godzina dwunasta

Znów jestem elegancki. Spotkałem Halinkę na schodach. Na mój widok przyśpieszyła kroku i zniknęła w swoim pokoju. Wyraźnie mnie unika. Jestem dręczony wątpliwościami natury zasadniczej.

Uległa chwilowemu nastrojowi i teraz tego żałuje.

Zastałem wtedy biedną, przerażoną dziewczynę, po szoku spowodowanym przez tego brutalą Żurkę. Osamotnioną i nieszczęśliwą. Uspokoilem ją i podniosłem na duchu.

Wywołałem u niej chwilowy odruch wdzięczności - to wszystko.

Rozdział XII

O pierwszej przyjechał brat zamordowanego, adwokat Grzegorz Mistral. Był wstrząśnięty wiadomością o śmierci profesora.

- Biedny Szymon - powiedział witając się z nami - tak sobie dużo obiecywał po tym kongresie w Tokio.

Poprosiliśmy go na górę. Macioszkowa przyniosła kawę.

- A jednak nie myliłem się w moich przeczuciach, kiedy prosiłem pana o zajęcie się tą sprawą, kapitanie - w głosie jego dał się wyczuć wyrzut.

Trepka westchnął.

- Jestem niepokieszony, mecenasie... że tak się to skończyło... Może gdyby profesor był z nami bardziej szczerzy... Muszę panu ze wstydem wyznać, że dotąd nie znamy motywu. Dlatego pozwoliliśmy sobie wezwać pana... sądzę, że pan nam pomoże.

Grzegorz Mistral rozłożył ręce.

- Myślałem nad tym od chwili, gdy otrzymałem od was tę straszną wiadomość. Nic jednak nie przychodzi mi do głowy.

Zapadła chwila milczenia.

- Pan znał dobrze środowisko brata? - zapytał Żurko.

- O tyle o ile... trudno mi jednak sobie wyobrazić, żeby któraś z tych osób...

- Co pan może powiedzieć o profesorze Kasicy?

Grzegorz Mistral podniósł do góry brwi.

- Panowie go podejrzewają.

- Bierzemy wszystkich pod uwagę - odrzekł wymijająco Żurko.

- Profesor Kasica... - powiedział wolno adwokat - przeciwko profesorowi Kasicy wysuwano w ostatnich czasach pewne zarzuty... Już przed laty jego nominacja na dyrektora instytutu wywołała zdziwienie. Kasica nie miał autorytetu naukowego i uważano powszechnie, że stanowisko to należy się mojemu bratu. W tym czasie jednak Szymon nie był dobrze widziany u kompetentnych czynników. Zaszкодził mu bardzo jego pobyt w Anglii, gdzie spędził wojnę.

- Sądzi pan, że między nim a pańskim bratem mogło dojść do jakichś zadrażnień? - zapytał Żurko.

- Raczej nie, profesor Kasica miał dużo taktu i jego stosunek do brata był zawsze poprawny. Niewątpliwie istniała między nimi rywalizacja. O ile wiem, pracowali nad tymi samymi zagadnieniami.

- Pan wspominał o zarzutach, jakie wysunięto przeciw Kasicy.

- Owszem, krytykowano go w czasopiśmie lekarskich, a nawet w „Życiu Warszawy”.

Oczywiście zbyt przesadnie. Kasica to też swojego rodzaju talent. Jeśli nie naukowy, to w każdym razie organizacyjny. Ostatnio dużo zrobił dla instytutu. Wiem, że starał się o kontakty zagraniczne i załatwiał wyjazd Szymona na kongres, nie mówiąc już o zdobyciu dla personelu dwu domów.

- Kiedy był ten artykuł w „Życiu Warszawy”?

- Gdzieś na początku stycznia.

- Co konkretnie zarzucano profesorowi?

- Brak kwalifikacji naukowych. Kasica miał wtedy małe niepowodzenie w pracach badawczych. Zdechły mu zwierzęta doświadczalne czy coś takiego. Preparat, który przygotowywał, zawiódł w próbach klinicznych. Obciążono go w związku z tym nie wyjaśnioną śmiercią jednego pacjenta w klinice, choć moim zdaniem niesłusznie. Potem musiał przyznać się do porażki. Wtedy zaczęto przebąkiwać, że powinien ustąpić ze stanowiska. Mimo to, a może właśnie wskutek tego, Kasica ogłosił wywiad, że jest na drodze „przełomowych odkryć”.

Żurko podszedł do telefonu i zadzwonił do Komendy w Piasecznie, by mu wyszukano egzemplarz gazety z artykułem na temat stosunków w instytucie hematologicznym.

- Panie mecenasie - odezwałem się korzystając z tego interludium - czy pan może coś powiedzieć, jak właściwie układały się sprawy między profesorem Mistralem a doktor Protoklicką?

Grzegorz Mistral spojrział na minie ciekawie.

- Więc i o tym panowie słyszeli. No cóż! Mój brat omal nie popełnił głupstwa. Mężczyzna jego pokroju nie powinien się żenić z kobietą tak ambitną. Odradzałem mu to małżeństwo. Nie wiem, czy by to coś pomogło, ale na szczęście znalazł wtedy tę małą Stor. Nie, niech pan mnie źle nie rozumie - zastrzegł się widząc zmianę na mojej twarzy. - Nie chcę przez to powiedzieć, by między panną Stor a moim bratem istniały jakieś bliższe stosunki. Tu chodziło o sam fakt pojawienia się przy nim takiej osobki jak Halinka.

- Jak mam to rozumieć?

- Wkrótce po sprowadzeniu Halinki brat pisał do mnie dosłownie: Znalazłem stworzenie młode, wesołe, pełne zapału i życia - tu następowało jeszcze kilka przymiotników, które opuszczam - stworzenie, przy którym ludzie i sprawy nabierają właściwych wymiarów i proporcji. Mogę wreszcie określić to, czego dotąd nie byłem w stanie. Nie wiąże mnie nic z panią P. i nigdy nie będzie wiązało”.

- Jak na to zareagowała doktor Protoklicka?

- Nietrudno odgadnąć. Przypuszczalnie nigdy mu tego nie darowała. Kobiety raczej nie darują takich rzeczy. Wiem, że wkrótce potem wyjechała do siostry do Francji. Sądono powszechnie, że tam zostanie na stałe. Wróciła jednak po miesiącu.

- Chcielibyśmy jeszcze usłyszeć opinię pana o obu asystentach - powiedział Trepka.

- Trudno mi powiedzieć coś konkretnego. Zbyt mało ich znam. Doktor Zapłon to, zdaje się, uczony z powołania, choć ma przykry charakter i dość szokujące poglądy. Kiedyś na marginesie sporu o autorstwo jakiegoś odkrycia naukowego słyszałem, jak powiedział: „Autor jest nieważny - ważne jest dzieło”.

- Jak dawno jest asystentem Kasicy?

- Od kilku miesięcy. Kasica zaangażował go już po swoich niepowodzeniach naukowych.

- A Jonasz?

- Ten człowiek dopiero zapisze swoją kartę. Może nie jest orłem, ale ma pasję wybicia się. Poza tym jest niesłychanie pracowity. Wiem, że brat bardzo go cenił.

Na tym zakończyliśmy oficjalną rozmowę.

Przed obiadem otrzymaliśmy telefon. Komenda podawała wyniki sekcji zwłok. Żurko chwycił niecierpliwie słuchawkę, a kiedy ją odłożył, na jego twarzy malowało się zadowolenie.

- No, spisali się na medal. Sekcja w święta wielkanocne! Bodaj to zawsze mieć do czynienia z nieboszczykiem medykem. Protekcja zapewniona - uśmiechnął się pod obwisłym nosem.

- Wyniki? - zapytał Trepka.

- Otruty cyjankiem potasu. Otrzymał co najmniej jeden gram. Taką dawką można by wytruć pięciu ludzi.

- Spożyta zaś przez jednego człowieka daje w efekcie śmierć natychmiastową - dodał Trepka. - Człowiek pada jak rażony piorunem, zanim zdąży sobie zdać sprawę, co się z nim dzieje.

- Tak jest! - wykrzyknął Żurko zacierając kościste ręce. - I dlatego można z całą pewnością stwierdzić, że trucizna nie została podana w wodce.

- Dlaczego, przyjacielu? - Trepka wydawał się zaskoczony.

Żurko uśmiechnął się z wyrozumiałością.

- Wystarczy przeprowadzić proste rozumowanie. W przewróconej szklaneczce i na spodeczku przy fotelu profesora znajdowała się woda. Nie wiśniak. Woda. To znaczy, że po wypiciu wódki profesor nabrał do szklaneczki wody, by popić proszek. By to zrobić, profesor musiał podejść do umywalni, odkręcić kran, być może, także wypłukać szklaneczką, nabrać wody i wrócić na fotel. Gdyby w wiśniaku była trucizna, profesor nie miałby czasu zrobić tego wszystkiego, bo padłby na miejscu trupem.

Po raz pierwszy spojrzałem z podziwem na Żurkę. Ten wywód był logiczny i prosty. Nawet Trepka słuchał z ogromną ciekawością.

- I co dalej, przyjacielu?

Żurko uśmiechnął się chytrze.

- Co dalej? Dalszy ciąg będzie wkrótce - powiedział tajemniczo.

Rozdział XIII

Gotów jestem uznać Żurkę za jasnowidza. Rzeczywiście wkrótce miały miejsce dziwne wypadki.

Byłem właśnie w pokoju i zastanawiałem się, czy powinienem powiedzieć Halince o wynikach sekcji, kiedy zastukała Macioszkowa, że obiad już na stole. Zbiegłem pośpiesznie po schodach. W hallu było jeszcze pustawo. W jednym kącie drzemał w fotelu Trepka, w drugim, przy półkach z książkami, wertował roczniki pism medycznych i gazet Żurko. Eskulapi dopiero zaczęli się schodzić. Zauważyłem, że doktor Protoklicka i Jonasz pokazują sobie z uśmiechem śpiącego Trepkę.

- Komiczny jest ten milicjant - powiedziała półgłosem Protoklicka.

- Wszystko to jest groteskowe - mruknął Jonasz - nigdy bym nie przypuszczał, że świąteczny obiad zjem przy jednym stole z milicją.

- I ze zbrodniarzem - dodał z szyderczym uśmiechem Zapłon zbliżając się do nich.

Wreszcie pojawiła się Halinka. Unikała starannie mojego wzroku udając, że jest zajęta pomaganiem Macioszkowej w rozlewaniu zupy do talerzy. Zwróciłem jednak uwagę, że raz po raz rzuca niespokojne spojrzenie na Żurkę przeglądającego czasopisma.

- Niechże pan już rzuci te szpargały - uśmiechnęła się doktor Protoklicka. - Obiad stygnie.

Żurko wyprostował się. Miał zaaferowaną minę.

- Brakuje tutaj jednego numeru „Wiadomości Lekarskich”.

Protoklicka uniosła wysoko brwi.

- To niemożliwe - rzekła - były wszystkie.

- Pani jest zaskoczona? - Żurko przyglądał jej się uważnie.

- Przyznam się panu, że tak. W piątek robiłam porządek na półkach i niczego nie brakowało.

- Czy ktoś z państwa wziął ten numer? - zapytał Żurko patrząc groźnie po twarzach obecnych - chodzi o numer lutowy.

Nikt się nie odezwał.

- No cóż, znajdziemy go w Warszawie - powiedział Żurko i z ponurą miną usiadł przy stole.

- Czy to ważne? - zapytał niespokojnie Jonasz. - Do czego panu potrzebny ten numer?

- A pan jak myśli? - zapytał niespodziewanie Żurko.

Jonasz umilkł zmieszany.

Drobny ten incydent popsuł i tak już przykrą atmosferę obiadu. Nikt nie miał ochoty nawet na grzecznościową rozmowę i wszyscy byli skrupowani. Obserwowałem bacznie Halinkę. Wydało mi się, że jest bardzo zdenerwowana. Rozsypała sól, a przy drugim daniu widelec upadł jej na podłogę.

- Goście jadą - zażartował Zapłon. Ale nikt się nawet nie uśmiechnął.

Po obiedzie Macioszkowa podała kawę i towarzystwo rozproszyło się po hallu. Jonasz z Protoklicką rozmawiali siedząc w fotelach przy oknie. Zapłon czytał gazetę. Halinka zaszyła się w kącie przy stoliku.

Podszedłem do niej z cukrem. Spojrzała wystraszona.

- Pani pije gorzką kawę.

- Nie zauważyłam nawet.

- Co pani jest, Halinko?

- Nic.

- Pani coś ukrywa.

- Nie, zdaje się panu - spojrzała na mnie z przerażeniem - czego pan tak na mnie patrzy?

- Chcę, żeby pani pamiętała o naszej umowie.

Halinka rzuciła niespokojne spojrzenie w stronę Jonasza i Protoklickiej.

- Nie tutaj, patrz na nas! Niech pan nic nie mówi. Niech pan odejdzie. Boję się...

- Nie rozumiem pani, Halinko - spojrzałem na nią ze zdumieniem.

- Proszę czekać przy garażu za pół godziny - szepnęła - powiem coś panu. A teraz niech pan odejdzie. Błagam pana!

Wyszedłem do ogrodu. Deszcz już nie padał. Niebo przejaśniło się, a porywisty wiatr zapowiadał zmianę pogody. Spacerowałem przez kilkanaście minut po pustych alejach, gubiąc się w domysłach na temat tego, co mi miała powiedzieć Halinka. Zmiana w jej zachowaniu była tak uderzająca, że spodziewałem się rewelacji.

Wreszcie o umówionej godzinie poszedłem pod garaż. Halinka przybiegła w chwilę potem. Była bez płaszcza i rozglądała się niespokojnie.

- Czy nikt nas nie widział? - zapytała zadyszana.

- Sądzę, że nie - starałem się ją uspokoić - wszyscy są w domu. Ale kogo pani się tak boi, Halinko?

- Boję się jego. Gdyby się dowiedział, że ja... - w jej oczach był strach - pan myśli, że on by się zawahał przed drugim morderstwem?

Mimo woli przeszedł mnie dreszcz.

- Przed drugim morderstwem? O kim pani myśli, Halinko? Czy pani kogoś podejrzewa?

- Nie - zmieszała się - chciałam panu tylko powiedzieć, że... że ten lutowy numer „Przeglądu”, wie pan, ten, którego szukał pan Żurko, to zabrał profesor Kasica.

- Widziała pani?

- Widziałam, jak w sobotę, zaraz po przyjeździe, szperał w tych rocznikach.

- Czy pani wie, co było w tym numerze?

- Tak. Tam był artykuł o agranulocytozie. Pamiętam tytuł: „Nowe badania nad agranulocytozą. Etiologia i patogeneza”.

- Agranulocytoza? Co to takiego?

- To taka choroba krwi. Wiem, że profesor Mistral pracował nad tym zagadnieniem. Miał nawet opublikować rozprawę na ten temat. I to mnie naprowadziło ma myśl... - spojrzała na mnie z wahaniem - ale może to jest śmieszne...

- Niech pani mówi dalej - zachęciłem ją.

- To mnie naprowadziło na myśl, że może mordercy chodziło o tę pracę.

Słuchałem z ciekawością.

- Czy to była praca zupełnie nowa i nie znana?

- Tak. Wiedzieliśmy tylko, że ma ją wkrótce opublikować.

- Kto wiedział?

- No ja... i doktor Jonasz.

- A oprócz was?

- Nie wiem - spojrzała na mnie wystraszona.

- A czy pani sądzi, że ktoś mógł wiedzieć?

- Chyba tak...
- Jak wyglądała ta praca?
- Miała żółtą okładkę z plastyku.
- To był maszynopis?
- Nie, rękopis. Profesor pisał na małych luźnych kartkach formatu zeszytu szkolnego i trzymał, je w żółtych plastikowych okładkach, takich jakie sprzedają w księgarniach do książek.
- Kiedy pani ostatni raz widziała u profesora tą pracę?
- W środę.
- A więc jeszcze w Warszawie?
- Tak, w Warszawie.
- A tu?
- Tu jej już nie widziałam.
- Dziękuję pani, Halinko - rzekłem ciepło i uściśnąłem jej rękę. Czułem, że drży.
- Och, panie Pawle!- w oczach jej zamigotały łzy. Wyrwała mi rękę i uciekła.

Żurko przyjął wiadomość z zainteresowaniem, lecz spokojnie.

- Spodziewałem się czegoś takiego - mruknął. - Jeszcze wczoraj kazałem przeszukać „Izolatkę”.

- I co?
- Żadnych rękopisów nie znaleziono. Nie znaleźliśmy ich także tutaj, a więc...
- A więc?...
- Kto wie, czy nie natrafiliśmy na motyw.
- I ja tak myślę.

Żurko z uśmiechem zapalił papierosa.

- Więc to Halinka o tym ci powiedziała?

- Halinka.

- Cieszysz się.

Przygryzłem wargi.

- Masz szczęście, ty spryciarzu. - powiedział Żurko. - Nigdy bym cię o to nie posądzał!

- O co ci chodzi? - zmieszałem się.

- No nie udawaj, musiałeś czymś zawrócić w głowie tej dziewczynie, tylko czym? Z twoją gębą? Do diabła, kobiety to zagadkowe istoty! Nabrałem otuchy, że ja też mam szansę...

Z dołu dochodził stukot piłeczki ping-pongowej. Kiedy zeszliśmy do hallu, zobaczyliśmy Jonasza grającego z doktor Protoklicką.

Żurko bezceremonialnie przerwał im grę.

- Chciałbym zamienić z panem parę słów. Niech nas pan zaprowadzi do swojego pokoju, doktorze.

- Zdaje się, że już byłem badany - mruknął niezadowolony Jonasz.
- Niezmiernie mi przykro, ale nie powiedział pan nam wtedy wszystkiego.
- O co chodzi?
- Dowie się pan w pokoju.

Gdy zamknęły się za nami drzwi, Żurko siadł na krześle i powiedział:

- Chodzi o pracę profesora o agranulocytozie.

Jonasz drgnął.

- Nie bardzo rozumiem - wykrztusił.

- Czyżby pan nie słyszał o tej pracy?

- Nie, tego nie powiedziałem, ale... - Jonasz zawahał się.

- Pan ma jakieś wątpliwości?

- Przyznam, się, że zaskoczył mnie pan. Po prostu nie widzę związku...

- Ta praca zginęła - powiedział Żurko.

- Zginęła! - wykrzyknął Jonasz nieswoim głosem.

- To pana dziwi?

- Jak najbardziej. Cóż by komu przyszło z pracy Zeta?

- Zeta? - Żurko wytrzeszczył oczy.

- Profesor Mistral miał zwyczaj znakowania okładek swoich rękopisów literami alfabetu greckiego. Na przykład: pracę o anemii oznaczył literą „Delta”, a o agranulocytozie „Zeta”. W naszych wewnętrznych stosunkach posługiwaliśmy się tymi oznaczeniami.

- Zaraz, doktorze, więc była jeszcze praca o anemii?

- Tak, rozprawa o anemii złośliwej. Podobnie jak rękopis „Zeta” dotychczas nie opublikowana. Poglądy tam zawarte budziły do niedawna zastrzeżenia i dzieło zostało odrzucone.

- Rozumiem - mruknął Żurko oglądając paznokcie. - Te prace były pisane na luźnych kartkach formatu zeszytowego i umieszczane w żółtych okładkach z plastyku, czy tak?

- Tak jest.

- Jak wyglądało pismo profesora?

- Drobne, mało czytelne.

- Takie jak to? - Żurko pokazał Kalendarzyk kieszonkowy profesora. Jonasz skinął głową.

- Czy może nam pan powiedzieć, co oznaczają te liczby przy poszczególnych datach?

- Liczby?

- O, niech pan zobaczy - Żurko podsunął mu kalendarzyk - przy dacie piętnastego stycznia - 258 000, przy dacie piętnastego lutego - 30 000, a w miesiąc później - 8500 z wykrzyknikiem!

Jonasz patrzył zdumiony.

- Nie mam pojęcia.

- Nic to panu nie mówi?

- Nie, nic.

Żurko westchnął.

- No dobrze, wracajmy do rękopisów. Pan je czytał?

- Nie.

- Jak to! Pan przecież był asystentem profesora. Pan z nim współpracował.

- Owszem, ale tylko przy pracy zbiorowej o narządach krwiotwórczych. „Zeta” i „Delta” były, że tak powiem, prywatnym dziełem profesora.

- Jak mam to rozumieć?

- Profesor pracował nad nimi na zlecenie sekcji Akademii Nauk, lecz poza zespołem. Ja w każdym razie w tym nie brałem żadnego udziału.

- Lecz przecież jako asystent powinien pan się interesować.

- Owszem, interesowałem się jak najbardziej - uśmiechnął się Jonasz - rzecz w tym, że profesor nie kwapił się bynajmniej wtajemniczać mnie choćby najbardziej ogólnikowo. Profesor Mistral otaczał swoje dzieła ścisłą tajemnicą. Podobno kiedyś, przed laty, ktoś splagiatował jego prace i przywłaszczył sobie autorstwo. Od tego czasu profesor stał się chorobliwie skryty. Nie zwierzał się nikomu.

- A jednak na początku naszej rozmowy pan wyraził się dosyć lekceważąco o rękopisie „Zeta”. Skąd ta opinia, skoro pan nie znał tej rozprawy.

- Po prostu nie wierzę, żeby można było coś rewelacyjnego powiedzieć jeszcze na temat agranulocytozy. Są większe plagi ludzkości.

- A jednak ta właśnie praca zginęła bez śladu. Czy mógłby mi pan powiedzieć, co się z nią stało?

- Ja? A Skądże ja mogę wiedzieć!
- Kiedy pan widział ją ostatni raz u profesora?

Jonasz zawahał się,

- Nie wiem... muszę sobie przypomnieć...

- Proszę, niech pan sobie przypomni.

Żurko wpatrzył się drapieźnie w asystenta. Na twarzy Jonasza pojawił się znów cień strachu.

- Widziałem... ją chyba w sobotę wieczorem. Tak... w sobotę wieczorem, kiedy zaniósłem profesorowi proszek.

- Gdzie?

- Na stoliku przy fotelu.

- Jeszcze jedno pytanie. Gdzie zwykle profesor Mistral przechowywał swoje rękopisy: w biurku, w szafie, w kasie pancerniej?

- Nie wiem... nie interesowałem się tym.
- Szkoda - powiedział Żurko, po czym wyszliśmy z pokoju.
- Może by Halinka odpowiedziała na to pytanie - zauważyłem.
- Właśnie idziemy do niej - powiedział Żurko.

Halinkę zastaliśmy przy pisaniu listów.

- Przeszkodził mi pani - Żurko uśmiechnął się z gracją, o którą go nie podejrzewałem.
- Przede wszystkim moje uznanie i podzięką. Jak dotąd, jest pani jedynym naszym sojusznikiem w tym ponurym domu.

Halinka się zaczerwieniła.

- Szkoda, że dopiero teraz pan doszedł do tego wniosku.
- A może jest pani tylko sojusznikiem porucznika Dziarmagi?

Halinka potrząsnęła głową.

- Nie? Także moim? No to doskonale! W takim razie może mi pani odpowie na takie pytanie: Gdzie profesor Mistral trzymał zwykle swoje rękopisy?

- W żółtej teczce z zamkiem błyskawicznym - odpowiedziała bez zastanowienia.
- Czy doktor Jonasz wiedział o tym?
- O tak, z pewnością. Sam ją kupił dla profesora.
- Sam kupił! - wykrzyknął Żurko.

- Tak, profesor zawsze nosił z sobą dużo szpargałów i nigdzie nie ruszał się bez teczki. To był w ogóle dziwny człowiek - mówiła zamyślona - może dlatego, że był strasznie zdolny. Czytałam, że bardzo zdolni ludzie zawsze mają jakieś dziwactwa. Profesor zachowywał się czasami zaskakująco. W najbardziej nieoczekiwanych chwilach milkł nagle i odchodził. Pamiętani kiedyś na przyjęciu w Radzie Państwa gdzie się zapodział. Po prostu zniknął. Znalazłam go zamyślonego na ławce w Alejach Ujazdowskich. Kreślił coś na marginesie gazety. Można było powiedzieć o nim, że bez przerwy pracował. Stale zajęty był swoimi myślami. „Praca naukowa - mówił - nigdy nie jest zupełnie skończona”. Może dlatego nie rozstawał się ze swymi rękopisami. Stale je uzupełniał i poprawiał. I wciąż mu się zdawało, że zawierają jakieś luki.

- Jest pani pewna, że przywiózł je tutaj z sobą w tej właśnie żółtej teczce?

- Tak. Na pewno.

- To dziwne, że doktor Jonasz nie chciał nam o tym powiedzieć - mruknął Żurko.

- Och, niech pan nie myśli o nim źle! - pośpieszyła z obroną asystenta Halinka. - To jest bardzo porządny człowiek. Tylko że jest tym wszystkim strasznie przejęty. Boi się, że milicja

go podejrzewa. No i ja chyba też bym się bała na jego miejscu. Z tym proszkiem to wyszło dla niego fatalnie.

- Porządny człowiek nie powinien niczego ukrywać - rzekł Żurko.

- Nie każdy jest odważny w tych sprawach - szepnęła zamyślona Halinka - niekiedy prawda wydaje się bardzo podejrzana. Myślę, że doktor Jonasz lęka się, żeby jego zeznania nie obciążły go jeszcze bardziej.

Pomyślałem, że Halinka jest bardzo inteligentna i doświadczona, niżby się to mogło na pierwszy rzut oka wydawać, i odczułem zadowolenie z tego powodu.

- A czy pani widziała rękopis „Delta” lub „Zeta”, gdy pani była u profesora, żeby mu zrobić zastrzyk? - zapytałem.

- Zdaje się, że już przedtem odpowiedziałam panu na to pytanie - rzekła nieco urażona Halinka - widziałam tylko teczkę. Leżała na biurku.

- Ja też widziałem tylko teczkę - powiedział Żurko, gdy wyszliśmy z pokoju panny Stor.

Z kolei przesłuchaliśmy Zapłona i doktor Protoklicką, lecz przesłuchania te nie wniosły nic nowego. Oboje oświadczyli, że nic im nie było wiadomo o rękopisach profesora, nie wchodzili do jego pokoju i nie mają pojęcia, gdzie te dzieła mogły zaginąć.

Macioszkowa wiedziała jeszcze mniej. Nie słyszała o istnieniu rękopisów w żółtych okładkach i nie pamiętała nawet, czy jakaś teczka leżała na stole.

W czasie rozmowy z Macioszkową usłyszeliśmy warkot motoru. To warszawa Kasicy zajechała przed dom.

- Ciekawym jeszcze, co nam powie na ten temat profesor Kasica - mruknął Żurko.

Rozdział XIV

- Wykluczone! - Profesor Kasica chodził po pokoju i mocował się z przyciasnym kołnierzykiem. - Co też pan wykombinował, poruczniku! Dla takich rozprawek zabijać człowieka? A gdzież tu sens! Cóż by to dało mordercy?

- No jednak... - zaprotestował Żurko - praca naukowa ma zawsze swoją wartość.

- Kolego, nie kupiłby pan za to nawet porządnych spodni - Kasica poklepał Żurkę pobłażliwie po plecach swoją niedźwiedzią łapą.

- Pan profesor żartuje. Zresztą nie mam na myśli doraźnej wartości pieniężnej. Taka praca mogłaby jednak zapewnić młodemu człowiekowi nauki start... początek kariery. O ile wiem, na przykład doktor Zapłon pisze pracę habilitacyjną na podobny temat.

Kasica znieruchomiał na chwilę, zaskoczony.

- Sądzi pan, że któryś z asystentów mógłby?...

- Sądzę, że bądź co bądź jest to motyw, profesorze. Chciałbym poza tym zwrócić pańską uwagę na fakt, że obie te prace zginęły.

Kasica wybuchnął śmiechem.

- Pan mówi to poważnie?

- Niestety. To jest fakt ustalony. Rękopisy zostały przez kogoś skradzione.

- Nonsens! Obie prace są u mnie.

- U pana? - Żurko zaniemówił z wrażenia.

- Profesor Mistral przekazał mi je w sobotę zaraz po moim przyjeździe.

- Mógłby pan je pokazać? - wykrztusił Żurko.

- Nie mam ich przy sobie. Oddałem je do przepisania. Notabene to mnie będzie drogo kosztować. Mistral miał horrendalne pismo. Maszynistka będzie musiała chyba użyć lupy.

- Czy ma pan świadków na to, że Mistral panu wręczył osobiście te rękopisy?

Kasica poczerwieniał.

- Panowie, co znaczy to pytanie? - rzekł oburzony. - Czy panowie sądzą, że ja...

- My nie - przerwał Żurko - ale takie pytanie zada panu prokurator.

- Prokurator? - Kasica patrzył na nas zakłopotany. - Do diabła! Czy to wygląda tak poważnie? - zapytał pocierając sobie gardło.

- Niestety, tak - rzekł Żurko. - Więc żaden z asystentów nie wie, że profesor Mistral wręczył panu te rękopisy?

- Nie.

- Komu pan oddał je do przepisania?

- Pewnej... pewnej pani z Piaseczna.

- Pani z Piaseczna? - zapytał podejrzliwie Żurko. - Zdaje się, że panowie mają własne maszynistki w instytucie.

- Chodziło o pośpiech - powiedział Kasica - chciałem, żeby rękopisy były przepisane przez święta. Profesor Mistral pragnął osobiście sprawdzić maszynopis jeszcze przed odlotem do Tokio.

- Jak się nazywa ta maszynistka z Piaseczna?

- Żurakowska.

- Zdaje się, że takie samo nazwisko nosi pacjentka pana profesora, do której pan wybrał się w sobotę.

- To jej bratowa. Jest urzędniczką Wydziału Zdrowia MRN. Dorabia sobie przepisywaniem na maszynie.

- Z tego wynika, że dostarczył pan jej rękopisy jeszcze w sobotę?

- Tak, zabrałem je przy okazji, gdy zostałem wezwany.

- Fałszywie wezwany.

- Tak. Mówiłem panom, że jakiś łobuz wypłatał mi figła.

- Jak pan wytłumaczy nam taki fakt: Doktor Jonasz zeznał, że widział rękopis „Zeta” na stoliku profesora Mistrala, gdy przyniósł mu proszek nasenny.

- To bardzo proste. To, co profesor Mistral przeznaczył do publikacji, to był zaledwie fragment lub może, powiem ściślej, wyciąg. Najbardziej istotna część.

- To zmienia postać rzeczy - uspokoił się Żurko. - Więc jednak morderca mógł zawładnąć pracą.

- Ogryzkiem pracy. Łupiną bez jądra. Nic mu z tego nie przyjdzie - mruknął Kasica.

- Mógł o tym nie wiedzieć - zauważyłem.

- A... rzeczywiście - wybałuszył oczy profesor.

Żurko skłonił się z ironicznym, jak mi się zdawało, uśmiechem profesorowi Kasicy.

- To byłoby wszystko na razie.

Gdy znaleźliśmy się u siebie, wybuchnął śmiechem. Patrzyłem na niego zdumiony.

- Czemu ryczysz?

- Ubawiła mnie ta rozmowa.

- Ubawiła?

Żurko gwizdał zadowolony. Nigdy go nie widziałem w takim nastroju.

- Tak jest, Paweł, wkrótce zamykam dochodzenie. Ten dzień był rozstrzygający.

- Masz konkretne podejrzenia?

- Raczej tak.

- W drugim dniu śledztwa? Czy to nie za wcześnie?

- Dla naszego poczciwego Kajetana Trepki a pewnością za wcześnie. Jak zdążyłem zauważyć, starszy pan nie wyszedł jeszcze ze stadium drzemki. Biedak robi takie wrażenie, jakby oczekiwał rozwiązania zagadki we śnie.

Byłem nieco urażony.

- Nie doceniasz Trepki. Nie rozumiesz jego metody.

- Być może - Żurko wyciągnął się swobodnie na łóżku i zapalił papierosa. - Nie zajmuję się studiami teoretycznymi. Jestem praktykiem. Moją wiedzę mam wygarbowaną tutaj -

odstąpił koszulę na piersiach i pokazał mi potworną bliznę. - Płaciłem za moje błędy, Paweł, ale nauka nie poszła w las. I to doświadczenie mówi mi: Patrz przede wszystkim na konstrukcję. Nie wierz sobie, wierz faktom.

Każdy zbrodniarz, nawet najbardziej prymitywny, zawsze konstruuje w jakiś sposób swoją zbrodnię. Konstruuje w sposób tylko jemu właściwy. Jedni budują lepianki, inni koronkowe gotyki. Nikt nie buduje tak samo.

Patrzyłem na Żurkę z ciekawością.

- Uczą nas w szkole rzemiosła - ciągnął - lecz jeśli chce się do czegoś dojść w naszej pracy, trzeba przewyciężyć rzemiosło. Trzeba sobie wypracować własny styl. Nie, do tego nie potrzeba uprawiać kontemplacji jak nasz Trepka. Do tego trzeba umieć się posługiwać indukcją i syntezą. Trzeba zebrać do kupy fakty i przypatrzeć się dobrze całości. Dlatego, kiedy staję przed zbrodnią, najpierw pytam się o jej konstrukcję. Tutaj napotkaliśmy konstrukcję śmiałą i precyzyjną zarazem, obmyśloną przez umysł zimny i przyzwyczajony do naukowej ścisłości.

Patrzę teraz na tę konstrukcję i osoba jej twórcy zaczyna się rysować w moich oczach.

- Kto? - zapytałem niecierpliwie. Żurko się uśmiechnął.

- Ktoś, kto widział pierwszego, krytycznego wieczoru, że Michał Kasica będzie po kolacji oglądał przy telewizorze hałaśliwy reportaż z motocrossu, ktoś, kto był tak dalece precyzyjny, by pomyśleć o zamknięciu na klucz tamtych sławnych drzwi w „Izolance”, ktoś, kto namówił Jonasza do podania Mistralowi środka nasennego, ktoś, kto miał klucz od szafki z truciznami, ktoś, kto był po kolacji w laboratorium, a wreszcie ktoś, kto był o tyle przebiegły, by zorganizować zasłonę dymną nad swymi poczynaniami.

- Zasłonę dymną? - zdumiałem się. - Co masz na myśli?

- Szereg wypadków, które miały na celu odwrócenie naszej uwagi od rzeczywistego sprawy. Zbrodniarz jest człowiekiem trzeźwym, poważnym i dokładnym, więc chciał się wydać szalonym, głupim i śmiesznym. W tym celu organizuje ów pierwszy bezsensowny zamach, w tym celu adresuje do nas dziwną przesyłkę pocztową. Lecz oto następują nieprzewidziane komplikacje. Uprzedzony przez Trepkę, Mistral nie chce zażyć proszku. Morderca jest o krok od klęski. Chce odzyskać proszek. Ponosi fiasko, gdyż proszek został w pokoju Mistrala. Tymczasem Macioszek dowiaduje się, że „Przystań” jest pod obserwacją, i donosi o tym mordercy. Morderca nie wytrzymuje nerwowo i wychodzi do miasta pod zmyślonym pretekstem...

Słuchałem z osłupieniem.

- Hipolit - wykrztusiłem - co ty wygadujesz? Czyżbyś miał na myśli profesora Kasicę? Żurko uśmiechnął się zwycięsko.

- Widzisz. Musiałeś powiedzieć to nazwisko. I dobrze powiedziałaś. Ono jedno, i tylko ono, sprawdza nasze równanie, gdy je podstawić pod niewiadome.

- Hipolit, to przecież nonsens! Zastanów się. Dyrektor instytutu?!

Żurko uśmiechnął się z wzdorną wyrozumiałością.

- Urzeka cię autorytet stanowiska. Całe szczęście, że ja nie mam zwyczaju sugerować się czyjąś pozycją i nazwiskiem. Każdy może popełnić zbrodnię. Zbrodnia jest pandemiczna. Zwłaszcza jeśli ma motyw.

- Motyw!

Pomyślałem, że Żurko zwariował.

- Jakież Kasica może mieć motyw?

- Bardzo ciekawy, Paweł. Pamiętasz bajkę o Kopciuszku? Kopciuszek był zniechęcony przez swoją brzydszą siostrę, która nie dostała zaproszenia na bal. Tu idzie, że tak powiem, o bal intelektualny, a rolę brzydszej siostry spełnia oczywiście Kasica.

Wyobraź sobie dwu ludzi. Jeden - zdolny, aktywny naukowo, utalentowany, drugi - mierny, naukowe zero; jeden twórca, drugi administrator, jeden upośledzony, pozbawiony

stanowiska należnego jego zdolnościom, drugi faworyzowany, obsypany zaszczytami i władzą.

Nie bądź naiwny, to nie jest zdrowa sytuacja. To jest klasyczna sytuacja Kopciuszka. Ci dwaj musieli się nienawidzić.

Kasica zazdrościł Mistralowi jego sukcesów naukowych, Mistral na odwrót zazdrościł Kasicy pozycji. Mimo pozorów sytuacja Kasicy była gorsza. Ten człowiek w swoim czasie awansował nagle zbyt wysoko i nie gwoli zasług naukowych. Wobec swych naprawdę utalentowanych i zasłużonych kolegów miał ukryty kompleks niższości. Czuł się niepewnie. Bał się, że Mistral zajmie kiedyś jego miejsce.

Z pewnością usiłował ten swój kompleks wyrównać na polu pracy naukowej, lecz ówczesny charakter pracy w instytucie, reprezentacja, kongresy, delegacje, zjazdy, prezesowanie, administrowanie - jednym słowem, cała galowa strona życia - pochłaniały zupełnie jego czas. Stał się jednym z ludzi-szyldów. „Kasica - mówiono o nim - to ten z ramienia hematologów”.

I Kasica razem z wieloma innymi przeżywał swój dramat człowieka przyniesionego w teczce.

Lecz od roku sytuacja zaczęła się zmieniać. Pojawiły się głosy krytykujące stan rzeczy w instytucie, a nawet artykuły prasowe, jak ten w „Życiu Warszawy”. Mistral zostaje zrehabilitowany, ba, pasowany na cichego bohatera nauki. Jego rozprawy mają być opublikowane. Coraz częściej wymienia się jego nazwisko jako tego, kto stanie na czele instytutu.

Z drugiej strony Kasica staje się kozłem ofiarnym, w którego teraz wszyscy biją. Nazywają go Wielkim Inkwizytorem nauki polskiej, widzą w nim uosobienie zła nękającego świat lekarski, przyczynę zastoju i skostnienia hematologii, chociaż sam Kasica też czuje się oszukany, przeżywa, jeśli tak można powiedzieć, gorycz zepsutego narzędzia, którego używano niezgodnie z przeznaczeniem, zniszczono i wyrzucono.

Zechciej zrozumieć jego sytuację. Ten człowiek stracił popularność i szacunek, jego stanowisko administracyjne zostało zachwiane, a dorobku naukowego nie miał. Kim będzie Kasica zdjęty ze stanowiska? Niczym. Kasica zdaje sobie z tego dobrze sprawę i podejmuje rozpaczliwe wysiłki utrzymania się na nowej fali. Reorganizuje instytut, troszczy się o warunki pracy naukowców, zdobywa willę w Warszawie i w Piasecznie na potrzeby swoich współpracowników, organizuje kontakty zagraniczne, urządza laboratoria, popiera Mistrala, stawia nawet jego kandydaturę na wyjazd do Tokio. Wszystko na próżno. Ataki mnożą się, żądają od niego legitymacji naukowca. Pytają się wprost: Kto to jest pan Kasica, gdzie jego prace naukowe?

Kasica podejmuje ostatnią próbę. Za wszelką cenę chce zdobyć ostrogi uczonego.- Angażuje utalentowanego asystenta, doktora Zapłona, pomimo jego przykrego charakteru i nałogów. Zaczyna rozgłaszać, że zajmuje się badaniami nad agranulocytozą. Zauważ, że jest to ta sama dziedzina, w której pracuje Mistral. Kasicę spotykają jednak same niepowodzenia. Preparat przeciw agranulocytozie okazuje się nieskuteczny. Umierają zwierzęta doświadczalne. Wreszcie następuje śmierć pacjenta leczonego przez Kasicę.

Rzecz zdumiewająca, że mimo sto Kasica z jakimś uporem nadal zajmuje się tą dziedziną, a nawet publikuje wywiad zapowiadający ważne odkrycie na polu walki z agranulocytozą. Brnie w jakąś ślepą uliczkę. Staje przed widmem kompromitacji. Wreszcie spotyka go ostateczny cios. Mistral kończy pierwszy swoją rozprawę i zamierza ją opublikować.

Wtedy właśnie Kasica wpada na desperacką myśl: Usunąć rywala i zawładnąć jego pracą. Oto motywy zbrodni.

Słuchałem oszołomiony. Trudno było odmówić Źurce logiki, lecz jeszcze trudniej przychodziło mi wyobrazić sobie rzecz tak okropną.

- Lecz przecież Jonasz... - szepnąłem - przecież Jonasz widział rękopis „Zeta” na stoliku jeszcze o godzinie dziewiątej.

- Jonasz kłamał.

- Dlaczego?

- Kłamał z tchórzostwa. Nie zapominaj, co na ten temat powiedziała panna Stor. Zdaje mi się, że ona dobrze określiła, jak się ma sprawa z Jonaszem. Jonasz skłamał zresztą nie tylko w tym przypadku. A teczka? Umyślnie przemilczał istnienie teczki. Jonasz boi się i to decyduje o jego postępowaniu. Nieszczęśnik myśli: Jeśli zeznam, że nie widziałem rękopisu „Zeta”, to znaczy, że rękopis wziąłem. Bał się, żebyśmy nie zrozumieli źle jego zaprzeczenia. Nie masz pojęcia, Paweł, do jakich absurdów myślowych dochodzą intelektualności, gdy kieruje nimi strach. Jeden błąd robią zawsze. Za dużo myślą. Płaczą się w końcu i mimowolnie obciążają. Ma chłop szczęście, że trafił na mnie. Patałach już by go dawno aresztował.

- Hipolit, a jeśli jednak to on! Pomyśl, a jeśli on jest naprawdę zastraszoną mordercą, który się wikła i załamuje?

- Musiałby być przede wszystkim głupim mordercą - wydał pogardliwie usta Żurko - który morderca przy zdrowych zmysłach podałyby ofierze truciznę na oczach wszystkich.

- Nie dawałem za wygraną.

- A jeśli on właśnie liczy na to? Jeśli myśli, że grając głupiego wykpi się od odpowiedzialności? Jeśli to jest człowiek wyrafinowany, morderca-psycholog, który przewidział takie właśnie twoje rozumowanie?

- Psychologia do drugiej potęgi, czyli na opak - uśmiechnął się Żurko. - Dajże już spokój, Paweł, psychologii. Takie łamańce do niczego cię nie doprowadzą. Po co nurkować z zatkanym nosem, kiedy bajorko samo się przejaśniło i na jego dnie widać wyraźnie normalną, realistyczną żabę.

- Zatem jesteś pewien, że Kasica wziął od Mistrała całe rękopisy, a nie fragmenty?

- Jestem o tym przekonany.

- Dlaczego w takim razie kłamał? Przecież to łatwo sprawdzić.

- Nie tak znowu łatwo. Kasica mógł dostarczyć do przepisania tylko istotną część, a resztę zniszczyć lub ukryć. Jestem nawet przekonany, że tak właśnie postąpił.

- Do licha! Ale w jakim celu?

- Chodzi o to, żebyśmy sobie pomyśleli, że resztę rękopisów wraz z okładkami wziął ktoś inny, innymi słowy, żebyśmy szukali w dalszym ciągu mordercy. To miało odwrócić podejrzenia od niego. Przyznaj, że to jest zręczne!

- Istotnie, to byłoby zręczne.

- Dziwi mnie tylko jedno. Dlaczego przyznał się, tak łatwo do posiadania rękopisów? Przecież w ten sposób od razu pozbawił się łupu. Dlaczego nie ukrył tego faktu? Przecież Mistral wręczał mu rękopisy bez świadków, mógł się więc wyprzeć wszystkiego.

- Po prostu się przestraszył - odrzekł Żurko. - Pamiętaj, że Kasica chciał osiągnąć dwa cele i że kierowały nim dwa motywy. Usunięcie niebezpiecznego rywala i przywłaszczenie sobie jego pracy naukowej. To pierwsze było nawet ważniejsze dla niego niż drugie. Pierwszy cel został osiągnięty, dalej wołał już nie ryzykować. Pamiętaj, że Jonasz widział go wychodzącego z laboratorium i to postawiło Kasicę w rzędzie podejrzanych. Gdybyśmy mu jeszcze udowodnili, że przywłaszczył sobie pracę Mistrała, byłby zgubiony. Dlatego, powtarzam, wołał nie ryzykować. Nastawił się już od momentu zabójstwa wyłącznie na obronę. I to było z jego strony posunięcie bardzo elastyczne i zręczne. W ten sposób motyw przestał być oczywisty. Czy teraz jasne?

- Jasne - powiedziałem bez przekonania. Wszystko to było logiczne, a jednak coś tu nie grało. Ale co? Przebiegłem szybko myślą wypadki.

- Słuchaj, Hipolit, czyś nie przeoczył tu przypadkiem czegoś?

- Co miałem przeoczyć?
- A klucz? Co się stało z kluczem? W twojej wersji klucz nie jest potrzebny zabójcy. Żurko uśmiechnął się tajemniczo.
- Klucz się znajdzie. Zobaczysz, i to już niedługo. Klucz odegra swoją rolę.

Cierpliwości.

Kolację zaczęliśmy w równie ciężkim nastroju jak poprzednio obiad. No cóż, taka wspólna biesiada milicji i podejrzanych nie mogła się odbyć w lepszej atmosferze, a myśl, że między nami siedzi truciiciel, z pewnością odbierała apetyt.

Na deser Macioszkowa podała nam kompot ze śliwek. Wszyscy jedli pośpiesznie, jakby chcąc jak najprędzej wstać od stołu. W głuchej ciszy słyszeć było tylko brzęk łyżeczek.

Nagle usłyszeliśmy oburzony głos profesora Kasicy.

- A to co znowu!

Wszystkie twarze obróciły się w jego stronę. Profesor Kasica siedział czerwony nad kompotierką i dłubał w niej gwałtownie widelcem.

- Co się stało, profesorze? - podbiegła Macioszkowa.

- Niech no pani zobaczy - wymamrotał Kasica - niech pani zobaczy, co ja mam w kompocie.

I na oczach wszystkich wydostał z kompotierki klucz.

- Tego doprawdy już za wiele! - krzyknął odsuwając głośno krzesło.

- Nie rozumiem - jęknęła zrozpaczona Macioszkowa. - Niech pan profesor pozwoli, to odmienię.

Ale Kasica nie słuchał. Chwilę mierzył nas wszystkich wściekłym wzrokiem, a potem cisnął klucz na stół i opuścił hall.

Żurko podniósł flegmatycznie klucz do góry i pokazał Macioszkowej.

- Poznaje pani ten klucz?

Macioszkowa wyciągnęła rękę, ale ledwie go dotknęła, cofnęła się jak oparzona.

- Jezusie! To przecież klucz od pokoju nieboszczyka profesora,

Żurko mrugnął do mnie znacząco. Tym razem podziwiałem go bez zastrzeżeń i było mi głupio, że przedtem nie doceniałem starego dziwaka.

- Ktoś się tutaj źle bawi, proszę państwa - ostro zwrócił się Żurko do osłupiałego towarzystwa - ale zostawmy na razie tę sprawę. Proszę się do stołu i kończyć kolację.

Czemu pani nie siada, panno Stor?

- Nie!. Nie! Nie mogę - wybuchnęła nieoczekiwanie Halinka.

- Co się pani stało? - ująłem ją za rękę.

Wyrwała się.

- Niech pan mnie puści! Nie mogę! Nie mogę dłużej. Boję się. Nie będę jadła razem z mordercą!

Z chusteczką przy oczach wybiegła na werandę. Tam oparła się ciężko o poręcz i widziałem, jak jej szczupłe ramiona wstrząsa nerwowe łkanie.

Lekarze patrzyli po sobie ponuro. Nikt nic nie powiedział.

Odsunąłem mój kompot i podbiegłem do Halinki. Próbowałem ją uspokoić.

- Och, panie Pawełku - szepnęła przez łzy ściskając moją rękę - co ja bym tutaj robiła bez pana?

Zdziwiło mnie, że Trepka nie przeprowadził żadnego dochodzenia w związku z tą historią z kluczem przy kolacji. Czyżby miał na ten temat wyrobione zdanie podobnie jak Żurko?

Bo jeśli chodzi o Hipolita, to jego nie trapiły już żadne wątpliwości.

- No i co ty na to, Paweł? - powiedział wesoło, gdy kładliśmy się spać. - Ładna scenka, co? Teraz już wiesz, po co Kasicy był potrzebny klucz.
- Chciał odsunąć od siebie podejrzenie - domyśliłem się.
- Tak jest i zamącić jeszcze raz to całe bajorko, żeby się przypadkiem nie ustało. Ale my już obaj wiemy, co to za żaba siedzi tam na dnie - zaśmiał się Żurko. - Zauważ tylko, w jakim to jest utrzymane stylu.
- Zupełnie jak ta przesyłka z rewolwerem.
- Ta sama ręka - skinął głową Żurko i otworzył okno. Za murem psy wyły i ujadły jak zwykle.
- Zdaje się, że będziemy mieli jutro wspaniałą pogodę - powiedział Żurko, - Popatrz na gwiazdy. A jakie powietrze!

Rozdział XV

We wtorek zdecydowanie odmieniła się pogoda. Napłynęło ciepłe wiosenne powietrze i wszystkim poprawiły się humory. Nawet profesor Kasica zapomniał o wczorajszej przykrości. We flanelowej kraciastej koszuli i kapeluszu typu sombrero chodził od rana po willi i tubalnym głosem wyganiał wszystkich na świeże powietrze. Zaraz po śniadaniu wyciągnięto leżaki i stoliki i całe towarzystwo wyległo do ogrodu w strojach bardzo nieobowiązujących. Obie panie miały na sobie lekkie jasne suknie, których urocze kolory przydawały nam wiosny, nawet doktor Jonasz dostosował się do ogólnego tonu, ściągnął marynarkę i paradował w nienagannie wyprasowanej koszuli koloru lila i śmietankowych spodniach z tropiku, nie zważając na to, że strój ten jeszcze bardziej podkreśla jego opływowe kształty. Jeśli chodzi o Zapłona, to ekstrawagancki asystent jak zwykle zaszokował wszystkich zjawiając się w spodenkach kąpielowych i z gołym torsem. Z nonszalancją wyciągnął się na leżaku i wystawił do słońca żałośnie chude żebra, uśmiechając się szyderczo zza ciemnych jajowatych okularów.

Zabrakło tylko porucznika Żurki i kapitana Trepki. Żurko z samego rana wybrał się w doskonałym nastroju do Piaseczna, by, jak powiedział, „ostatecznie dopiąć sprawę niedobrego Kasicy”. Trepka natomiast ulotnił się gdzieś jak kamfora.

Nie potrzebuję dodawać, że nieobecność złowrogiego porucznika wpłynęła wybitnie korzystnie na poprawę ogólnej atmosfery. Byłoby całkiem sielsko i przyjemnie, gdyby nie przeraźliwe piski dziewczynek dobiegające nas zza drzew. Szczególnie denerwowało to doktora Jonasza.

- Co jest, co się dzieje, proszę państwa? - raz po raz podrywał głowę.
- Zdaje się, że u tych smarkaczy lany poniedziałek jeszcze się nie skończył. Ten wisus Tomek szaleje ze swoim pistoletem. Widziałem go na ścieżce na czele bandy z butelkami wody - zauważył Kasica.
- O ile ich znam, będą się jeszcze oblewać przez cały tydzień - powiedziała doktor Protoklicka.
- Niesamowite bachory! - wykrzyknął Jonasz. - Co pan miał za pomysł, kolego Zapłone, żeby obdarowywać tego łobuza pistoletem.
- Zapłone wyszczerzył zęby w uśmiechu. Najwidoczniej bawiło go zdenerwowanie Jonasza. Piski i wrzaski stawały się coraz nieznośniejsze.
- Już ja ich ukroczę - Jonasz zerwał się z leżaka.
- Niech pan uważa - ostrzegł go Zapłone - może pan wpaść w ręce plemion indiańskich grasujących po „Przystani”.

Ale Jonasz nie słuchał. Poprawiwszy nerwowo okulary puścił się biegiem naprzód i wkrótce znikł za drzewami.

Interwencja okazała się owocna. W chwilę później piski ucichły, natomiast rozległ się ryk asystenta.

Spojrzelismy po sobie. Ryk się powtórzył. Zaintrygowany ruszyłem w kierunku krzaków. Zbliżwszy się do ogrodu warzywnego ujrzałem niesamowity obraz. Pośrodku ścieżki stał ociekający wodą Jonasz z węzłem gumowym w jednej, a okularami w drugiej ręce. Wyglądał opłakanie. Koszula i spodnie przylepiły mu się całkowicie do ciała. Przypominał tłustego morsa wyjętego z wody.

- Co się z panem stało, doktorze?

- Hultaje siknęli na mnie z węża ogrodniczego - Jonasz przecierał swoje oczy krótkowidza.

- Widzę jednak, że zdobył go pan szturmem.

- Nie wiem, jak go zakręcić. Niech pan mi pomoże.

- Proszę mnie tylko nie oblać - powiedziałem - niech pan się pocieszy, że ja to samo przeżyłem wczoraj.

- Niedopuszczalne rozwydrzenie - sapał Jonasz ocierając się niezgrabnie, podczas gdy ja tamowałem dopływ wody - wyczyny tej bandy łobuzów przechodzą wszelkie pojęcie. Nikogo się nie boją. Ten brak szacunku dla dorosłych to przecież oburzające.

- Oburzające - zgodziłem się.

- To jest formalny wychówek przyszłych kryminalistów. Błagam pana, jako przedstawiciela władzy, niech pan wkroczy.

- Wkroczę, doktorze - zapewniłem go.

Niestety, nie mogłem spełnić życzenia wzburzonego asystenta. Urwisów nigdzie nie było. Znow się zapadli jak kamień w wodę. Po dłuższym penetrowaniu krzaków zamiast na nich natknąłem się najniespodziewaniej na kapitana Trepkę. Gdyby nie charakterystyczna czubata łysina kapitana, nie poznałbym go wcale. Starszy pan miał na sobie ogrodniczy kitel Macioszka i pochylał się w skupieniu nad świeżo spulchnioną grządką.

- Co robicie? - stanąłem osłupiały.

- Jak widzisz, przyjacielu, zabrałem się do prac ogrodniczych, ściślej mówiąc, sadzę kapustę. Praca w ogrodzie wpływa wybitnie korzystnie na układ krążenia, Pawełku.

- Jak to, a śledztwo? - zapytałem zdumiony.

Trepka otarł łysinę ruchem spracowanego wieśniaka.

- Czyż nie mamy naszego dzielnego przyjaciela Żurki?

- Jak mam to rozumieć? Spuściliście się więc całkiem na Żurkę?

- Przyjacielu, czy naprawdę warto sobie szarpać nerwy z powodu tego plugawego morderstwa. Istotne jest studium. A wierz mi, że sadzenie kapusty niesłychanie sprzyja myśleniu.

Słuchałem oniemiały. Czyżby Trepka skapitulował?

- Żurko ma zamiar zakończyć w tych dniach dochodzenie - bąknąłem.

- W takim razie złożymy serdeczne gratulacje dzielnemu Żurce.

Spojrzałem na niego ciekawie, czy nie kpi.

- Cóż, Pawełku - westchnął nieszczerze Trepka - jestem człowiekiem starym i steranym. Nie umiem wziąć z miejsca galopu jak nasz nieoceniony przyjaciel Żunko.

Kpił wyraźnie, a jednak zadałem sobie pytanie, czy przypadkiem nie przeceniałem go za bardzo. Te jego idylliczne zajęcia w miejscu, gdzie popełniono morderstwo, nie bardzo licowały z powagą sytuacji. Zacząłem się zastanawiać, czy ta obojętność nie ma w gruncie rzeczy podkładu cynicznego.

- Wydaje mi się - zauważyłem głośno - że biorąc pod opiekę profesora Mistrala zobowiązaliśmy się niejako moralnie do ścigania jego mordercy.

- W zasadzie masz rację, Pawełku.

- Dlaczego więc nie zajmiecie się w sposób zdecydowany tą sprawą, kapitanie, i - pozwólcie mi to powiedzieć - trwonicie wasz cenny czas i zdolności na sadzenie kapusty?

- Przemawia przez ciebie gorycz, przyjacielu - rzekł Trepka dziurkując zaostrozonym patykiem glebę. - Czy uważasz, że uprawa roślin jadalnych nie jest zajęciem godnym Kajetana Trepki?

- Trwonicie czas - powtórzyłem.

- Nie. Daję ci szansę - powiedział spokojnie Trepka. - Ile razy narzekałaś, iż nie masz przy mnie okazji rozwinięcia swych nieprzeciętnych zdolności. Proszę, oto sposobność.

- Mówicie to poważnie?

- Jak najzupełniej! Dałem ci wielką sposobność, lecz ty tracisz czas na miłostki, co najmniej w tym samym stopniu, co ja na sadzenie kapusty.

Zmieszałem się.

- Pozwólcie powiedzieć - wykrztusiłem - sprawa na tym nie ucierpi.

- To samo mówię o mojej kapuście - odciął się Trepka. Widząc zaś moją kwaśną minę dorzucił pojednawczo: - Za bardzo się gorączkujesz, Pawełku. Sprawa musi dojrzeć jak owoc. Gdybyś zajmował się ogrodnictwem, wiedziałbyś o tym najlepiej.

Miałem poważne wątpliwości,

- Sądzicie, że śledztwo rozwija się normalnie?

- Nie było normalniejszego śledztwa, Pawełku, i mogę cię uspokoić, że sprawca zostanie wykryty. Pomijając talenty naszego nieocenionego przyjaciela Żurki i twoją pracowitość, mój chłopcze, ja tu jestem (Trepka nigdy nie grzeszył skromnością). Ja tu jestem, przyjacielu, i bądź pewien, że w odpowiedniej chwili chwycę za ster. Bądź tego pewien, chłopcze, Czyżbyś już stracił zaufanie do starego Trepki? Powiesz może, że jednak nie ocaliłem Mistrala. Tak, to tragiczna historia, lecz, mój kochany, nawet Anioł Stróż nie jest w stanie upilnować swych podopiecznych grzeszników, gdy zechcą grzeszyć, cóż dopiero ja, wątła istota ludzka.

Zbrodniarz nawet przeciętny, jeśli postanowi zabić człowieka, z pewnością dopnie swego. Pozbawienie kogoś życia nigdy nie przedstawiało specjalnej trudności i nie przedstawia, jej tym bardziej w naszym wspaniałym wieku. Lecz co innego zdemaskowanie zabójcy. Każdy potrafi zamordować, lecz któż potrafi to ukryć przed Kajetanem Trepką! Szaleniec, który popełnił tę zbrodnię, tym samym wydał się w nasze ręce.

I wierz mi, on to zrozumiał i czuje się jak mucha w kloszu. Wie, że patrzę na niego, musi ocierać się o mnie, rozmawiać ze mną i umiera ze strachu. A uciec nie może. Nie może uciec spod mojego doświadczalnego klosza i pozostaje mu tylko czekać. O, to oczekiwanie to najgorsza dla niego kara. Choć trafiliśmy na twardą sztukę, to przecież już zaczyna zdradzać objawy tego strachu. Ufaj mi, przyjacielu, jesteśmy w przededniu nowych wydarzeń. Coś się zdarzy. To wisi już w powietrzu - Trepka podniósł tajemniczo palec do góry.

Olśniła minie jedna myśl.

- Kapitanie - szepnąłem - wy wiecie.

- Co wiem?

- Kto jest mordercą.

Trepka spojrział na mnie z nagarną.

- Stawiasz pytanie jak laik, przyjacielu. Cóż warte jest, że znam jego nazwisko, jeśli nie mam wystarczających dla sądu dowodów. Czy sądzisz, że milczałbym choćby przez chwilę, gdybym miał te dowody w ręce? Och, nie byłoby to z pewnością fair, mój chłopcze!

- Więc jednak wiecie? - szepnąłem podniecony. - Kto? Kasica? Powiedzcie!

Trepka potrząsnął głową.

- Nic ci to nie da, przyjacielu, a pozbawi cię przyjemności samodzielnego rozwiązania zagadki, o co zresztą, jak z troską stwierdzam, specjalnie nie dbasz. Lecz to jest ostatecznie twoja rzecz i gdyby tylko chodziło o zaspokojenie twojej ciekawości, mógłbym ci ostatecznie zdradzić tajemnicę. Niestety nie jesteś tu jako widz, lecz jako osoba działająca, za którą

ponoszę odpowiedzialność. Nie nauczysz się nigdy samodzielnego prowadzenia sprawy, jeśli cię będę stale trzymał za rączkę. Zresztą nie mam dowodów.

- Więc to tylko przeczucie... - rzekłem nie bez zawodu.

- Nie. To jest pewność! Lecz potrzebne są jeszcze obiektywne dowody winy. Dlatego mówię: poczekajmy, aż owoc dojrzeje.

- Nie obawiacie się, że morderca może zbiec?

- Nie, on nie ucieknie. W tej sprawie morderca nie może uciec.

- Lecz może się domyślić, może próbować nowych morderstw, żeby usuwać niebezpiecznych świadków.

- Proponujesz prewencyjny areszt. Nie, to by utrudniło śledztwo. A nowych morderstw nie będzie, tak sądzę... to mimo wszystko nie jest głupi morderca.

Od strony bramy dobiegło nas zajadle szczekanie Rezy. Po chwili na głównej alejce pojawił się Żurko. Ujrawszy nas skręcił w naszą stronę.

- Do licha, cóż to - obrzucił Trepkę rozbawionym spojrzeniem - barwicie się w ogrodnika?

- Każdy uprawia swój ogródek, jak może - powiedział Treska filozoficznie.

- Czyżby sadzenie kapusty to było wszystko, na co was stać? - uśmiechnął się złośliwie Żurko.

- Przy was, przyjacielu Żurko, mogę spokojnie oddać się moim małym przyjemnościom - odparł Trepka. - Polegam na was całkowicie.

- I myślę, że macie rację - powiedział zadowolony Żurko - jeśli zaś chodzi o kapustę, to radziłbym wam się pośpieszyć. Być może, jutro skończę już dochodzenie.

- Czyżbyście się aż tak daleko posunęli naprzód, Żurko?

- Dostyc - odrzekł skromnie porucznik. - Mógłbym już dzisiaj wydębic nakaz aresztowania, ale lubię sprawę dopinać na ostatni guzik.

Bardzo zdrowa zasada, przyjacielu Żurko.

- Potrzebny mi tylko jeszcze jeden dowód. Sądzę, że jakiś mały odcisk palca bardzo by mnie urządził. To straszne, że człowiek jest uzależniony od aparatu: Oni się z tym tak dłubią. Gdybym wiedział, sam bym zdjął odciski.

- Czy można wiedzieć, przyjacielu, czyj odcisk najlepiej was by urządził? - zapytał ciekawie Trepka.

Żurko uśmiechnął się i zrobił efektowną pauzę.

- Profesora Kasicy.

- A to ciekawe! - Trepka był wyraźnie zainteresowany. - O ile się nie mylę, zdobyliście jakieś nowe poszlaki.

- Zgadliście, Trepka. Wyobraźcie sobie, co za wiadomość. W sobotę wieczorem widziano profesora Kasicę... w kościele. Siedział w ławce kolatorskiej. Gale miasto mówi o nawróceniu profesora Kasicy.

Wyobraziłem sobie Kasicę siedzącego w kościele i rzecz wydała mi się dziwaczna.

- A cóż, u diabła, ten stary ateusz mógł robić w kościele?

- Właśnie, co mógł tam robić - uśmiechnął się Żurko - nie sądzę, aby przygotowywał się do spowiedzi. Jeśli chodzi o mnie, myślę, że raczej miał tam spotkanie. Z tego nasuwa się wniosek: telefon od chorego był fikcją. Kasica otrzymał inny telefon.

- Z kim mógłby się spotkać? - zapytałem.

- I tego się dowiemy pomału.

- A jak wygląda sprawa rękopisów? - zainteresował się Trepka.

Żurko wyciągnął z teczki dwa pakiety kartek spiętych spinaczami.

- Oto one. Były rzeczywiście u Żurakowskiej. Pod tym względem zeznania Kasicy potwierdziły się. I tak, jak zeznał, to są tylko fragmenty. Resztę Kasica musiał zniszczyć lub ukryć.

- Czy Żurakowska wiedziała, czyj to jest rękopis? - zapytał Trepka.
 - Nie - uśmiechnął się Żurko. - Sądziła, że to jest rękopis Kasicy.
 - Czy tak ją poinformował Kasica?
 - Nie. Kasica podobno nic jej na ten temat nie mówił.
 - Bardzo interesujące poszlaki - przyznał Trepka.
- Żurko uśmiechnął się zadowolony.
- I mnie się tak zdaje.

Rozdział XVI

Po obiedzie Trepka zaproponował mi spacer do Ryżych Dołów. Nazwa nie była mi obca. Przypomniałem sobie ranną przechadzkę profesora Mistrala na dzień przed śmiercią i jego ubłocone czerwoną gliną kalosze oraz późniejsze zeznanie Macioszka. Tak, nie ulegało wątpliwości, że w Wielki Piątek Mistral był w Ryżych. Dołach.

Macioszek wskazał mi drogę i po półgodzinnej wędrówce stanęliśmy przed murami rozwalonej cegielni. Miejsce było puste i ponure. Resztki zburzonych pieców straszły czarnymi czeluściami. Obok znajdowało się kilka wypełnionych mętną wodą dołów, skąd niegdyś zapewne wydobywano glinę. Gdzieś tam sterczały w niebo krzywe, poskręcane sosny. Jałową, czerwonawą glebę porastała rzadka trawa. Było cicho, tylko od czasu do czasu od strony glinianek dochodziło nieśmiało rechotanie żab.

- Niezbyt zachęcająca okolica - zauważyłem - ciekawe, czego tutaj mógł szukać Mistral?

Trepka nie odpowiedział nic, tylko rozglądał się uważnie.

Nagle zza czerwonych murów cegielni dało się słyszeć beczenie kozy. Ruszyliśmy w tym kierunku. Za ruinami przy małej gliniance dostrzegliśmy trzy wałęsające się kozy oraz chłopaka z wędką. Na nasz widok zerwał się z ziemi i zrobił kilka kroków w naszą stronę, ale zaraz zatrzymał się spoglądając podejrziwie.

- Cóż to, chłopcze, przestraszyłeś się nas? - zapytał dobrotliwie Trepka.
- Chłopak milczał patrząc na nas spode łba.
- Wziąłeś nas za kogo innego?
 - Tak, proszę pana.
 - Myślałeś może, że to pan doktor Mistral? - zaryzykował śmiało Trepka.
 - To panowie znają doktora? - ożywił się chłopak.
 - Jesteśmy z tego samego domu. Doktor Mistral był tutaj w piątek, prawda?
 - Tak, był u taty i dzisiaj też miał przyjść.
 - Twój ojciec choruje?
 - Tak, proszę pana.
 - Chcieliśmy go zobaczyć.
 - To pan doktor Mistral nie przyjdzie?
 - Doktor Mistral zmarł.

Chłopak wytrzeszczył oczy.

- Właśnie dlatego chcielibyśmy zobaczyć się z twoim ojcem. Jak się nazywasz, chłopcze?

- Jerzy Inoch.

Poprowadził nas w kierunku dużej hałdy żużlu. Za hałdą teren obniżał się znacznie. W dole ujrzyliśmy trzy na pół ukryte w drzewach chałupy.

- Ta ostatnia to nasza - pokazał chłopak.

Na podwórku zastaliśmy troje drobnych dzieci i krępą kobiecinę pochyloną nad balią.

- Tu jacyś panowie do taty - powiedział chłopak i zawrócił do swoich kóz.

Kobiecina wytarła ręce i spojrzała na nas pytająco.

- Jesteśmy przyjaciółmi doktora Mistrala - powiedział Trepka. - Doktor Mistral zmarł w święta i chcielibyśmy zobaczyć, w czym można pomóc jego pacjentom, bo nie zostawił żadnych wskazówek.

Inochowa załamała ręce.

- Pomarł... w imię Ojca i Syna... Co też panowie mówią! Przeciesmy go widzieli w piątek.

- Zmarł nagle - powiedział Trepka. - Proszę nas zaprowadzić do chorego.

- Tędy... tędy, panowie - pchnęła drzwi do izby. - W głowie mi się nie mieści. Taki doktor i pomarł... - zaczęła mruczeć do siebie - i wierz tu człowieku w doktory! Ja to zawsze mówiłam, jakby doktory były co warte, to by żyły po sto lat. A oni, ech... jak w kogo palec boży trafi, to mu nic nie pomoże.

Nie słuchając sceptycznych uwag Inochowej weszliśmy do izby. Było tu mroczno i ledwie rozróżnialiśmy sprzęty. Na łóżku ciężko wzdychał nie ogolony, łysawy chłop.

- Kto to?... - uniósł się niespokojnie,

- Zamiast doktora Mistrala - powiedziała Inochowa - doktor Mistral pomarł.

Chory nie rozumiał w pierwszej chwili.

- Co ty gadasz?

- Mówię, że doktor Mistral pomarł.

Chuda grdyka Inocha poruszyła się niespokojnie.

- Pomarł - jęknął - no to i ze mną widać koniec.

- Będzie pana leczyć kto inny - powiedział Trepka - przyszliśmy w tej sprawie.

- To panowie doktorzy?

- Nie. Jesteśmy przyjaciółmi doktora.

- Drugiego już takiego nie dostanę - wyszeptał chory. - Teraz to już ze mną koniec.

Znak boży.

- Na co mąż choruje? - zapytał Inochowej Trepka.

- Ano taka słabość, panie, słabość - westchnęła.

- Nie znacie nazwy choroby.

- Albo to doktorzy mówią. Już od roku słabuje, panie. Leczyło go dwu z Płajszana, ale nic mu nie pomogli. Dopiero ta Pawliczanka, co pracuje w „Przystani”, powiedziała nam, że może by pan profesor Mistral co pomógł, bo to doktor warszawski i uczony. Tom poszła do pana profesora. Złoty człowiek, panie, ten profesor. Ani grosza nie wziął od nas i powiedział, że za darmo wyleczy.

- A profesor Mistral też nie mówił, na co mąż choruje?

- Nie panie. Mówił tylko, że jeszcze sobie mąż pożyje. „Ciężko z nim, ale wylizie” - tak powiedział.

- A co mu właściwie dolega?

- A wszystko, panie. Gały do niczego. Czasem krew pójdzie z ust i z nosa. Jeść nie może. Poty z niego biją. I duszność go męczy. W zimę, panie, otwierać okna kazał, bo gadał, że się dusi.

- A gorączka?

- Raz jest, raz ni ma. Ale jak go weźmie, to trawi do nieprzytomności, panie.

Za oknem stado kawek przeleciało z krzykiem. Chory uniósł się na łokciach i nasłuchiwał dysząc.

- Połóż się, Antoś, przeleciały - przykryła go kołdrą Inochowa.

Chory opadł ma poduszki.

- Ile razy był tutaj profesor Mistral?

- Dopiero dwa razy. W Niedzielę Palmową i w Wielki Piątek.

- Jakie lekarstwa dawał mężowi?

- Pastylki i proszki do połykania. I za każdym razem krew brał.

- W której aptece kupowała pani te lekarstwa?
 - W żadnej, proszę pana. Pan profesor wszystko sam przynosił. Co to był za człowiek, proszę pana, że świecą takiego doktora szukać.
 - Ma pani jeszcze te lekarstwa?
 - Tylko te pastylki - pokazała nam dwa flakoniki. Trepka obejrzał je i wyraz rozczarowania pojawił się na jego twarzy. Były to flakony z witaminami.
 - Pani mówiła o jakichś proszkach. Gdzie one?
 - Nie ma już, pianie. Ostatni mąż dzisiaj rano zażył. Doktor powiedział, że przyjdzie dzisiaj i przyniesie nowe.
 - Może ma pani opakowania od tych proszków?
 - Nie, proszę pana. Jakem dzisiaj sprzątała, tom spaliła. Ale to nic ciekawego. Zwyczajne papierki, proszę pana, takie jak w aptekach dają. Nawet bez napisu.
 Trepka westchnął i gładził zaaferowany łysinę, patrząc za okno na kawki, które obsiadły płot i wrzeszczały przeraźliwie.
 Chory odemknął oczy i nasłuchiwał czujnie, oblizując spieczone wargi. Potem zaczął gramolić się niezdarnie z łóżka.
 - Leż, nie ruszaj się! - krzyknęła żona.
 - Wydlubią... wydlubią, psiekrwie - mruknął Inoch wyszarpując się kobiecie.
 - Co ja mam z mim - pożałowała się nam - wciąż mu się zdaje, że kawki wydlubują groch z ogrodu. W gorączce tak sobie ubzdurał, proszę panów.
 Tymczasem chory, opierając się ciężko o sprzęty, dowlóknął się do okna, otworzył je na oścież, ujął wiecheć na długim kijku, jaki się używa do omiatania pieców chlebowych, i założywszy na niego czarną szmatę zaczął machać nim pomału przez okno. Spłoszone kawki zerwały się z krzykiem i zaczęły zataczać w powietrzu posępne kręgi nad ogrodem.

- Biedny człowiek - powiedział Trepka, gdy znaleźliśmy się z powrotem przy murach zburzonej cegielni.
 Obejrzelismy się za siebie. Przez Otwarte okno wciąż jeszcze powiewała czarna szmata na kijku jak posępny sztandar.
 - A więc Mistral miał tu po prostu pacjenta - powiedziałem - ale dlaczego robił z tego taką tajemnicę?
 - Swoje prace naukowe też otaczał, tajemnicą - zauważył Trepka. - Chciałbym się dowiedzieć, na co choruje ten człowiek i czym go leczył Mistral. Niewątpliwie jest to jakaś choroba krwi, coś ze specjalności Mistrala.
 - Na przykład agranulocytoza?
 - Na przykład agranulocytoza - powtórzył Trepka. - Trzeba pamiętać, że ta choroba była przedmiotem jego rozprawy.
 - Rozprawy „Zeta” - dopowiedziałem.
 Trepka skinął głową.
 - Jutro wybierzemy się tu z naszymi eskulapami. Ciekaw jestem, co oni na to powiedzą.

Rozdział XVII

W „Przystani Eskulapa” po głównej alejce przechadzał się profesor Kasica. W krokach jego była jakaś nerwowość. Zadawałem sobie pytanie, czy spaceruje tu przypadkowo, czy też czeka na nas. Ledwo bowiem zobaczył nas wychodzących z portierni, ruszył w naszą stronę.
 - Panowie ze spaceru? - zapytał. Mimo pozorów dobrego humoru w jego oczach czaiła się jakaś troska.
 - Wracamy z Ryżych Dołów - powiedział wolno Trepka wpatrując się w niego badawczo, ale twarz profesora nie zdradzała żadnych uczuć. - Okazało się, że profesor Mistral zostawił tam pacjenta.

- Tak? Nie wiedziałem o tym - odrzekł zdziwiony Kasica.

- Stan tego człowieka jest ciężki i dobrze by było, gdyby panowie mogli przejąć nad nim opiekę. Czy to da się zrobić?

- Oczywiście - powiedział Kasica, ale spojrzął na nas zdziwiony. - Na co choruje ten człowiek?

- Niestety nie zdołaliśmy się dowiedzieć. Musi to być jakiś ciekawy przypadek. O ile mi wiadomo, profesor Mistral nie miał zbyt dużo czasu, by bawić się osobiście w samarytanina. Raczej posłużyłby się asystentem. Co pan o tym sądzi, profesorze?

- Podziela pańskie zdanie - odrzekł Kasica - to niewątpliwie jakiś ciekawy przypadek, który zainteresował Mistrala z naukowego punktu widzenia.

- I który mógł mu posłużyć do wypróbowania nowych metod i środków leczenia. Zdawało mi się, że Kasica spojrzął na nas czujnie.

- Nowych środków? Co pan ma na myśli, kapitanie?

- Na przykład nowe środki przeciw agranulocytozie zawarte w pracy „Zeta”.

- Ach, o to panu chodzi - Kasica roześmiał się swobodnie. - Niestety jest pan w błędzie. Rozprawa „Zeta” zawierała pewne poglądy na etiologię i patogenezę agranulocytozy, ale nie było w niej ani słowa o leczeniu. Panowie z niezrozumiałą pasją uchwyciliście się tej rozprawy. Zaszedł nawet pewien pożałowania godny fakt, o którym chciałbym panu donieść i jednocześnie jak najenergiczniej zaprotestować. Proszę sobie wyobrazić, otrzymałem, niedawno telefon od maszynistki z Piaseczna, że porucznik Żurko zabrał jej oba rękopisy profesora Mistrala. Wydaje mi się to, delikatnie mówiąc, przekroczeniem kompetencji. Rękopisy otrzymałem przed śmiercią mojego nieodżałowanego kolegi z jego własnych rąk i nie rozumiem, co mogą mieć wspólnego ze sprawą. Panowie opóźniacie w ten sposób publikację.

- Proszę być spokojnym - starał się ułagodzić go Trepka - rękopisy zostaną panu zwrócone.

- Ale dlaczego je zabierano? Rozumiem, porucznik Żurko mógł mi nie wierzyć, że istotnie oddałem je do przepisania, lecz wystarczyło się przecież przekonać. Po co zakłócać tryb naszej pracy?

- Porucznik Żurko ma pewne swoje metody... - zaczął Trepka.

- Przyznam się panu - przerwał mu profesor - że metody porucznika Żurki zaczynają mi bokiem wylażać. Ten człowiek wprost działa mi na nerwy.

Kasica zdjął kapelusz i wachlował się nim zdenerwowany.

- Chcę się pana zapytać, kapitanie - rzekł nagle - czy zdarzyło się panu kiedyś wsadzić do więzienia człowieka niewinnego.

Trepka potrząsnął głową.

- Nigdy nie aresztuję człowieka, gdy nie jestem pewien jego winy.

- A czy nie zdarzyło się panu kiedyś pomylić?

- Nie przypominam sobie takiego wypadku - odpowiedział Trepka.

- Ale takie rzeczy zdarzają się przecież w pracy milicji.

- Z pewnością.

Kasica zasapał.

- Chciałbym z panem być szczerzy. Otóż mam wrażenie, że pański kolega mnie posadzi.

- Dlaczego?

- Mam takie wrażenie - mruknął Kasica ocierając czoło - staram się, jak mogę, nadrabiać miną, ale przyznam się panu, że mam pietra, porządnego pietra, kapitanie. Ten człowiek wmówił w siebie, że mordercy chodziło o te przekłete rękopisy, a ja bądź co bądź nie mam świadków, że Mistral sam mi je wręczył. Poza tym... poza tym... - zawahał się Kasica - jest jeszcze jedna sprawa, która może być źle rozumiana... Otóż... hm... widziano mnie w sobotę w kościele. I pan Żurko wyobraził sobie, że miałem tam podejrzaną schadzkę.

Tymczasem... będę zupełnie szczerzy, kapitalnie, sprawa wygląda tak: Mam kłopoty z synem. W sobotę wieczór dostałem nagły telefon, że chce się ze mną koniecznie zobaczyć. Nie chciał powiedzieć, o co mu idzie. Wyraził się tylko, że „czuje się jak komar w smole”. Umówiliśmy się w kościele.

- To rzeczywiście dość. dziwne. Dlaczego syn nie przyjechał tutaj? - zapytał Trepka.

- Właśnie - mruknął Kasica - to się może wydać podejrzanę, ale ja postaram się to panu wyjaśnić. Powiedziałem już, że będę zupełnie szczerzy. Otóż w sobotę zaraz po przyjeździe ostrzeżono mnie, że panowie są z milicji.

- Ach tak! - Trepka miał wyraźnie kwaśną minę. - Kto panu o tym powiedział, profesorze, Zapłon?

- Nie, Macioszek. Macioszek jest człowiekiem wybitnie nieufnym. Siedział parę lat w więzieniu i od tego czasu węszy wszędzie tajniaków. Panowie wydaliście się mu podejrzeni. Co do mnie, obawiałem się, że obecność panów tutaj jest związana z moim synalkiem Michałem... Chłopak ma dość zaszarganą opinię. Miał na swym koncie kilka ekstrawaganckich wyczynów. Myślałem, że może znów wdepnął w jakąś historię, i wolałem, żeby się tutaj nie pokazywał.

- Rozumiem. Czy pomysł spotkania w kościele wyszedł od pana czy od niego?

- Oczywiście ode mnie. Chciałem rozmawiać bez świadków. Niestety, jak się okazało, wybór miejsca nie był zbyt trafny. Rozpoznano mnie.

- O cóż konkretnie chodziło panu Michałowi?

- Smarkacz narobił długów. Konkretnie mówiąc, rozbił w zeszłym tygodniu samochód inżyniera Karasia, ojca swojego kolegi. Obyło się na szczęście bez ofiar w ludziach. Właściciel jednak zażądał dość poważnego odszkodowania i zagroził skierowaniem sprawy do sądu.

- Syn więc chciał od pana pieniędzy?

- Tak.

- I cóż? Dał mu je pan?

- Pan mnie chyba bierze za krezusa. Chodziło o czterdzieści tysięcy złotych, a moja kasa tak wygląda, że nie mógłbym mu dać nawet czterech. Zresztą idzie mi także o zasadę.

- O zasadę?!

- Tak. Ten chłopak już mnie kosztował zbyt wiele nerwów i pieniędzy! Miesiąc temu miałem z nim stanowczą rozmowę na ten temat. Oświadczyłem mu kategorycznie, że nie będę dłużej płacił za jego wybryki.

- Jednym słowem, nie wyciągnął pan tym razem „komara ze smoły”.

- Myślę, że pan to samo zrobiłby na moim miejscu. Chłop ma dwadzieścia cztery lata, jest lekarzem i najwyższy czas, by odpowiadał za siebie.

- Istotnie najwyższy czas - zgodził się Trepka. - A jak zareagował na to pan Michał?

- Był zrozpaczony. Muszę się przyznać, że zrobiło mi się go żal. Ale cóż, nie miałem pieniędzy. Jedyne, co mogłem dla niego zrobić, to obiecać, że porozmawiam z inżynierem Karasim i jakoś spróbuję ułożyć tę sprawę. W tym celu wyjechałem w niedzielę do Warszawy. Niestety inżynier nie chciał przyjąć ode mnie weksli i stanowczo żądał zapłaty przynajmniej dwudziestu tysięcy złotych gotówką.

- Czy widział się pan tego dnia z Michałem? - zapytał Trepka.

- Tak. Zostałem go zupełnie oklapniętego. Chciałem go zabrać tutaj, ale odmówił. Powiedział, że będzie się starał o pieniądze, ale sam chyba w to nie wierzył.

- Czy wspomniał mu pan o zamordowaniu profesora Mistrala?

- Tak.

- !?...

- Był wstrząśnięty... choć może to jeszcze za słabe słowo. Był po prostu przerażony. Tak, przerażony! Wyraził się nie bardzo parlamentarnie na temat życia w ogóle. A potem

powiedział dosłownie: „Nie wiem, czy nie lepiej byłoby dla mnie znaleźć się na miejscu Mistrała. Nie mam szans z moim pechem”. Boję się, żeby nie zrobił z sobą jakiegoś głupstwa. Nigdy go jeszcze nie widziałem w takiej głębokiej depresji. Miał do mnie dzwonić codziennie. Wymogłem to na nim. Niestety milczy, a ja gonię resztkami nerwów. Dlatego mam prośbę do panów. Niech go panowie tu ściągają. Jeśli trzeba będzie, to urzędowo, pod byle jakim pretekstem. Czy to da się zrobić, kapitanie?

Trepka rozcierał w skupieniu łysinę.

- Oczywiście - powiedział po chwili - możemy to zrobić dla pana, profesorze.

- Chciałbym możliwie jak najprędzej.

- Już jest szósta - mruknął Trepka - dzisiaj nie damy chyba rady, ale jutro to byłoby najzupełniej możliwe - zapatrzył się na odsłonięte przedramię profesora.

- Czemu pan mi się tak przygląda? - zdziwił się profesor.

- Patrzę na pański zegarek. To „Omega”?

- Istotnie - odrzekł zaskoczony profesor - widzę, że pan się zna na zegarkach. Kupiłem go w zeszłym roku w Szwajcarii.

- Zegarki odgrywają nieraz poważną rolę w śledztwie - odpowiedział Trepka. - Więc mówi pan, że to autentyczna „Omega”?

- Tak - profesor z niepokojem oglądał swój zegarek.

- Alfa... delta... omega - zamruczał Trepka - litery alfabetu greckiego mają nazwy działające na wyobraźnię. Nie uważa pan?

Kasica wytrzeszczył oczy.

Notatnik liryczny porucznika Pawła Dziarmagi

Wtorek, 2 kwietnia

Spacer z Halinką po kolacji. Halinka była tego wieczoru w lepszym nastroju, jednak w dalszym ciągu uchylała się od rozmów na tematy osobiste. Ledwie udało mi się ją skłonić do zwierzeń o dzieciństwie. Miała trudną młodość. Od czternastego roku życia utrzymywała się sama. Marzeniem jej było zostać lekarką. Niestety, konieczność wczesnego zarobkowania przekreśliła jej szansę. Halinka czuje się pokrzywdzona przez życie. Potem rozmawialiśmy o medycynie w ogóle, nie bez uczucia, że mogliśmy sobie darować ten temat. I znów miałem wrażenie, że wszystko jest jakąś dwustronną pomyłką.

Musiałem wyglądać bardzo nieszczęśliwie, bo aż Halinka zwróciła na to uwagę.

- Co panu jest, Pawełku? - wyprowadziła mnie na oświetlaną księżycem ścieżkę i zajrzała mi z troską w oczy.

Spojrzałem na nią jak smutny koń, którego wycofano z zawodów jeszcze w przedbiegu.

- Jakiś dziwny dzisiaj nastrój, prawda? - zapytała mnie. - Pan to też czuje?

Skinąłem głową.

- Tak, dosyć smętny.

- Smętny? - zaśmiała się Halinka. - O nie! nie to miałam na myśli.

- Tylko co?

- Niech pan posłucha. Nic pan nie słyszy?

- Otóż to właśnie. Myślałam o tej niezwyklej ciszy. Czy pan nie zauważył, że żaden pies nie szczeka? Przecież codziennie wyły o tej porze. Myślę, że to dobry znak.

- Dla kogo?

- Dla nas. To przecież nasz pierwszy spacer.

- Pani jest bardzo miła - spojrzałem na nią z wdzięcznością. Ten spacer nie był jednak zmarnowany.

- Dlaczego pan tak patrzy? O, jaki pan jest... jaki pan jest śmieszny, Pawełku.

Wróciłem do domu w dobrym nastroju, choć trochę zły na siebie. Czuję, że zachowałem się głupio. Byłem sentymentalny i śmieszny. „Nie ten styl, Pawełku - po-

myślałem - spóźniłeś się o pół wieku.” Zdawało mi się, że rozumiem, dlaczego Halinka uciekała od zasadniczych rozmów na temat nas dwojga. Krępowało ją moje zachowanie.

Długo nie mogłem zasnąć. Przewracałem się z boku na bok nie mogąc opędzić się od przykrych myśli. Zrobiło mi się duszno. Wstałem, podszedłem do okna i uchyliłem je. Dopiero teraz pojąłem to, co tak uderzyło na spacerze Halinkę.

Ta cisza była rzeczywiście niepojęta. Co się stało z psami? Ani jeden cień nie przemykał się w księżycowej poświacie za oknem. Nie wiem dlaczego, ale zrobiło mi się zimno na sercu. Zupełnie inaczej odczułem tę ciszę niż Halinka. Dla mnie była to cisza grabowa.

Rozdział XVIII

Nazajutrz zbudziły nas kroki i tupania za drzwiami. Żurko wyjrzał zaspany. Ja zwlokłem się za nim. Ujrzeliśmy doktor Protoklicką w szlafroku.

- Słyszeliście, panowie, coś takiego! Dziewięć psich trupów za murem!

Z ogrodu wracał Zapłon w rozchełstany szlafroku.

- Nie dziewięć, ale dwanaście - sprostował ze śmieszną dokładnością i znikł na schodach.

Ubraliśmy się pośpiesznie i poszliśmy zobaczyć trupy na miejscu. Żurko zdradzał niepokój, jakby czuł, że ten wypadek skomplikuje mu śledztwo. Za murem zastaliśmy Trepkę. Oglądał psy.

- Zostały z pewnością otrute - powiedział - sądzę, że należy oddać je na sekcję,

- Oczywiście, kapitanie - zgodził się Żurko, po czym pobiegł na portiernię przesłuchać Macioszka.

- Panie Macioszek - powiedział surowo - co pan ma nam do powiedzenia?

Macioszek był przestraszony jak zwykle, kiedy rozmawiał z Żurką.

- Słowo honoru, panie poruczniku, że nic nie wiem. Grzebały juchy w ścierwach.

Musiał się czymś struć.

- Wszystkie na raz i od razu? - krzyknął Żurko.

Macioszek rozłożył ręce bezradnie.

- Zdaje się, że pani Protoklicka wspominała coś o wytruciu psów - zauważyłem.

- Panie Macioszek - głos Żurki stał się podobny do syku węża - kto panu kazał otruć psy?

- Jak Boga kocham, nikt, panie poruczniku.

Żurko swoim zwyczajem założył kciuk za pas i poruszał nerwowo palcami. Jego trójkątna twarz przybrała wyraz lisa. Oczy mu się zwężyły.

- Macioszek - powiedział ostro - dokąd wywozi pan śmieci ze śmietnika przy bramie?

- Za mur - odpowiedział wystraszony Macioszek - zasypujemy śmieciami poniemieckie okopy.

- Za mur północny? - Tak, proszę pana.

- Psy musiały się struć trucizną, która była w śmietniku - orzekł Żurko. - Niech no pan siada, Macioszek.

Macioszek usiadł i wytrzeszczył oczy.

- Porozmawiamy teraz otwarcie, panie Macioszek - Żurko przysunął się do niego. -

Kiedy pan opróżniał ostatni raz śmietnik?

- Wczoraj, proszę pana. To znaczy, we wtorek.

- Doskonale. Czy śmieci z willi wynosi się do śmietnika?

- Tak, proszę pana. Ale to nie ja, to pomocnice. Codziennie rano przy sprzątaniu wnoszą śmieci na śmietnik. Ale teraz już nie, bo panowie przecież nie wpuszczają tych dziewczyn.

- Czy pan przypadkiem czegoś nie zapomniał, Macioszek? - wtrącił Trepka. - O ile sobie przypominam, pani doktor Protoklicka narzekala w sobotę na dziewczęta, że kuchnia nie sprzątnięta.

- Nie rozumiem - Macioszek zamrugał oczami - co pan kapitan ma na myśli?

- Kubeł z kuchni. Pan zapomniał, Macioszek, że żona kazała panu w sobotę wieczorem wynieść kubeł z kuchni.

- To prawda - zmieszał się. Macioszek - wyleciało mi z głowy.

- Kubeł! - wykrzyknął Żurko. - Więc pan wynosił wieczorem kubeł z kuchni?

- Tak, panie poruczniku.

- O której godzinie?

- O już było dobrze po jedenastej.

Była to bardzo denerwująca chwila dla naszego przyjaciela Żurki. Twarz jego nabrała na chwilę barwy ziemi. Potem jednak wrócił do równowagi.

- No, ostatecznie to nie takie ważne - odetchnął jakby uspokojony jakąś myślą.

- Jak to nieważne - odezwał się. - To przecież zmienia obraz śledztwa. I nasza stara hipoteza wcale nie jest obalona. Trucizna mogła być w wiśniaku. Mamy teraz odpowiedź, gdzie morderca wylał resztę zatrutego wiśniaku. Oczywiście do kubła. W swoich planach liczył z pewnością na to, że wyleje go do zlewu, jednakże miał pecha. Zlew był zatkany i musiał wylać do kubła.

- Nie, Paweł - uśmiechnął się Żurko - ja też tak myślałem w pierwszej chwili, ale to jest bzdura. Zapomnieliśmy przecież, że w szklance po wiśniaku była woda. Gdyby cyjanek był w wódce, profesor nie miałby czasu napełnić szklanki wodą. Przecież przy tej dawce śmierć nastąpiła natychmiast. To, zdaje się, nie budziło waszych zastrzeżeń.

- Oczywiście - skinął głową Trepka - profesor nie mógłby napełnić szklanki wodą. Wasza logika jest żelazna, przyjacielu, i nic jej nie można zarzucić.

- Zaraz - powiedziałem stropiony - więc jak wytłumaczysz obecność trucizny akurat w kubie?

- To proste - powiedział Żurko. - Morderca, jak pamiętamy, wziął ze słoika cztery gramy cyjanku. Jeden gram zużył na domieszanie do proszku. Nie mógł zużyć więcej, gdyż to podejrzenie powiększyłoby objętość proszku.

- Dlaczego w takim razie wziął aż cztery gramy? - próbowałem się bronić.

Żurko spojrzał na mnie zdenerwowany.

- Może nie miał czasu dokładnie odmierzyć, może wziął na oko, może chciał jeszcze kogoś innego wyprawić na tamten świat - tłumaczeń jest dużo. Ale istotne jest to, że w chwili śmierci profesora morderca miał jeszcze przy sobie cyjanek. Przerażony obecnością milicji chciał go się jak najprędzej pozbyć. Jedyne miejsce, gdzie obecność trucizny nie byłaby podejrzana, to laboratorium. Lecz dostęp do laboratorium był niemożliwy, wrzucił więc ją do kubła.

- A co się w takim razie stało z wódką w karafce?

- Wypił ją... Macioszek. Masz jeszcze wątpliwości? - uśmiechnął się Żurko - możemy - zaraz sprawdzić.

Wróciliśmy ma portiernię.

- Panie Macioszek - powiedział surowo Żurko - pan zeznał przed chwilą, że w sobotę po jedenastej wynosił pan śmieci z kuchni. Czy to wszystko, co pan wtedy robił w kuchni?

- Nie rozumiem - Macioszek uciekał z oczami.

- Pan nie jest z nami szczerzy, Macioszek - wycedził porucznik. - Pan skłamał już przy pierwszym zeznaniu, a teraz kłamie pan dalej. Czy to jest mądre z pana strony, panie Macioszek?

- O co panu chodzi? - wyjąkał ogrodnik.

- O to, że na karafce są ślady pana palców - zaryzykował Żurko. - Pan sobie wtedy zakropił, co?

Macioszek milczał przygryzając wargi.

- Niechże się pan nie boi. Żona się o tym nie dowie. Daję panu słowo - Żurko mrugnął okiem - no, Macioszek, jak tam, golnęliśmy sobie?

- Jeśli chodzi o ścisłość, to tak - wykrztusił ogrodnik - pan porucznik rozumie...

- Rozumiem - przerwał Żurko - ile tego było?

- Drobnostka... niecałe pół karafki.

- Ma pan spust - zaśmiał się Żurko. Macioszek wyszczerzył zęby.

- Może pan odejść - powiedział Żurko i obrócił się do nas. - No jak? Chyba teraz jasne! Wódka w karafce nie mogła być zatruta. Nie szukaj dziury w całym, Pawełku. Moja hipoteza z każdego zarzutu wychodzi obronną ręką. Zabił Kasica! On jeden miał okazję wynieść rękopisy. On jeden miał okazję domieszać czegoś do proszku. On jeden miał tę okazję, a przede wszystkim miał motyw. Taki motyw, panowie! - Żurko uniósł łokieć do góry. - Powtarzam: Dajcie mi jeden mały odcisk palca, a zjem go z kośćcami!

Spojrzałem na Trepkę, co o tym wszystkim sądzi. Twarz kapitana była jednak nieprzenikniona w sposób doskonały.

Okazało się, że z tym „małym odciskiem palca” miał Żurko pewne trudności. W kilka minut później zastałem go przy telefonie, jak zdenerwowany rzucał słuchawkę.

- Nie, to przechodzi ludzkie pojęcie! - wykrzyknął na mój widok. - Wyniki daktyloskopijne wciąż jeszcze nie są gotowe. Zawsze tak bywa, kiedy im się nie siedzi na karku. Nie ma rady. Jadę do Warszawy.

Jeszcze raz tego dnia mogłem podziwiać energię porucznika Żurki. Wrócił dosłownie po dwóch godzinach. Widząc samochód pędzący alejką ruszyłem z ciekawością w kierunku domu. Ku mojemu zdziwieniu Hipolita w domu nie było. Wyszedłem z powrotem, przed dom i dopiero teraz zauważyłem Żurkę. Siedział przy otwartym oknie laboratorium przyciskając do głowy ręcznik. Na mój widok schował go szybko i cofnął się od okna. Pośpieszyłem na górę. Drzwi laboratorium były zamknięte.

- Hipolit, co ty wyrabiasz, u licha?

Żurko wpuścił mnie do środka i zamknął drzwi na klucz. Był zielony na twarzy.

- Co ci się stało?

- Łeb mi pęka z tego wszystkiego, Paweł, Trepka miał rację, za bardzo nadszarpnąłem zdrowie. Czy nie wiesz, gdzie te eskulapy trzymają proszki od bólu głowy?

- Wątpię, czy tutaj coś znajdziesz - spojrzałem na niego zdumiony. - Ostatnio zbyt wiele osób bolała w tym domu głowa, żebyś jeszcze coś znalazł. Jeśli chcesz, poproszę Halinkę, to ci coś upitrası.

- Nie, daj spokój - zatrzymał mnie Żurko - to może wywołać niekorzystne wrażenie. Prowadzącego dochodzenie nie powinna boleć głowa. Tak mi się zdaje.

Zacząłem się czegoś domyślać.

- Hipolit, nie mówisz o najważniejszym. Co z odciskami?

Jakby w odpowiedzi dał się słyszeć niesamowity pisk. To Kajtek wygrzebał się ze słomy i na widok Żurki zaczął się miotać jak szalony po boksie. - Co to bydlę chce ode mnie? - zapytał Żurko.

- Pewnie jest głodny i twoja obecność go drażni.

Żurko obejrzał się. W pudle pod klatką zauważył marchew. Podetkał ją przez kraty Kajtkowi. Kajtek przestał piszczeć i przybliżył się nieufnie. Żurko pomachał marchwią kusząco. Potwór wspiął się na tylne łapy i kłapnął siekaczami.

Porucznik syknął z bólu i zaczął oglądać palec.

- Ugryzł cię?

- Do krwi - Żurko zamierzył się marchwią, a widząc, że zwierzę nie zdradza żadnego lęku i przygląda mu się spokojnie małymi świńskimi oczkami, trzepnął je w nos.

Kajtek kwiknął przeraźliwie, po czym wykonał gwałtowny obrót i zaczął wierzgać tylnymi odnóżami miotając na nas plewy, słomę i nieczystości. Zasłaniając oczy rzuciliśmy się do drzwi.

- Co się tu dzieje? - na progu stanęła doktor Protoklicka.

- Małe nieporozumienie towarzyskie - powiedziałem - porucznik Żurko karmił Kajtusia.

- Pan znów szpera po laboratorium - rzekła z naganą doktor Protoklicka - co się panu stało w rękę?

- Wła... właśnie Kajtek... - wykrztusił czerwony ze wstydu Żurko.

- Trzeba opatrzyć - Protoklicka otworzyła apteczkę - a na przyszłość niech pan nie drażni zwierzęcia.

- Ohydny potwór! Skąd państwo wzięli tego gryzonia? - zapytał Żurko krzywiąc się z bólu. Protoklicka nie żałowała jodyny.

- Przesłuchanie?

W uchylonych drzwiach błysnęły wypukłe szkła Jonasza.

- Mutant ukąsił porucznika - wyjaśniła lekarka.

- Pan musi wybaczyć Kajtkowi - rzekł Jonasz kpiąco - mutacja wpłynęła jak najniekorzystniej na jego charakter.

- Za to bardzo korzystnie na szpik - usłyszeliśmy za plecami wesoły głos doktora Zapłona.

- Czy nie za mało nas w tej klitce - zdenerwował się nagle Jonasz - jeszcze tylko pana tu brakowało!

- Kolega mnie wypędza? A ja tak lubię towarzystwo! Od dziecka garnąłem się do ludzi.

- Pan coś zaczął mówić o szpiku - zainteresował się Żurko.

- Szpik mutanta ma jedną ciekawą właściwość: znosi trzydziestosześciokrotnie większe dawki promieniowania niż szpik zwykłej świnki.

- Cóż to za rewelacje, panie kolego? Skąd to panu przyszło do głowy? - zdumiał się Jonasz.

- To jest zdanie profesora Tanimoto.

- To Japończyk? - zapytał.

- Japończyk z Nagasaki. Od niego profesor Kasica otrzymał właśnie Kajtka.

- Czy panowie sprawdzali tę właściwość? - zapytał Żurko.

- Ależ to bzdura! - zdenerwował się Jonasz. - Japończyk łągał. Tej właściwości nie można sprawdzić bez narażenia zwierzęcia na śmierć.

- Istotnie, nie sprawdzaliśmy. Jedyne doświadczenia, jakie profesor Kasica przeprowadzał z mutantem, to próba skłonienia go do życia seksualnego. Niestety. Kajtek zupełnie nie wie, o co chodzi. Obawiam się, że to nie jest kwestia uświadomienia - uśmiechnął się - to po prostu stuprocentowy eunuch.

- Co ci to da? - powiedziałem do Żurki, gdy wyszliśmy do ogrodu. - Chyba nie sądzisz, że mutant ma jakiś związek ze sprawą?

- Nie wiadomo - powiedział skrzywiony Żurko - nie wiadomo, kto i co może mieć związek z tym mordem. Odciski palców...

- Właśnie - podchwyciłem - co z odciskami?

Żurko zaklął pod nosem i wręczył mi kopertę. Zdjęły mnie złe przecucia.

- Odkryto odciski palców Halinki? - zapytałem z niepokojem.

Żurko machnął ręką.

- Nie ma żadnych odcisków palców Halinki.

- A na słoiku z trucizną?
- To jest właśnie szkopuł, bracie - jęknął Żurko - wyobraź sobie. Na słoiku z trucizną są odciski palców Protoklickiej.
Oniemiałem na chwilę.
- Zdaje się, że stanowczo twierdziła, iż nie miała go w ręku - powiedziałem.
- Otóż właśnie! Przebiegłem oczyma protokół:
W pokoju Mistrala na kurku umywalni - odcisk palca Mistrala. Na małym stoliku - brak odcisków.
Na oknie - odciski palców Żurki.
Na meblach - odciski palców Mistrala i Macioszkowej.
Na szklance po wódce - odciski palców Mistrala i Macioszkowej.
Na szklanej tafli pokrywającej biurko - odciski palców Mistrala.
W kuchni na karafce tylko odciski palców Macioszkowej i Macioszka.
W laboratorium na słoiku z cyjankiem - palce Protoklickiej. Nigdzie natomiast nie było odcisków palców Kasicy.
Spojrzałem na Żurkę i jego migrena stała się dla mnie zupełnie zrozumiała.

Trepka przestudiował wyniki badań daktyloskopijnych z zainteresowaniem.
- Przykro mi, przyjacielu - rzekł do Żurki - ale z tego wynika, że niedobry starzec Kasica musiał działać w rękawiczkach.
Żurko strawił uwagę w milczeniu.
- A poza tym bardzo ciekawe wyniki - zakaszał Trepka - bardzo ciekawe i pouczające.
- Czy to wszystko, co macie na ten temat do powiedzenia? - skrzywił się Żurko.
Trepka potrząsnął głową.
- Nie. Poza tym radziłbym wam studiować alfabet grecki. Zachęcam was do tego gorliwie. Studiujcie alfabet grecki, przyjacielu.
Żurko spojrzał na Trepkę spode łba i odszedł urażony. Trepka popatrzył za nim i westchnął.
- Nasz przyjaciel Żurko jest niestety tylko wilkiem. A na wilki są wilcze doły. Zdaje się, że dzielny Żurko wpadł w taki dół i boję się, że już się z niego nie wygrzebie.
- Czy nie pora, żebyście ujęli ster w swoje ręce? - zapytałem.
- Nie. Nasz przyjaciel Żurko jest zbyt ambitny i nie chciałbym go urazić.
- Jednakże dobro śledztwa... - zauważyłem.
Trepka przerwał mi:
- Śledztwo rozwija się normalnie, bądź spokojny, mój chłopcze.

Rozdział XIX

Przed taras zajechała nasza stara milicyjna skoda.
Kapral Kajtus zameldował o przywiezieniu doktora Michała Kasicy. Jednocześnie przekazał nam korespondencję, która nadeszła w Wielką Sobotę i we wtorek poświęteczny pod adresem „Izolátky”. Były to same karty z życzeniami.
Żurko przerzucił je szybko i oddał Trepce.
- Ależ to śmieszne! - zawołał kapitan. - Czytaliście tę pocztówkę do Mistrala? - pokazał Żurce banalną widokówkę z palmą.
- Myślicie o tej z Kielc? - powiedział Żurko. - Tak, śmieszna. „Najserdeczniejsze życzenia wesołego jajka przesyła Monika, świnka wybitnie lądowa” - odczytał Trepka. - Świnka wybitnie lądowa... - powtórzył - ciekawy podpis.
Od samochodu dobiegły nas odgłosy kłótni.
- Co się tam stało? - Żurko podszedł zdenerwowany.

- Nie chce wysiadać, obywatelu poruczniku - skarżył się szofer na młodego Kasicę, który przywarł do kąta wozu.

Syn profesora rzucił na mas nerwowe, czujne spojrzenia. Był bez czapki. Miał krótkie sterczące włosy i niskie czoło. Robił wrażenie nienormalnego. Milczał i nie ruszał się z miejsca.

- Co to znowu za sceny, panie doktorze? - zapytał Żurko.

- Za co jestem aresztowany? - wykrztusił Michał.

- Nie jest pain wcale aresztowany, doktorze - odrzekł pogodnie Trepka - sprowadziliśmy tu pana na prośbę ojca, który lękał się hm... że tak powiem, o stan pańskiej jaźni.

- Co! - Michał spojrzał na nas z niedowierzaniem - pan mówi poważnie?

W tej właśnie chwili zbiegł ze schodów profesor Kasica i wyjaśnił sprawę.

- Oszalałeś chyba - rzekł wściekły Michał - sprowadzać mnie milicyjnie!

- Chciałbym, żebyś odpoczął.

- Ładne wybrałeś miejsce na sanatorium! - wykrzyknął złośliwie Michał - dom morderców!

- Michał!

- Ani chwili tu nie zostanę! Co właściwie strzeliło ci do głowy?

- Ależ zechciej zrozumieć, mój chłopcze... twój stan.

- Nie mam powodów do śmiechu - przerwał Michał - sam wiesz o tym najlepiej. A o moje zdrowie bądź spokojny - wycedził - nie rzucę się pod tramwaj. To wszystko, co chciałem ci powiedzieć i *arivederci*.

- Wyjeżdżasz?

- Natychmiast!

- Może jednak odpoczniesz dzień, dwa...

- Nie. Mam dzisiaj dyżur.

- Zostań przynajmniej na obiad.

- Na obiad mogę zostać - wzruszył ramionami.

Z głębi ogrodu wyszedł Zapłon.

- Michał, ty tutaj? Co za chryja!

- Nic. Mój stary oszalał. Kazał mnie milicyjnie sprowadzić, milicyjnie, kapujesz?

- Bujasz!

- Jak Boga...

Rozmawiając z ożywieniem zniknęli obaj za zakrętem alejki.

Podczas obiadu Michał był nienaturalnie podniecony. Zauważyłem, że Halinka przyglądała mu się z, niepokojem.

- Zwrócił pan uwagę na Michała? - szepnęła do mnie. - Z nim jest naprawdę niedobrze. Jak on na nas patrzy!

Istotnie czułem, że Michał nas obserwuje bez przerwy, a ile razy zetknęliśmy się wzrokiem, twarz mu tężała nieprzyjemnie. Wyraźnie nie przypadłem chłopakowi do gustu.

Na szczęście po obiedzie natychmiast pożegnał się i wyszedł. Kasica z zażenowaniem przeproszał Trepkę za bezowocną fatygę.

- Zdaje mi się, że mimo wszystko z nim lepiej. Depresja ustąpiła. Nie uważa pan?

- Tak - odrzekł Trepka - metoda wstrząsów daje tu nieraz dobre rezultaty... Zdaje się, że pogoda utrzyma się do wieczora - dodał patrząc w niebo - co by pan powiedział, profesorze, gdybyśmy się wybrali na przechadzkę do Ryżych Dołów?

- Do Ryżych Dołów? - zdziwił się Kasica.

- Pan zapomniał, że mamy tam chorego...

- Ach tak... oczywiście - rzekł, szybko Kasica - już idę.

Niestety w Ryżych Dołach czekała nas smutna wiadomość. Inoch zmarł w nocy.

Nazajutrz rano nastąpił pewien impas w dochodzeniu. Żurko zamknął się od rana w pokoju, by - jak to określił - podbudować teoretycznie śledztwo. Trepka w dalszym ciągu przejawiał niezrozumiałą indolencję i oddawał się swojej pasji ogrodniczej.

W rezultacie niemal całe przedpołudnie udało mi się spędzić sam na sam z Halinką.

Niestety ta mała idylla została nam najniespodziewaniej przerwana około godziny dwunastej. Siedzieliśmy przytuleni do siebie na ławce pod kasztanami, zdawało się, zupełnie bezpieczni, kiedy nagle wyrósł przed nami Michał Kasica. Obrzucił nas ponurym spojrzeniem i nie odezawszy się ani słowem poszedł dalej ścieżką. Miałem jednak wrażenie, że krąży gdzieś w pobliżu.

To wystarczyło, żeby popsuć nam nastrój.

- Co za licho znów go tutaj przyniosło? - mruknąłem. - Wczoraj odrzekł się od „Przystani”, a dzisiaj przyjeżdża w najlepsze!

- Michał jest nieobliczalny - powiedziała rozdrażniona Halinka - nigdy nie wiadomo, co mu strzeli do głowy.

- Zdaje się przy tym, że nie darzy mnie specjalną sympatią - zauważyłem przyglądając się Halince - czy przypadkiem nie z powodu... pani?

- Och, na pewno - zaśmiała się Halinka.

- Kocha się w pani?

- Tak mi się zdaje.

- A pani?

- Nie biorę go poważnie. Czy Michała w ogóle można brać poważnie?

- Hm... - mruknąłem nie przekonany.

- Czyżby pan był zazdrosny?

- Może.

- Nie trzeba - Halinka pogłaskała mnie po policzku. - Pan jest zazdrosnym, złym, milicyjnym wilkiem.

Z Piaseczna dobiegł nas odgłos dzwonów.

- Co, już dwunasta?! - Halinka zerwała się z ławki.

- Co się stało?

- Muszę pędzić do Macioszków, zrobić opatrunek małemu. Jacek rozciął sobie wczoraj kolano do kości.

Rozstaliśmy się w głównej alei.

Na werandzie spotkałem Żurkę dłubiącego wykałaczką w zębach.

- Co nowego? - zapytałem.

- Powrócił Machał, wiesz.

- Tak, widziałem go.

- Znów pokłócił się z ojcem i wybiegł jak wariat do ogrodu. Muszę go wziąć na spytki. Nie podoba mi się ten typ.

- Rozbił samochód. Jest w kropce.

- Wątpię, czy pierwszy raz w życiu. Znam ten typ ludzi. Po nich takie rzeczy spływają jak woda.

Zagadaliśmy się na temat młodego Kasicy. Kiedy weszliśmy do hallu, wszyscy już siadali do obiadu. Żurko podszedł do Michała.

- Chciałbym z panem porozmawiać po obiedzie, doktorze - powiedział.

- O czym? - wykrztusił Michał.

- Na tematy kryminalne. To chyba interesuje pana? - wycodził Żurko z uśmiechem, który zmroził nastrój przy stole.

Dopiero przy drugim daniu zaczęła kielkować wąła rozmowa na najbardziej neutralny temat, to jest o pogodzie.

- Niesamowicie duszny dzień, nie uważacie, państwo? - odezwał się profesor Kasica ocierając łysinę.

- Zanoszą się na burzę i napór - powiedział doktor Zapłon nalewając sobie piwa.

- Napór? - zaśmiała się doktor Protoklicka. - Jaki?

- Oczywiście milicyjny - powiedział Zapłon odwracając się do Żurki. - Założę się, że ma pan w planie decydującą ofensywę.

Żurko zmierzył go lodowatym spojrzeniem i rozmowa znowu utknęła.

- Niech pan otworzy okno, kolego - zwróciła się podenerwowana doktor Protoklicka do Jonasza.

- Sądzi pan, że to oczyści atmosferę? - zaszydził Zapłon.

Jonasz podszedł nerwowym krokiem do okna i zaczął szarpać się z zamknięciem. W pewnej chwili usłyszeliśmy głuchy stuk. Głowy wszystkich zwróciły się w stronę Jonasza, który czerwony jak burak zbierał z podłogi skorupy doniczki.

- Tego brakowało! - westchnęła Protoklicka. - Niech pan zostawi, Macioszkowa sprzątnie.

Jonasz otarł ręce i bąkając jakieś usprawiedliwienia ruszył do stołu. Nagle znieruchomiał.

- Co panu jest, Michale?

Michał Kasica wstał z krzesła z wykrzywioną twarzą. Chciał coś powiedzieć, ale zamachał tylko rękami i runął na podłogę. Profesor Kasica wydał rozpaczliwy okrzyk i rzucił się do syna. Za nim zerwali się wszyscy. Ale pomoc nie była już potrzebna. Michał nie żył.

Profesor Kasica opadł ciężko na krzesło.

- To morderstwo... - szepnął. - Zamordowano go... - Ukrył twarz w dłoniach.

- Prawdopodobnie cyjanek - rzekł cicho Zapłon do Żurki.

Na twarzy porucznika pojawiły się drobne kropelki potu.

- Niech wszyscy siądą przy stole na swoich miejscach - powiedział siląc się na spokój.

W ponurym milczeniu lustrowaliśmy stół i siedzących i dookoła niego ludzi. Na stole, w miejscu, przy którym siedział Michał, stała otworzona butelka piwa, talerz i na i pół opróżniony kufel. Obok leżała zmięta papierowa serwetka. Przed Jonaszem i Protoklicką, którzy zajmowali sąsiednie miejsca, stały tylko talerze i kufle.

- A gdzie jest puderniczka pani? - zapytał Żurko.

- Puderniczka? - doktor Protoklicka spojrzała na niego zaskoczona.

- Puderniczka leżała przedtem na stole.

- Ach tak... oczywiście - wykrztusiła doktor Protoklicka - schowałam ją do kieszonki.

- Proszę mi ją podać - rzekł zimno Żurko.

Protoklicka nerwowo wręczyła mu okrągły srebrny przedmiot.

- Co to ma znaczyć - zerwał się Jonasz - co ma z tym wspólnego puderniczka?

Zamiast odpowiedzieć, Żurko zapytał:

- Czy ktoś z państwa widział, jak doktor Michał brał papierową serwetkę z flakonu?

Nikt się nie odezwał.

- Czy ktoś z państwa widział, jak Michał ocierał nią usta?

Znów odpowiedziało milczenie.

- Co znaczą te pytania? - wykrztusiła doktor Protoklicka.

- Cyjanku nie można przynieść w palcach - powiedział Żurko.

- Przecież Michał mógł go zażyć w kapsułce lub w opłatku! - wykrzyknął Jonasz.

- Jest pan pewien, że nie w piwie? - wycodził Żurko.

- To można łatwo sprawdzić - odezwał się Zapłon - zrobimy próbę na myszy. Pan się zgadza?

- Bardzo proszę - powiedział Żurko.

Zapłon pobiegł do laboratorium i przyniósł białą doświadczalną mysz. Zanurzył jej łebek w nie dopitym przez Michała piwie i puścił ją na podłogę. Wstrzymaliśmy oddech. Mysz zrobiła kilka kroków, zadrgała nagle i znieruchomiała martwa.

Rozdział XX

Pierwszą wzięliśmy na przesłuchanie doktor Protoklicką. Weszła do pokoju może nazbyt energicznym krokiem. Krokiem dragona, jakby powiedział Żurko.

- Dlaczego pan zaczyna ode mnie? - zapytała z miejsca Żurkę.

- Pani siedziała najbliżej denata - odpowiedział porucznik.

- Co pan chce przez to powiedzieć?

- Nic. Po prostu stwierdzam fakt. Pani siedziała przy Michale, pani najwięcej mogła... hm... widzieć.

- Nic nie widziałam. Wszyscy patrzyliśmy wtedy na doktora Jonasza i stłuczoną doniczkę. Doskonały moment dla samobójcy,

- Albo dla mordercy - rzekł zimno Żurko.

Protoklicka zaśmiała się sztucznie.

- Widzę, że pan dał się zasugerować Kasicy.

- Pani wyklucza możliwość zabójstwa?

- Oczywiście. Ja go nie zabiłam. Nikt inny nie miał okazji. Piwo w butelce nie mogło być zatrute. Prócz Michała piłam je jeszcze ja i doktor Jonasz. Wynika z tego, że cyjanek, jeśli to w ogóle był cyjanek, musiał zostać wsypany wprost do kufla. Chyba że został zażyty bezpośrednio w opłatku. No, a tak zażyć truciznę mógł tylko sam denat.

- Jakie, według pani, Michał miał powody do samobójstwa?

- Powody to rzecz względna - rzekła doktor Protoklicka zapalając spokojnie papierosa - Michał był neurastenikiem. Wpadał wciąż w stan chorobliwego podniecenia, to znów krańcowej apatii. Byle co mogło go popchnąć do tego kroku. Nieraz żartował zresztą, że najlepiej będzie, jak z sobą skończy.

- Jednak pani przyznaje, że musiało być coś, co go do tego definitywnie popchnęło.

- Różne mogły być przyczyny - rzekła niechętni Protoklicka - na przykład ta historia z samochodem.

- Pani to uważa za wystarczający motyw?

- Och, nie! Powiedziałam już panu - Michał miał w ogóle skłonności samobójcze.

Istotne było jego zniechęcenie do życia. Historia z samochodem mogła być ostatnim impulsem... co nie wyklucza, że chłopak mógł mieć jeszcze inne zmartwienia, na przykład... - Protoklicka zawahała się.

- Na przykład! - podjął Żurko.

Lekarka złośliwie przymrużyła oczy.

- Niech pan lepiej zapyta swojego kolegę, porucznika Dziarmagę.

- Dziarmagę? - zdumiał się Żurko. - Paweł, masz coś do powiedzenia?

Poczerwieniałem.

- Nie bardzo rozumiem, o co pani doktor chodzi...

- Chyba nie uważa pan nas za ślepych, poruczniku Dziarmaga - uśmiechnęła się szyderczo Protoklicka - wszyscy widzą, że pan podtrzymuje tu sławne tradycje ullańskie.

Chciałem coś powiedzieć, ale Protoklicka nie dała mi dojść do słowa.

- Proszę się nie usprawiedliwiać - przygwoździła mnie ironicznym uśmiechem - mnie mało interesuje, co pan robi z tą sroką Halinką, lecz mam powody przypuszczać, że interesowało to bardzo Michała.

Przygryzłem wargi.

- Twierdzi pani, że Michał Kasica, hm, kochał się w pannie Stor? - zapytał ostro Żurko.

- Jest to rzecz powszechnie znana.
- Czy z wzajemnością?
- Tego nie wiem. Halinka była trochę zepsuta powodzeniem. Myślę, że polowała raczej na grubszą zwierzynę. O ile ją znam, jest bardzo trzeźwa w życiowych sprawach.
- Jednakże po jej zachowaniu mogła się pani chyba zorientować...
- Protoklicka potrząsnęła głową.
- Pan nie zna małej Stor - w oczach jej zapaliły się nieprzyjazne ogniki - to jest osóбка równie sprytna, jak skryta.
- Pani, zdaje się, nie darzy jej szczególną sympatią - zauważył Żurko.
- Jeśli mam być szczerą, to nie.
- Dlaczego?
- Nie lubię dziewcząt tego typu.

Mieliśmy pewne wątpliwości, czy przesłuchiwać profesora Kasica bezpośrednio po wypadku, który musiał nim wstrząsnąć jako ojcem. Profesor jednak wyraził gotowość złożenia zeznań i poprosił nas do swego pokoju. Robił wrażenie człowieka starszego o dziesięć lat, ale był już zupełnie opanowany.

- Co pan profesor może powiedzieć na temat śmierci syna? - zapytał po chwili milczenia Żurko.

- To morderstwo - odrzekł cicho Kasica.

- Dlaczego pan tak sądzi?

Profesor rozłożył bezradnie ręce.

- Gdyby to nastąpiło wczoraj, miałbym wątpliwości. Dziś mogę z całą pewnością powiedzieć, że to nie jest samobójstwo. Nie widzę powodów. Obiecałem mu przecież załatwić sprawę samochodu, tak jak tego sobie życzył.

- Czy można wiedzieć jak?

- Poszkodowany zgodził się przyjąć moją warszawę w zamian za swojego gruchota i dopłacić mi sześćdziesiąt tysięcy złotych.

- Od kogo wyszła ta propozycja?

- Od inżyniera Karasia.

- Czy uważa pan tę transakcję za korzystną?

- W moim położeniu raczej tak. Bądź co bądź otrzymuję poważną sumę gotówką, a jednocześnie spada mi z głowy kłopotliwa i przykra sprawa.

- Zdaje się jednak, że z początku wynikła między panem a synem mała kontrowersja.

- Słyszał pan? - skrzywił się Kasica.

- Coś niecoś - mruknął Żurko.

- Postawiłem Michałowi pewien warunek, który go dosyć zdenerwował.

- Jaki?

- Warunek może śmieszny w odczuciu panów - wymamrotał Kasica - krótko mówiąc, powiedziałem mu, że po raz ostatni dopomogę mu, ale pod warunkiem, że przedtem się ożeni.

- Ożeni! - wytrzeszczył oczy Żurko.

- Tak jest. Z Halinką Storówną. Cenię tę małą. To bardzo dzielna dziewczyna. Sądzę, że potrafiłaby utemperować Michała. Wiedziałem, że mu się podobała. Toteż bardzo zdziwiła mnie jego gwałtowna reakcja. Ujemna reakcja - dodał. - Powiedział, że o tym nie ma mowy; Halinka go nie kocha. Zaproponowałem, że porozmawiam z nią. Zgodził się, ale twierdził, że to są sposoby z zeszłego stulecia i że nic nie wskóram.

- Jednym słowem, sprawa została na razie zawieszona?

- Tak.

- Czy rozmawiał pan z Halinką?

- Nie zdążyłem - szepnął ponuro Kasica.

- Z tego wynika - powiedział Żurko - że jednak sprawa samochodu nie została podczas rozmowy panów definitywnie załatwiona.

Profesor Kasica spojrział ze zdumieniem.

- Ależ chyba pan nie myśli, że Michał otruł się z tego powodu... to byłoby... no, po prostu niedorzeczne.

- Oczywiście - rzekł krótko Żurko.

- A swoją drogą to kapitalny szczegół - uśmiechnął się, gdy wyszliśmy z pokoju Kasicy.

Zapłon stawiał się przed nami w kiepskim nastroju i choć nie wyzbył się swego specyficznego humoru, tym razem był to humor wisielczy.

- Wolałbym się z panami spotykać przy weselszych okazjach. Odprawianie pogrzebowych requiem to nie w moim guście.

- Niestety - chrząknął Żurko.

- Ta zabawa zaczyna mi się nie podobać. Ciekawym, na kogo teraz kolej - uśmiechnął się słabo.

- Sądzi pan, że to było morderstwo?

- A pan jak myśli?

- Proszę odpowiedzieć na pytanie.

Zapłon wzruszył ramionami.

- Chyba morderstwo. Znałem dość dobrze Michała. Nie popełniłby samobójstwa bez ważnego powodu.

- Doktor Protoklicka jest zdania, że Michał był neurastenikiem.

- Być może. Ale nie większym niż pan i ja. Czy pan zabiłby się z powodu samochodu albo nieszczęśliwej miłości? Bzdura! Moim zdaniem Michał został sprzątnięty. Musiał coś wiedzieć o morderstwie Mistrała lub kogoś podejrzewać...

- Lub sam był w nie zamieszany - wycedził Żurko.

- Pan podejrzewał Michała? - wytrzeszczył oczy Zapłon.

- To tylko przypuszczenie - mruknął Żurko - w każdym razie dość uderzające było jego zmieszanie, gdy wspomniałem mu przed obiadem o przesłuchaniu.

- No, jeśli pan tylko na tym buduje swoje przypuszczenia - uśmiechnął się Zapłon - to niedaleko pan zajedzie. Powinien pan zrozumieć, poruczniku, że ma pan niepospolity dar denerwowania ludzi. Sposób, w jaki pan stawia pytania, może niejednego przyprawić o drżączkę.

- Panu to w każdym razie nie grozi - odciął się Żurko.

- Ja jestem zaszczytnym wyjątkiem - odpowiedział Zapłon. - Ale zostawiając na boku tę sprawę muszę powiedzieć, że pan był bardzo niezręczny. Jak pan mógł uprzedzać Michała o przesłuchaniu na oczach wszystkich! W ten sposób uprzedził pan także mordercę. Kto wie, czy pan nie ma na sumieniu tego chłopaka...

Żurko chrząknął zdenerwowany.

- Więc pana zdaniem Michał coś wiedział o morderstwie Mistrała?

- Tak mi się zdaje. Już dawno zauważyłem, że nosi się jak kura z jajem, Szczególnie jeden fakt dał mi dużo do myślenia.

- Jaki?

- Krytycznego wieczoru widziałem go pod „Przystanią”.

- O, to ciekawe - Żurko poprawił się na krześle. - Dlaczego pan o tym nie wspominał?

- Nie wydawało ma się to dość ważne. Nie chciałem plątać sprawy.

- Ach, tak - Żurko spojrział podejrzliwie na Zapłona. - Więc pan się widział tego wieczoru z Michałem?

- Nie „widziałem się” tylko „widziałem go”. Mam zwyczaj wracać z Piaseczna bliższą drogą, przez las. Kiedy doszedłem już do muru „Przystani”, wschodniego muru, jeśli to pana interesuje, zauważyłem przechadzającego się tam i z powrotem na ścieżce człowieka.

- Jest pan pewien, że to był Michał?

- Poznałem go po kapturze na głowie. Michał w czasie tych deszczów nosił płaszcz z kapturem.

- Czy Michał zauważył pana?

- Nie. Wyglądał na bardzo zaaferowanego. Zresztą cofnąłem się natychmiast i doszedłem do bramy z innej strony.

- Dlaczego?

- Podejrzywałem, że Michał ma jakąś schadzkę. Byłem ciekawy, z kim, i nie chciałem się demaskować. Wszedłem do ogrodu i czekałem pod drzewem przy tarasie, czy ktoś nie wyjdzie z domu. Nikt jednak mnie wyszedł. Zauważyłem natomiast, że w kuchni zapaliło się światło. Zajrzałem do okna i zobaczyłem Macioszkową. Musiała mnie zauważyć, bo przestraszyła się i uciekła z kuchni.

Żurko spojrzał na mnie znacząco. Czyżby w ten sposób miała się wyjaśnić ta historia z twarzą w oknie?

- I co pan dalej robił?

- Cofnąłem się w głąb ogrodu. Widziałem, jak z domu wyszli panowie Trepka i Dziarmaga, a potem zobaczyłem pana, porucznika, jak pan maszerował dzielnie od strony bramy.

- To wszystko? - chrząknął Żurko.

- Mniej więcej. Potem widziałem już tylko pana brawurowy atak. Byłem pełen uznania dla pana, porucznika.

- To nieważne - przerwał zirytowany Żurko. - Niech pan mówi o rzeczach istotnych.

- Nic istotnego już się nie wydarzyło. Wałęsałem się jeszcze parę minut po ogrodzie. Potem mi się znudziło i wróciłem do domu. Sprawa jednak wydawała mi się dość zagadkowa i gdy wczoraj panowie sprowadziliście tu Michała, zapytałem go, co robił w sobotę wieczorem za murem.

- I co panu powiedział?

- Był dosyć zmieszany. Powiedział, że chciał ostatecznie rozmówić się z ojcem. Jak się wyraził, postawił mu „ultimatum”, ale rozmyślił się i pojechał do Warszawy.

- Pan w to uwierzył?

- Nie.

Gdy Zapłon opuścił pokój, Żurko zaklął pod nosem.

- Niech go diabli wezmą! Zawsze zabije mi ćwieka, I cóż wy na to wszystko, Trepka? - zwrócił się do kapitana, który z podziwu godnym spokojem przysłuchiwał się zeznaniom nie odzywając się przez cały czas ani słowem.

- Bardzo dziwna historia - zauważył skromnie Trepka.

Żurko skrzywił się.

- Poproś pannę Stor - powiedział do mnie.

- Pani bardzo zmartwiła się wypadkiem? - zapytał Żurko patrząc badawczo na podpuchnięte oczy Halinki.

- Bardzo lubiłam Michała - odpowiedziała.

- Rozumiem - Żurko uśmiechnął się domyślnie.

- Nic pan nie rozumie. Michał był moim kolegą, to wszystko. Bardzo miłym i dobrym kolegą. Nie mogę pojąć, dlaczego go zabili - głos jej zadrżał - to chyba jakaś straszna pomyłka. Przecież on nikomu nie zagrażał. Nic nie wiedział. Cały czas był na uboczu.

- Hm - mruknął Żurko - więc i pani twierdzi, że to było zabójstwo?

- A cóż mogło być innego!
- Doktor Protoklicka twierdzi, że Michał sam się otrął.
- Może ma ku temu specjalne powody - rzekła chłodno Halinka.
- Pani podejrzewa doktor Protoklicką, że ona mogłaby...
- Halinka potrząsnęła głową.
- Nie... Nie! Ja nikogo nie podejrzewam...
- Żurko poprawił się na siedzeniu.
- Porozmawiajmy uczciwie. Wiemy, że Michał kochał się w pani. Czy przed obiadem rozmawiała pani z Michałem?
- Owszem - wykrztusiła Halinka.
- Pani wybaczy, że wdzieram się w jej osobiste sprawy, ale chcę ustalić okoliczności śmierci Michała... Dlatego muszę panią zapytać, o czym państwo rozmawialiście.
- Halinka zaczerwieniła się.
- Michał... Michał robił mi wymówki. Widział mnie razem z porucznikiem Dziarmagą i...
- I zrobił pani scenę zazdrości.
- Zupełnie niesłuszną. Ja... ja nigdy nie powiedziałam Michałowi, że go kocham. Byłam z nim zawsze szczerą...
- I jak się ta scena zakończyła?
- Powiedziałam mu, że nie ma do mnie żadnego prawa, że możemy być przyjaciółmi, nic nadto. Odszedł bardzo zdenerwowany.
- Jeszcze jedno pytanie. Co pani robiła w czasie obiadu w tym krytycznym momencie, gdy Jonasz poszedł otworzyć okno?
- Patrzyłam na Jonasza jak wszyscy.
- I nic pani nie zauważyła, co się działo w tym czasie przy stole? Pani przecież siedziała naprzeciwko Michała. Mogła pani coś zauważyć.
- Halinka zawahała się.
- Chyba nic.
- Niech pani sobie dobrze przypomni ten moment. Jonasz idzie do okna... co w tym czasie robi doktor Protoklicka?
- Doktor Protoklicka - Halinka zmarszczyła brwi - zdaje się... zdaje się, że doktor Protoklicka pudrowała wtedy twarz.
- Spojrzeliśmy po sobie z Żurką.
- A Michał? - zapytał porucznik.
- Michał? Nalewał sobie piwa do szklanki. Tak... na pewno nalewał sobie piwa.
- Dziękuję pani - wstał zadowolony Żurko.
- Wydaje mi się - rzekłem, gdy zostaliśmy sami w pokoju - że tym razem posunęliśmy się trochę naprzód. Zeznanie Halinki rzuca światło...
- Puderniczka? - zastanowił się Żurko. - No, zobaczymy. Ekspertyza wykaże.
- W każdym razie akcje profesora Kasicy wciąż zniżkują na naszej giełdzie - uśmiechnął się Trepka.
- Przestały być w ogóle notowane - odpalił Żurko.
- Cóż w takim razie zrobicie z waszą zasadniczą hipotezą?
- Oddam ją do muzeum - uśmiechnął się Żurko - mam zwyczaj trzymać się faktów, nie hipotez.
- Bardzo chwalebna zasada - zakaszłał Trepka.

Zeznania Jonasza nie wniosły już noc nowego. Twierdził, że pił piwo z tej samej butelki, co Michał, a więc trucizna musiała być wsypana bezpośrednio do kufła. Odrzucał

stanowczo pogląd, by mógł to zrobić ktoś z obecnych. Był przekonany, że Michał popełnił samobójstwo. Jednakże przyczyn tego kroku nie umiał wskazać.

Zbyt dobrze znałem Żurkę, żeby dać się zwieść jego pozornie dobrej minie. To była wyraźnie dobra mina do złej gry. Ostatnie wypadki wywróciły do góry nogami jego hipotezę, a nową nietatwo było zbudować. Przed nami otworzyła się pustka. Na dobrą sprawę Protoklicka wpadła nam w akcję jak przysłowiowy Piłat w credo. Wyraźnie nie pasowała do zebranego dotąd materiału faktycznego. Ale w grę wchodziło jeszcze coś, o czym nie mieliśmy pojęcia, albo...

W każdym razie Żurko musiał być w nie lada tarapatach, skoro zaproponował Trepce generalną naradę wobec, jak to określił, nowych, aspektów sprawy. Trepka nie zdradził jednak żadnych chęci w tym kierunku.

- Zapominasz, przyjacielu, o naszej umowie. Jestem tu w charakterze osoby postronnej. Przeprowadzam małe studium naukowe. Studium to straciłoby swój sens, gdybym zaczął nadawać kierunek śledztwu. Wkroczę w sprawę w chwili odpowiedniej. Ta chwila jednak jeszcze nie nadeszła. - Trepka spojrział ostentacyjnie na zegarek i zamruczał coś o swoich pracach ogrodniczych.

- Zdaje się, że tu mnie chcą wystrychnąć na dudka! - wykrzyknął Żurko. - To było diabelnie chytne z waszej strony. Zwaliliście mi na kark tę brudną robotę i umywacie ręce!

- Nie umyвам rąk, przyjacielu - zakaszłał Trepka - czuвам... czuвам nad biegiem rzeczy w dzień i w nocy...

- Lecz kiedy was chcę zapytać o zdanie, to was nie ma. Wasza niechęć do pracy kolektywnej, Trepka, jest bardzo symptomatyczna.

- Nasz przyjaciel Żurko od czasu do czasu przypomina sobie o pracy kolektywnej? powiedział Trepka, gdy opuściliśmy pokój. - Dziwnym zbiegiem okoliczności dzieje się to wtedy, gdy naszemu dzielnemu Żurce nie chce wylecieć gołąb z jego czarodziejskiego rękawa.

- Pozwólcie powiedzieć, kapitanie - zauważyłem - że wasze milczenie w tej sprawie jest denerwujące.

Trepka spojrział na minie jakoś dziwnie i nie odezwał się ani słowem.

Rozdział XXI

Ten dzień był szczególnie bogaty w wydarzenia. O godzinie piątej nadeszły poufne informacje o naszych podejrzanych. Żurko zagarnął je od razu i zamknął się z nimi w pokoju. Wpuścił nas dopiero po godzinie.

- Sądząc po waszej minie są tam jakieś rewelacje - zagadnął Trepka.

- Owszem, jest parę ciekawych szczegółów - odparł Żurko. - Macioszek siedział w więzieniu za... szpiegostwo. Dopiero w ubiegłym roku został wypuszczony na wolność i zrehabilitowany. Przeciw Macioszkowej toczyło się w 1953 roku dochodzenie w sprawie o kradzież kocy i morfiny ze szpitala na Oczki, gdzie pracowała jako salowa. Dochodzenie zastało umorzone z braku dostatecznych dowodów.

- A Halinka? - zapytałem.

- Halinka - uśmiechnął się Żurko - o, to prawdziwa powieść. Ojciec, kolejarz, zginął w kampanii wrześniowej. Matka zmarła w czasie okupacji. Halinka od trzynastego roku życia utrzymywała się sama, ucząc się na kursach wieczorowych. W 1955 roku kończy szkołę laborantów w Łodzi. Potem pracuje w szpitalu powiatowym w Ostrowcu Świętokrzyskim. Podczas pożaru w laboratorium z narażeniem życia ratuje od śmierci dziecko. Podkreślone. Awansowana na stanowisko zastępcy kierownika laboratorium w szpitalu miejskim w Kielcach, cieszy się jak najlepszą opinią. W roku 1956 przenosi się do drugiego instytutu hematologicznego w Warszawie. To prawie jak pozytywny bohater współczesnej powieści.

- Zbyt pozytywny - przygryzłem wargi.
- Zdaje się, że nie jesteś z czegoś zadowolony - zdziwił się Żurko.
- Ależ skąd - skłamałem, gdyż istotnie nie byłem z czegoś zadowolony. Nie, to nietrafne określenie. Byłem niespokojny, ale dlaczego? Nie wiedziałem.

Żurko wzruszył ramionami i przeszedł do dalszych meldunków.

- Jest także mały szczegół o doktorze Zapłonie. Do roku 1955 pracował w zakładzie medycyny sądowej. Potem nagle poczuł powołanie do pracy naukowej i przeszedł do instytutu. Warto zwrócić uwagę, że rok temu robił gwałtowne starania, by zostać asystentem profesora Mistrala...

- I co?

- Mistral odrzucił stanowczo jego kandydaturę. O pozostałych osobach meldunki nie mówią nic, czego byśmy dotąd nie wiedzieli. Warto zwrócić natomiast uwagę na fakt, że wszyscy z wyjątkiem Kasicy złożyli w tym roku wnioski o paszporty zagraniczne.

- A to ciekawe! - zauważył Trepka.

- Macioszkowie chcą odwiedzić krewnych we Francji. Zapłon, Protoklicka i Jonasz wybierają się do Szwajcarii w ramach stypendium UNESCO. Michał Kasica i Halinka Stor mają natomiast zamiar wziąć udział w wycieczce Orbisu do Pragi i Wiednia.

- Najistotniejsza jednak, moim zdaniem, jest ocena naukowa dzieł „Zeta” i „Gama” - Żurko uśmiechnął się tajemniczo.

- Oddałem te dzieła do zaopiniowania specjalistom. Ich opinia jest zaskakująca.

- Mianowicie?

- Te dzieła nie przedstawiają oryginalnej wartości naukowej. Oto zdania wybitnych hematologów. Docent Turoń pisze: „Są to dzieła kompilacyjne o wartości raczej pedagogicznej niż twórczej”, a profesor Kossowski określa je wręcz jako „usystematyzowanie ogólnie znanych poglądów”.

- A jednak te rękopisy zaginęły w dniu morderstwa. Jak to wyjaśnisz?

- Wyjaśnienia mogą być dwa: Kradzież rękopisów nie była motywem morderstwa. Skradziono je dla celów taktycznych. Żeby zataić istotny motyw zabójstwa, a może także, by skierować nasze podejrzenia na osobę niewinną. Jest bowiem całkiem możliwe, że zostaną albo już zostały podrzycone. Może być także drugie wyjaśnienie, dla mnie osobiście bardziej przekonujące. - Żurko uśmiechnął się chytrze. - Zwróćmy uwagę na jeden istotny fakt. Dysponujemy jak dotąd tylko fragmentami obu dzieł. Nikt nie znał ich w całości. Nawet Kasica. Mistral wręczył mu tylko fragmenty. Kasica twierdzi, że są to fragmenty najistotniejsze. Ale przecież, u diabła, to jest tylko twierdzenie Kasicy. W rzeczywistości natomiast mogło być odwrotnie. Mistral mógł ukryć przed Kasicą najistotniejszą, odkrywczą część dzieła, a do opublikowania przeznaczyć mniej ważną. W ten sposób motyw byłby uratowany. Zarówno w jednym, jak i w drugim wypadku dalsze postępowanie narzuca się samo. Należy odnaleźć zaginione rękopisy.

- Szkoda, że dopiero teraz wpadłeś na tę genialną myśl - pozwoliłem sobie na ironię - do tego czasu rękopisy mogły wywędrować z „Przystani” w tak zwaną siłą dal.

- Nie sądzę - mruknął Żurko - „Przystań” opuszczał w tym czasie tylko profesor Kasica. Kasicy nie podejrzewam...

- A Michał?

- Nie wierzę, żeby Michał miał coś wspólnego z tą historią.

- Jego pojawienie się pod „Przystanią” krytycznego wieczoru jest dość podejrzane - zauważyłem.

- O ile wierzyć Zapłonowi - odparł Żurko - ale Zapłon nie jest zbyt wiarygodnym świadkiem. Zresztą, o co ci idzie? Przypuśćmy nawet, że rękopisów nie ma już w „Przystani”. Potrafię ich szukać także poza nią. I znajdę, choćbym miał je wytrzasnąć spod ziemi!

- Wasz zapal jest godny uznania - powiedział Trepka - myślę jednak, przyjacielu, że nie będzie potrzeby szukać ich tak daleko.

Żurko spojrzał zelektryzowany na kapitana.

- Czyżbyście wpadli na jakiś ślad?

- Być może, przyjacielu - uśmiechnął się Trepka - nie zapominaj, że milicjant sadzący kapustę zyskuje pewne szanse, których nie ma milicjant prowadzący dochodzenie w gabinecie.

- Znaleźliście resztę rękopisów? - wykrztusił czerwony Żurko.

- Rękopisów? Och, nie! Zbyt wysoko oceniasz moje możliwości, przyjacielu - rzekł skromnie Trepka. - Znalazłem dolary.

- Dolary! - Żurko wytrzeszczył oczy.

- Widzę, że jesteście zdziwieni - westchnął Trepka - to dlatego, że zbyt mało wyobraźni zaangażowaliście w tę sprawę. Zbyt mało wyobraźni, przyjacielu Żurko. Przypisujecie przedmiotom tylko ten użytek, na jaki zostały stworzone. Lecz czasami przedmioty nabierają nowych wartości, funkcji i znaczeń i mogą służyć do celów, o jakich ich twórca nie snił nawet. Czy nie przyszło ci na myśl, że szanowne dzieło profesora Mistrala mogło ulec transformacjom, przeróbkom i przekształceniom, czyli metamorfozom, i na przykład zamienić się w dolary?

Żurko miał niezbyt mądrą minę i mrugał zabawnie oczami.

- Tak jest, w dolary - westchnął Trepka - jest to bardzo żałosna metamorfoza, ale prawdziwa.

To mówiąc wyciągnął z kieszeni żółty krążek. Żurko wyrwał mu go z ręki i obejrzał ciekawie. Krążek był zrobiony z żółtego plastyku. Po obu stronach nosił niezgrabnie wykonany, jakby dziecięcą ręką, napis: 5 dolarów.

- Sądzicie, że to jest z okładek rękopisu? - wykrztusił Żurko.

- Nie inaczej, przyjacielu.

- Gdzie to znaleźliście?

- Och, to szczęśliwy kraj - zasinał się Trepka - dolary leżą tutaj na ścieżkach.

- A zatem rzecz dostała się w ręce dzieci! - wykrzyknął Żurko.

- Niestety, na to wygląda.

Żurko wydał chrapliwy okrzyk, po czym pognął kłusem, jak podcięty koń, w głąb ogrodu. Tak zaczął się najbardziej groteskowy akt naszego śledztwa.

Po dłuższym błądzeniu po na pół zarośniętych ścieżkach zauważyliśmy na drzewie narysowaną kredą strzałkę. Z braku lepszych wskazówek ruszyliśmy w tym kierunku. Droga wiodła przez gęste zarośla i Żurko był wściekły.

- Tego jeszcze brakowało, żebym się bawił z dziećmi - mrucał schylając się pod gałęziami.

Szczęściem kierunek był dobry, bo po dwu minutach przedzierania się przez gąszcza wyszliśmy na polanę, gdzie znajdowało się wygasłe ognisko. Dookoła widać było liczne ślady stóp, pestki dyni i ogryzki oraz dwa rozprute worki. Żurko przystanął zasapany i klnąc pod nosem zaczął wyjmować sobie z włosów igliwie, zeschnięte liście, mech i pajęczyny.

- Psiakrew, zniszczyłem mundur! - pokazał mi plamy od żywicy.

Zacząłem się rozglądać, dokąd dalej prowadzą ślady, i po kilku minutach przeszukiwania okolicznych krzaków natrafiłem na podejrzaną ścieżkę. Prowadziła w zupełną gęstwinę, ale widniały na niej świeże ślady stóp.

- Idziemy dalej? - zapytałem.

Żurko spojrzał z wahaniem w gęstwinę.

- Zaraz - powiedział.

Schylił się po worki. Mnie podał jeden, sam założył drugi. Worek miał rozcięty jeden bok. Gdy go się rogiem założyło na głowę, mógł od biedy służyć za pelerynę. Przypomniało mi się, że w ten sposób na wsiach pastuchy chronią się od deszczu.

- Niezły pomysł, Żurko - pochwaliłem go.

Żurko zaklął pod nosem i otulił się workiem. Podobni do średniowiecznych pątników, zapuściliśmy się w krzaki pochylając nisko głowy. Żurko z wściekłością łamał wystające gałęzie. Głuchy trzask płoszył stada kawek nad naszymi głowami.

- Ciszej! - syknąłem. - Przedzieras się jak odnieniec. Jeśli tam są jacyś smarkacze, przelęką się i uciekną.

Niestety mój kolega Żurko, podrapany i zły, nie zwracał zupełnie uwagi na elementarne zasady życia puszczańskiego i naraził nas w rezultacie na przykre konsekwencje.

Po kilku minutach uciążliwej drogi usłyszeliśmy dziwne rechotanie.

- Tu gdzieś muszą być żaby - powiedział Żurko. Rechotanie powtórzyło się z prawej strony.

- Pełno tu żab - mówił Żurko ze wstrętem - znaczy się, że teren jest podmokły i możemy ugrząść w jakichś moczarach. Uważaj na nogi.

Lecz gdy patrzyliśmy na nogi, nagle poczuliśmy, że coś ostrego spadło nam na gardła i dławi. Byłbyż to sznur? W tej samej chwili ciężka zasłona opatulila nam głowy. Zacząłem się krztusić. W ustach miałem pełno włosów od wełny. Nie ulegało wątpliwości, że okręcono mnie kocem. Nim jednak zdałem sobie z tego dokładnie sprawę, podcięto mi nogi i runąłem jak długi. Czuję, że czyjeś sprawne ręce omotują mnie sznurem dookoła jak baleron. Potem usłyszałem jakieś zdławione głosy. Oprawcy widocznie kłócili się ze sobą. Wreszcie dźwignięto mnie z ziemi i zaczęto nieść w nieznanym kierunku. Na próżno szarpałem się rozpaczliwie. Po kilku nieudanych próbach, zlany potem i na pół uduszony, dałem spokój.

Nie wiem, jak długo mnie niesiono. Każda chwila była dla mnie męczarnią. W końcu rzucono mnie na coś twardego. Przez dłuższy czas słyszałem jeszcze nad sobą rozmowę, potem wszystko ucichło.

Dobytując resztki sił zacząłem się miotać rozpaczliwie to w jedną stronę, to w drugą, wreszcie udało mi się przycisnąć butem kawałek koca, a potem kurcząc i wyprężając dało wyciągnąć się z powłoki. Spocony i zadyszany, stanąłem chwiejnie na nogi.

Znajdowałem się w altanie. Obok mnie na podłodze leżał długi, ciemny toból, który się spręzał i rozpręzał jak jakiś konający makabryczny owad. Ze środka dochodziło rozpaczliwe buczenie. Zorientowałem się, że to mój przyjaciel Żurko.

Pośpieszyłem mu z pomocą. Wkrótce Żurko łapiąc z trudem powietrze siedział na podłodze i kłął straszliwie.

- Bezczelne szczeniaki! Hultaje! Dranie!

Nagle przestał wymyślać i zapytał mnie cicho:

- Jak myślisz, czy ktoś nas widział?

- Wydaje mi się, że na szczęście nikt - odparłem.

- Chwała Bogu, Pawełku - jęknął Żurko - czy wyobrazasz sobie, jak to by obniżyło nasz prestiż?

- Mogę sobie wyobrazić.

- Musiałbym się podać do dymisji. Mam nadzieję, że nie powiesz nikomu o tej hańbie i zachowasz to przy sobie.

- Swoją drogą, mógłbyś być ostrożniejszy przy poruszaniu się w terenie opanowanym przez Indian - mruknąłem.

Żurko zgrzytnął zębami.

- Przekłete bachory! Ja im pokażę. To jest ordynarny napad. Ja z tego zrobię sprawę! Umieszczę ich w poprawczaku!

- Nigdzie ich nie umieścisz. Nie sądzę, żebyś chciał gadać o tym, co nam się przytrafiło. To było karygodne niedołęstwo.

Żurko zaklął pod nosem.

- Ale skórę im zerżnę!

Wstał i slaniając się na nogach zaczął podciągać spodnie i porządkować mundur. Nagle wzrok jego padł na niebieską kopertę leżącą na progu altany.

Porwał ją i obejrzał. Na kopercie był napis: „Do Lisiej Twarzy i Jadowitego Okularnika”.

Żurko zasapał wściekły i rozdarł kopertę. W środku znajdowała się kartka papieru zapisana alfabetem Morsego. Żurko, dławiąc się ze złości, odcyfrował na głos: *Przepraszamy za pomyłkę. Zmyliły nas worki. Wzięliśmy was za tych psów Komanczów. Puścilibyśmy was od razu, ale mieliśmy pietra, że będziecie się złościć. Prosimy nie wchodzić do rezerwatu bez porozumienia się z Indianami. Jeśli chcecie wypalić z nami fajkę pokoju, zapraszamy was o siódmej na polanę.*

Milczący Bili wódz Mohikanów.

Żurko zmiął list.

- Ależ oni sobie kpią z nas w żywe oczy! - krzyknął. - No, ja im pokażę!

- Co chcesz zrobić? - zapytałem przestraszony wyrazem jego twarzy.

- Dobiorę im się do sadła - powiedział - popamiętają mnie na całe życie.

Na próżno starałem się go przekonać, żeby machnął ręką na całą historię i raczej spróbował nawiązać z Indianami przyjacielskie stosunki.

Żurko był nieugięty.

- Ja ich nauczę rezonu - powtarzał.

Nie chciał słyszeć o wypaleniu fajki pokoju i naraził nas niepotrzebnie na wojnę z plemionami indiańskimi zamieszkującymi „Przystań”.

Udaliśmy się natychmiast w pościg. Idąc dalej tą samą ścieżką, na której spotkała nas niefortunna przygoda, znaleźliśmy opustoszałe obozowisko. Żurko powywracał bezlitośnie posłania z liści i słomy i znalazł wreszcie kawałek kartonu z powycinanymi krążkami. Nie ulegało wątpliwości, że mamy do czynienia z okładką rękopisu.

Nigdzie natomiast nie było śladu Indian. Straciliśmy masę czasu na beznadziejne poszukiwania. Wreszcie Żurko doszedł do wniosku, że chłopcy musieli opuścić „Przystań”, i udał się na portiernię.

- Kazałem wam nie wypuszczać nikogo - rzekł groźnie do Kajtusa, który stał na posterunku przy bramie.

- Tak jest, obywatelu poruczniku - wyprężył się Kajtus.

- A jednak chłopcy uciekli.

- Niemożliwe - zbaraniał Kajtus - cały czas przecież patrzę. Tędy nikt nie wychodził.

Żurce opadły ręce.

- Mają tu jakieś schowki - mruknął.

Chciał natychmiast zarządzić „przeczesań” ogrodu przy pomocy plutonu milicji. Ledwie go od tego powstrzymałem.

- Uważaj, zaczynasz się błądzić, i to w takiej głupiej sprawie - syknąłem. - Wściekłość jest złym doradcą.

O godzinie siódmej zjawiliśmy się na umówionym miejscu na polanie. Oczekiwał nas tam już Tomek Macioszek i dwu chłopaków od Nowakowskich.

Żurko wsiadł na nich z miejsca, co miało taki skutek, że przerażeni Indianie dali natychmiast nura w zarośla. Żurko klnąc rzucił się za nimi. Przyglądałem się temu wszystkiemu z dezaprobatą. Po kilku minutach Żurko wylazł wściekły z gąszczów.

- Na co czekasz? Szukaj! - fuknął na mnie.

Bez przekonania zacząłem przetrząsać zarośla wzdłuż i wszerz, ale znalazłem tylko pod murem rozlatującą się beczkę. Żurko wsadził do niej głowę, jakby myśląc, że tam się schowali Indianie, lecz w beczce znajdowały się tylko suche zeszłoroczne liście. Żurko gmerał w nich rękami aż do dna.

- Błażniesz się - powiedziałem.

Wieczorem po kolacji przyszła do nas zapłakana Macioszkowa z Nowakowską. Okazała się, że Tomek Macioszek i dwaj mali Nowakowscy nie wrócili dotychczas do domu. Żurko wysłuchał zmieszany płaczliwych relacji kobiet.

- Bardzo paniom współczuję - powiedział - ale chłopcy zamieszali się w brzydką sprawę.

Kobiety spojrzały na nas wystraszone.

- W ich rękach są rękopisy skradzione panu profesorowi Mistralowi - objaśnił Żurko. - Czy panie wiedzą coś o tym? Znaleźliśmy u nich okładki. Samych rękopisów nie udało nam się odszukać.

Macioszkowa i Nowakowska patrzyły po sobie.

- Nic o tym nie wiem, proszę pana.

- Może inne dzieci będą coś wiedzieć - podsunął Żurko.

- Może, proszę pana.

- Proszę je wszystkie tu przyprowadzić.

Macioszkowa zaciskała nerwowo rękę na fartuchu.

- To, proszę pana, o te papiery profesora zabili? - zapytała przestraszona.

- Tak. Dlatego to jest takie ważne. Morderca je gdzieś schował. Musimy się dowiedzieć, skąd się wzięły u dzieci. Jeśliby panie znalazły te papiery, proszę natychmiast zameldować.

- Rozumiem, proszę pana - wykrztusiła Macioszkowa.

Po kilku minutach przyprowadziła dzieci. Przesłuchania malców i dziewczynek nie dały jednak rezultatów. Wszystkie dzieci wiedziały, że z okładki Tomek porobił „pieniądzę”.

Żadne jednak nie widziało kartek rękopisu.

.- A skąd Tomek przyniósł te okładki?

- Nie chciał powiedzieć - odrzekła najstarsza z dzieci, Teresa. - Mówił tylko, że znalazł.

- Nie można było tego wszystkiego gorzej załatwić - powiedziałem do Żurki, gdy zostaliśmy sami. - Gdyby nie twoje metody, moglibyśmy już dawno dowiedzieć się od chłopców, skąd wzięli okładki.

Żurko milczał ponuro. Dopiero gdy położyliśmy się do łóżek, powiedział:

- Sprawa nabiera nowych aspektów.

Nie chciał mi jednak wyjawić, co przez to rozumie. Wspomniął tylko o przestępczości szerzącej się wśród nieletnich i cytował wypadki morderstw dokonywanych przez dzieci.

Rozdział XXII

Ranek zastał nas w podłych humorach. Nasze zdenerwowanie pogłębiał fakt, że trójka chłopców dotąd się nie odnalazła. W domu Macioszków i Nowakowskich zapanowała rozpacz. Żurko zgłosił wypadek do Komendy Miasta i do Komendy Głównej z prośbą, by zarządono energiczne poszukiwania.

Niezależnie od tego już od piątej czterech funkcjonariuszy szperało po „Przystani”, by wpaść na trop rękopisów. O szóstej zadyszany kapral Ziętek przyniósł nam resztę drugiej plastikowej okładki. Rzut oka wystarczył, by stwierdzić, że wycięto z niej wkładki do butów.

- Gdzie to znaleźliście, kapralu? - zapytał zadowolony Żurko.

- W budzie tej bestii, wściekłej suki. Obywateli porucznik poświadczy, że poniosłem straty własne na spodniach. - Zmartwiony kapral pokazywał dziury od kłów w materiale.

- Idziemy do Macioszka - zdecydował Żurko.

Macioszka zauważyliśmy z daleka. Biegał niespokojnie koło domu, jakby czegoś wypatrywał na ziemi. Zobaczywszy nas zniknął spłoszony za drzwiami. Po chwili jego łysa główka wychyliła się znowu ostrożnie.

- Cofnijmy się - szepnąłem do Żurki - i obserwujmy go z daleka. Tego starego coś nosi. To widać.

Żurko nie miał jednak ochoty na żadne posunięcia taktyczne.

- Nie będę się dłużej bawił w ciuciubabkę z tymi ludźmi - syknął przez zęby.

Zdaje się, że zrezygnował już z wszelkich subtelniejszych metod i górę w nim wzięła druga, brutalna strona jego natury.

Tymczasem Macioszek widząc, że się zbliżamy, podszedł do inspektów i udawał, że czyści szyby. Żurko ruszył do niego z takim temperamentem, że po drodze zaplątał się w gumowego węża i przewrócił konew. Kopnął ją wściekły i krzyknął do Macioszka podtykając mu pod nos szczątek plastikowej okładki:

- Skąd to wzięliście?

Macioszek drgnął.

- O co panu porucznikowi chodzi?

- Wycięliście sobie z tego wkładki do butów.

- A niechże Bóg broni! - zbladł Macioszek rozglądając się niespokojnie dookoła.

Na ścieżce usłyszeliśmy chrzęst kroków. Zbliżała się wystraszona Macioszkowa.

- Popatrz, Mamusia - poskarżył się Macioszek żonie - pan porucznik mówi, że ja sobie z tego wkładki wyciąłem.

- O Jezusie, a cóż to nowego pan wymyślił! - oburzyła się płacząco Macioszkowa. - Lepiej by pan tych biednych dzieci poszukał, co je pan wystraszył.

Żurko westchnął usiłując pokryć zmieszanie.

- Dzieci się znajdują. A pan mi pokaże buty, Macioszek.

- Jak to... Niby że jak? - Macioszek udawał, że nie rozumie.

- Ściągaj pan buty! - krzyknął Żurko.

Macioszek bronił się rozpaczliwie, co tylko powiększało zdenerwowanie Żurki. Jak się jednak okazało, przyczyną tak zaciętego oporu Macioszka były po prostu brudne skarpetki. Wkładek bowiem w butach nie znaleźliśmy. Ani w tych, ani we wszystkich innych, jakie tylko były w mieszkaniu łącznie z damskimi i dziecinnymi.

Już wychodziliśmy, kiedy zauważyłem porozumiewawcze spojrzenie, jakie Macioszek rzucił żonie. Żurko obrócił się błyskawicznie i chwycił go za pas zaglądając mu w oczy.

- Co to miało znaczyć, panie Macioszek?

- Nic, panie... nic... - bełkotał przerażony Macioszek.

- Przeszukać paleniska i śmieci! - rozkazał Żurko ludziom.

W pięć minut potem zziębły kapral Kajtus zameldował się z na pół stopionymi kawałkami plastiku. Znalazł je w piecu w ciepłarni.

Żurko przechadzał się po izbie krótkim, nerwowym krokiem. Macioszkowie skuleni na brzegu ławy wodzili za mim wystraszonymi oczyma.

- Więc mówi pan, Macioszek, że rzucił je pan w ogień ze strachu.

- Tak, proszę pana - bełkotał Macioszek - jak mi żona powiedziała, że panowie tego szukają, pomyślałem sobie, że mogę mieć przykrość. Zaczęła pytać, dochodzić i jeszcze na koniec posadzą. Po diabła mi! I dobrze przewidział, proszę pana. Dobrze przewidział. Nie sprawdziło się? Ho, ho, jak się tyle przeżyło, proszę pana, to człowiek umie przewidywać! Gdyby nie to, że ta Reza, głupia suka, zabrała do budy obcinek i nie mogłem go znaleźć, to by pan nie wyszedł. Nie wyszedłby pan, proszę pana - powtarzał z przekonaniem Macioszek. - A tę sukę to ja zabiję! O, zatłukę na śmierć ścierwo zdradzieckie - ocierał zaślinione usta.

- Pan myśli, że ja w to uwierzę! - zawołał Żurko. - Podeszedł do Macioszków i dyszał im w twarz: - Gdzie są kartki. Gdzie są rękopisy. Mówcie!

- Nie wiem - wybełkotał Macioszek - przecież mówię, jak było. Tylko okładkę znalazłem. W inspektach znalazłem. Ktoś musiał wrzucić przez okno. Albo dzieci, albo kto.

- Niech pan nie kłamie. To nic nie pomoże. Ja już pana przejrzałem, Macioszek. Tam były kartki.

- Przysięgam, na dzieci, na co pan chce, przysięgam, nie było - jęczał Macioszek.

Żurko machnął ręką.

- Co było napisane na wierzchu okładki? Pamięta pan?

- A nic.

- Nic? Niech pan sobie przypomni. Może jakiś znaczek.

- A tak, znaczek to był.

- Jaki?

- Taki wężyk, panie. U góry rozdwojony, a u dołu zakręcony.

- „Zeta” - szepnąłem.

- Rewizja w mieszkaniu - rzekł spokojnie Żurko. Macioszkowa z krzykiem rzuciła się do drzwi.

W tym momencie na progu stanął profesor Kasica.

- Co się tu dzieje, poruczniku? - zapytał zdenerwowany.

- Rewizję chcą zrobić, panie profesorze - załkała Macioszkowa.

- Rewizję?

- Znaleźli kawałek okładki od tych papierów pana profesora nieboszczyka i gadają, że to mój wziął.

- Ma pan nakaz rewizji? - profesor zmarszczył brwi. Żurko rzucił Kasicy wściekłe spojrzenie.

- To zwykła formalność. Przy takich poszlakach mogę nakaz otrzymać w każdej chwili. Nakaz rewizji i aresztu.

- Kogo pan chce aresztować, poruczniku?

- Obywatela Macioszka.

- Za co, panie! - Macioszek cofnął się błądy. - Żem wkładkę wykroił?

- Za to, panie Macioszek - wycedził Żurko - że działając do spółki z mordercą zakradł się pan krytycznego wieczoru do kuchni i pod pozorem wyniesienia śmieci usunął resztę trucizny oraz ukrył rękopisy profesora Mistrała.

- Ależ, poruczniku - zdziwił się Kasica - czy człowiek, który przechowywałby. tak ważki dowód, jak rękopisy zamordowanego, robiłby z nich wkładki do butów?

- Przestępcy zawsze popełniają jakiś fałszywy krok - odparł Żurko. - Gdyby nie robili fałszywego kroku, nie wpadałoby w nasze ręce. Ciasny praktycyzm zgubił pana, Macioszek. Pani Macioszkowa, niech pani zaopatrzy męża w czystą bieliznę.

Macioszkowa chwilę patrzyła na nas jak obłąkana, a potem rzuciła się z krzykiem do Żurki.

- Panie poruczniku, on niewinny. Niewinny człowiek, panie! Powiem całą prawdę, panie poruczniku. Niech pan tylko puści męża.

- Proszę mówić - rzekł Żurko.

- Powiem prawdę. Znalazłam toto na stole w piekarni. Bo ja co dzień rano chodzę do piekarni kwokę karmić, bo kwokę nasadziłam. We wtorek rano zachodzę, patrzę, a tu leżą jakieś kartki w żółtej okładce. A widziałam, że pan się rozpytywał, czy kto widział u pana profesora nieboszczyka takie kartki. Tom zdrętwiała od razu. Patrzę, a tu jak raz pan idzie aleją. „Jezus Maria - myślę sobie - nic ino do mnie.” Z tego strachu, panie, tom wszystko wrzuciła do pieca i podpaliła. Okładka nie chciała się palić, więc ją wyrzuciłam do ciepłarni.

Potem, jak pan przeszedł, chciałam sprzątać, ale już jej nie było. Myślę sobie, nic ino mój wizał. Mówię do męża: „Wzięłeś?” „Wziąłem” - odpowiada. „Na co ci to?” „Wkładki do butów zrobiłem”. „Ty głupi - mówię - czy ci rozum odjęło, to przecież nieboszczyka Mistrala. Wyrzuć zaraz toto.” Dopiero zląkł się i poszedł wyrzucić. Ale to taka niedojda, do paleniska wrzucił. A przecież mu mówiła, że to się nie pali. Uch! - pogroziła mężowi.

- Pójdzie pani z nami do piekarni! - rozkazał Żurko.

W piekarni znaleźliśmy kupkę popiołu pochodzącego niewątpliwie z papieru dobrego gatunku, kawałka zwęglonych kartek i nie dopalony róg rękopisu.

- Tak, to jest właśnie to - powiedziałem.

- Ciemnota! - ryknął Żurko - po co to pana zrobiła! Trzeba było ze wszystkim przyjść do nas i opowiedzieć szczerze, jak było.

- A bo to by pan uwierzył - otarła Macioszkowa oko.

Od strony bramy smarował do nas plutonowy Drabek z zalakowanym pakietem w ręce. Żurko rozerwał go szybko i przebiegł oczyma pismo.

- No tak. Oczywiście cyjanek.

- W papierowej serwetce?

- Wszędzie. W ścierwach psich, w serwetce, w puderniczce Protoklickiej.

- W puderniczce Protoklickiej! - wykrzyknąłem. - Hipolit, czy my przypadkiem nie zaczynamy nareszcie finiszować. Palce na słoiku z cyjankiem... trucizna w puderniczce... uraza doktor Protoklickiej do Mistrala... może nienawiść - kombinowałem głośno.

- Zemsta odsuniętej kobiety - dopowiedział znużony Żurko.

- Nabijasz się?

- Ależ nie, skąd. W tej sprawie już mnie nic nie zdziwi. Kleć dalej swoje protodramaty, Paweł. To jest nawet bardzo chwytliwa historia. Nie mogę się od niej opędzić od dnia śmierci Michała. Takie wszystko proste! Tandem Jonasz i Protoklicka. Trucizna w proszku nasennym zaaplikowana Mistralowi. Michał domyśla się czegoś. Może przyłapuje współników na jakiejś intymnej rozmowie. Boją się, że ich zdradzi. Podczas obiadu Jonasz odwraca uwagę obecnych naumyślnym stłuczeniem doniczki, a Protoklicka sypie cyjanek z puderniczki do kufla Michała. Kilka drobin spada na papierową serwetkę, a może... może pani doktor strąca je tam świadomie, by zasugerować samobójstwo. Jak widzisz, gładka sprawa. Może nawet ciut ciut za gładka jak na mój gust. Gołąbki po prostu same lecą do gąbki - skrzywił się pogardliwie Żurko - tylko że ja się nie biorę na takie rzeczy. Nie znoszę, widzisz, nachalności. A tu jakaś świnka chce we mnie nachalnie wmówić, że Jonasz i Protoklicka są mordercami. Ale powiedz mi, czy ty, Paweł, odważyłbyś się wsypać trucizny sąsiadowi przy stole?

- Chyba nie.

- No więc widzisz. To byłoby bezmyślne i głupie. A morderca Mistrala nie jest głupcem. O tym wiemy obaj doskonale. Dlatego to mnie męczy, nie cieszy - przytknął palcem protokół.

Zastanawiałem się chwilę.

- A może byśmy spróbowali eliminacji. Jeśli wykluczyłeś Kasicę, jeśli teraz wykluczysz Jonasza i Protoklicką...

- Och, nie rozumiesz mnie - przerwał Żurko. - Ja nie wykluczam nikogo. Tylko że to... nie tak... rozumiesz. „Nie w ten rzucik”, jak mawiał mój znajomy malarz.

Rozdział XXIII

Staliśmy z profesorem na tarasie. Kasica skarżył się Trepce na postępowanie porucznika Żurki z chłopcami i Macioszkiem.

- Tego młodego porucznika chyba jakiś giez ukąsił. To nie są metody - mówił podniesionym głosem - do tego stopnia zastraszyć dzieci, żeby uciekały z domu. Grozić

staremu człowiekowi bezprawną rewizją i aresztowaniem. Te metody mają bardzo złą tradycję, kapitanie.

- Porucznik Żurko ma tutaj bardzo niewdzięczną pracę - próbował łagodzić Trepka - państwo odmawiacie nam swojej pomocy... i nie jesteście z nami szczerzy. Państwo nie macie do nas zaufania.

- Milicjant powinien panować nad swoimi nerwami, inaczej nie nadaje się do pracy w milicji - grzmiał Kamea - a co do zaufania, to wątpię, by metody porucznika Żurki zaskarbiły je milicji. A to znów co takiego? - wykrzyknął.

Schyliłem się i podniosłem z ziemi papierowego gołębia.

- To znów ci smarkacze - powiedziałem - rzucili w nas gołębiem.

Profesor Kasica zbiegł z tarasu. W zaroślach naprzeciwko mignęła czerwona koszulka jakiegoś malca i znikła. Patrzyłem na papierową zabawkę w moim ręku i nagle poczułem, że serce mi podeszło do gardła.

- Kapitanie - szepnąłem - patrzcie! To przecież kartka rękopisu!

Trepka wziął kartkę do ręki i pośpiesznie założył okulary.

Kartka miała format zeszytowy i pokryta była drobnym, okrągłym pismem Mistrała.

- Istotnie - zakaszłał - no, to może uspokoi naszego przyjaciela Żurkę. Pan poznaje tę kartkę? - zapytał wzburzonego Kasicę.

Kasica wytrzeszczył oczy.

- To z pracy o agranulocytocie - rzekł ze zdumieniem.

- Rękopis „Zeta” - dodał Trepka. Zawiadomiłem Żurkę. Wybiegł z domu podniecony.

Z głównej alei zbliżała się do nas Halinka prowadząc za rękę małego chłopczyka. Była w lekkiej sukience, która uwydatniała zadziwiającą gibkość jej ciała. Uśmiechała się do nas z daleka.

- Przyprowadziłam panom małego uciekiniera. Jest bardzo skruszony i chce złożyć szczerze zeznania. No, Jacek, mów!

Jacek przełknął ślinę.

- Ja... ja nie chciałem...

Żurko chrząknął rozbrojony.

- Pani sobie zadała wiele trudu... Dziękuję pani...

- Ależ nie ma za co. Zauważyłam podejrzane ruchy tego młodego obywatela, więc wzięłam go na spytki i przyznał się do wszystkiego. Sądzę, że i to panów zainteresuje - wręczyła Żurce dwie pogniecione kartki papieru i uśmiechnęła się znacząco.

Rzut oka wystarczył, żebyśmy rozpoznali dalsze kartki rękopisu „Zeta”.

- Pani jest doprawdy genialna - spojrzałem na nią zachwycony.

- Aż genialna - potrząsnęła głową i zaśmiała się swobodnie.

Ale czułem, że mój szczerzy podziw nie był jej niemiły. Żurko obrócił się do chłopca. - Więc ty nazywasz się Jacek?

- Tak, proszę pana.

- Doskonale.

Żurko pogrzebał w kieszeni i wyciągnął stamtąd metalową puszkę. Zagrzechotał nią kusząco nad malcem, a potem otworzył wieczko.

- Poczęstuj się.

- Widzę, że od wczoraj znów zmieniłeś front - rzekłem nie bez złośliwości.

Żurko przygryzł wargi.

- No, mały, czemu nie bierzesz?

Jacek patrzył na niego podejrzliwie, z rękami założonymi do tyłu.

- Nie lubisz cukierków? Popatrz, jakie duże.

Jacek krytycznym błyskiem oka ocenił zawartość pudełka.

- Lan-dry-ny to dla dzie-wczy-nek - wycedził pogardliwie - a ja to lu-bię kiszone o-gór-ki.

- Ot, masz mężczyznę - zaśmiałem się. - Więc chcesz ogórka?

- A w skórę chcesz? - zasapał Żurko chowając ze złością pudełko.

Malec spojrział na Żurkę zaskoczony nagłą zmianą propozycji.

- Słuchaj no, chłopcze - ostro natarł zniecierpliwiony Hipolit - skąd wzięłeś te kartki?

Malec milczał z oczyma wbitymi w ziemię.

- No, nie bój się nas, odpowiedz - rzekłem łagodnie.

- Niech mi ten pan z długim nosem najpierw odda gołębie - zamruczał.

- Dostaniesz od nas cały czysty zeszyt i zrobisz sobie inne... popatrz, jakie te brzydkie, pomięte i pobrudzone... gdzie się tak pobrudziły?

Jacek wzruszył spiczastymi ramionkami.

- Gdzie je znalazłeś? Kto ci je dał? - Żurko dopytywał się groźnie - no, odpowiadaj!

Malec zastanawiał się długo.

- Pewnie święty Mikołaj - powiedział w końcu zerkając chytrze na Żurkę.

- Święty Mikołaj! - wykrzyknął Żurko. - Gdzie? Kiedy? Widziałeś go?

- Widziałem raz w nocy, jak wszedł oknem. Był podobny do tatusia i pachniał wódką.

- I wtedy dał ci te kartki?

- Nie, wtedy dał mi w skórę, że nie śpią.

- Więc gadaj wreszcie, kto ci je dał?

- Nie wiem - westchnął Jacek - może Kaptur.

- Jaki Kaptur?

- Czerwony Kapturek.

Żurko zasapał zrozpaczony.

- To dziecko nie jest zupełnie normalne. Zmyśla jak z nut.

- Obawiam się - zakaszłał Trepka - że ten mały człowiek nabija się z nas po prostu, co pani o tym sądzi, panno Stor?

Halinka zaśmiała się.

- Jacek jest nałogowym kłamczuchem, obawiam się, że trudno będzie coś z niego wydobyć. Ci malcy trzymają sztamę. - To mówiąc pochyliła się nad chłopcem: - No, Jacku, pokaż, gdzie znalazłeś te kartki? Obiecałeś mi, że powiesz - całą prawdę.

Jacek pociągnął nosem i zaczął spacerować z rękami w kieszeniach rozglądając się po trawie.

- To chyba tam - powiedział pokazując na krzaki.

Żurko ruszył pośpiesznie za nim, a za Żurką my wszyscy. Po drodze malec jakby zapomniał, o co nam właściwie idzie, bo z coraz większym zainteresowaniem przyglądał się Trepce, wreszcie przystanął i ni stąd ni zowąd powiedział:

- Ty masz śmieszna głowę. Pewnie nosiłeś za ciasny kapelusz.

- Uspokój się - chrząknął urażony Trepka - jak się nie uspokoisz, to ten pan cię weźmie - pokazał na mnie.

Trepka widać uważał, że jestem tak brzydki, iż można mną straszyć dzieci. Nie wiem, czy to jest słuszne, w każdym razie wtedy poskutkowało. Dziecko spojrzęło na mnie i momentalnie umilkło.

Weszliśmy w krzaki.

- Dokąd ty nas prowadzisz? - rzekł podejrzliwie Żurko.

- Pokażę wam wigwam.

- Wigwam. Nie zawracaj nam głowy z wigwamem. Mów, gdzie znalazłeś kartki?

- Kartki... e... to... to ja zapomniałem.

Gdyby nie obecność panny Stor, Żurko z pewnością przetrzepałby mu skórę.

- Jacek, nie spodziewałam się tego po tobie - rzekła z wyrzutem Halinka - obiecałeś mi.

Jacek obejrzał się niespokojnie. Dopiero teraz zauważyłem, że z zarośli śledzą nas czyjeś oczy.

- Tam pełno szkrabów w zaroślach - mruknąłem - chłopak się pewnie boi.

- Na pewno dostał te kartki od Andrzeja - powiedziała Halinka - od Andrzeja Nowakowskiego. Prawda, Jacek?

Jacek podniósł czujnie oczy i zaraz je spuścił na ziemię. Milczał.

- Najlepiej niech panowie od razu idą do Andrzeja, to ich prowodyr.

Jacek rzucił się do Halinki z pięściami.

- Nie! Nie... o, ty paplo, pleciugo! - grzmocił ją piąstkami po rękach. Miał łzy w oczach.

Żurko próbował go odciągnąć, ale Jacek kopnął go w kolano i dał susa w zarośla.

- Wstrętny bachor! - jęknął porucznik rozcierając sobie nogę.

Halinka uśmiechnęła się przez łzy.

- I współpracuj tu z milicją! - próbowała zażartować.

Andrzeja Nowakowskiego znaleźliśmy na pustym placu za domem Nowakowskich. Grał w piłkę z trzema kolegami. Przy bramce zaznaczonej kijami, na których wisiały kurtki, leżało kilka gołębi z żółtego papieru. Żurko podniósł je i pokiwał znacząco głową.

Chłopcy przerwali grę. Jeden z nich, dwunastoletni może, niesamowicie chudy i z czupryną na jeża, zbliżył się do nas niespokojnie, ale odważnie.

- Czego panowie chcą? - zapytał.

- Skąd to masz? - Żurko pokazał mu gołębie.

- A bo co?

- Zginęły potrzebne nam kartki. Te gołębie są właśnie z tych kartek.

- Czy ja wiedziałem, że potrzebne? Myślałem, że wyrzucone. Może pan sobie je zabrać.

Podaj piłkę, Janek!

Chciał nas zostawić i wrócić do gry.

- Poczekaj, bratku - Żurko przytrzymał go za ramię - nie odpowiedziałeś jeszcze na moje pytanie. Skąd to masz?

- A tam leżało... pod tamtym krzakiem - rzekł pokazując brodą.

- Łżesz! - syknął Żurko.

- Pewnie, że łżę - szepnął chłopak - przy nich nie będę panu mówił, niech pan czeka w okopie. Za pół godziny przyjdę, to pomówimy.

- Teraz powiesz, bratku - szarpnął go Żurko.

- Myśli pan? - chłopcu zwężyły się oczy.

- Zostaw go, Żurko - powiedział Trepka. - Zgoda, chłopcze, poczekamy.

Andrzej błysnął zębami i kopnął piłkę.

Sapiąc z wściekłości Żurko siedział w zawalonym rowie.

- Pertraktować ze szczeniakami! Też pomysł. On nas wykantuje ten łajdak. Widzieliście jego oczy. To oczy drania.

- Przyjacielu, idziemy najprostszą drogą do celu.

- Najprostszą - Żurko zaśmiał się - pół godziny w tej dziurze dlatego, że tak się spodobało temu młodemu opryszkowi.

Usłyszeliśmy kroki dudniące o ubitą ziemię. Żurko wysadził głowę i wyskoczył z rowu. Wygramoliliśmy się za mim.

- Panowie są z milicji, nie? - Andrzej patrzył na nas bokiem. - Ja to sobie zaraz pomyślałem.

- Do rzeczy - warknął Żurko. - Gadaj szybko. Gdzie znalazłeś rękopis? I nie próbuj mnie kiwać.

- Powiem, ale jak pan da gwarancję.

- Co?!!!
- Gwarancję, że nic pan nie zrobi Tomkowi i moim braciom.
- A co ja im mogę zrobić?
- Pan ich może wsadzić do mamra.
- Czy ja wyglądam tak strasznie? - zapytał nieprzyjemnie zaskoczony Żurko.
- O, tak! - rzekł z przekonaniem chłopak.
- Jesteś bałwan! - krzyknął Żurko. - Nigdy nie podniosłem ręki na żadnego smarkacza.
Im też nie mam zamiaru nic zrobić.

- Słowo?
- Słowo.
- No... uwierzę panu - rzekł z wahaniem. Andrzej przyglądając się uważnie Żurce. -
Papiery dostałem od Tomka.
- Ach tak - skrzywił się Żurko - tanio się wykpiłeś.
- Pan może go zapytać.
- Zapytać? Nie udawaj greka. Przecież wiesz, że nawiali.
- Mogą się znaleźć, i to szybko.
- Wiesz, gdzie oni są?
- Jasne.
- Gdzie?
- Są w starej cegielni, w Ryżych Dołach. Szukalibyście ich do lata.

Wywabienie Tomka i jego kolegów z kryjówki nie przedstawiało większych trudności. Chłopcy mieli bezwzględne zaufanie do Andrzeja.

Pół godziny później mieliśmy Tomka przed sobą w altanie w „Przystani”. Śmiałem się w duchu widząc, co wyrabia ze swoją twarzą Żurko. Fuszer usiłował za wszelką cenę przybrać przyjemną minę, choć skręcało go ze złości. Zagalopował się nawet do tego stopnia, że chciał chłopaka częstować papierosem, ale wzbudził tylko tym jego podejrzliwość. Czułem, że Tomek ma się na baczności.

- No więc, kolego, zapominamy o przeszłości i zostajemy przyjaciółmi. Co ty na to?
- Fajowo, panie poruczniku - powiedział Tomek, ale uciekał z oczami.
- Co byś powiedział, gdybym cię zaangażował do milicji? - Żurko bawił się swoim długim nosem.
- Co pan do mnie jak do dziecka - rozzłościł się Tomek - przecież ja wiem, że do milicji przyjmują tylko dorosłych.

Żurko przygryzł wargi.
- Dobrze, mówmy więc jak mężczyźni. Gdzie znalazłeś te papiery, z których robiliście gołębie?

- Mógł pan od razu zapytać. Były schowane w domu dla ptaszków przy Wiązowej Alejce.

- W karmniku? - wykrzyknął Żurko.
- Tak.
- Co ci do głowy strzeliło, żeby zaglądać do karmnika?
- Bo to jest domek dla szpaka, proszę pana. On co rok przylatuje tu w marcu. Ale w tym roku coś nam nawalił, proszę pana. Już jest kwiecień, a jego jeszcze nie ma. Więc od marca tośmy tam zaglądali co dzień, czy już przyleciał. Ale jego nie było. Dopiero we wtorek przylatuje do mnie Teresa i krzyczy: „Jest, jest!” Pobiegłem sam i zajrzałem. Szpaka wcale nie było, tylko te papiery. Jak tylko przystawiłem drabinkę, od razu zobaczyłem coś białego. Byłem strasznie zły. Bo jak miał szpak przylecieć, kiedy cała skrzynka zapchana. Może już nawet przyleciał, ale widzi, że miejsca nie ma, to poleciał dalej, nie?

- Dobra, dobra - przerwał mu Żurko - czy tam była także okładka?

- Tak proszę pana. Zrobiliśmy z niej walutę.
- A z kartek gołębie, tak?
- Gołębie i strzały, proszę pana. Ale tam jeszcze dużo tego zostało.

Udaliśmy się spieszenie do Wiązowej Alejki. Rzeczywiście w karmniku znalazła się reszta rękopisu.

- Mogę już odejść? - zapytał Tomek.

- Zmiataj!

Tomek wydał wojenny okrzyk Komanczów i znikł za zakrętem.

- Bardzo przyjemna ta bajeczka o domku dla szpaków - mruknął Żurko - ale nie myśl, bracie Indianinie, żeś wykiwał białego brata. Jestem bardzo ciekaw, co na to wszystko powie Teresa.

Teresę znaleźliśmy przy cieplarni. Grała z koleżankami w klasy. Odwołaliśmy ją na bok. Nie wyglądała na przestraszoną i chętnie zgodziła się na landryny, które podsunął jej Żurko.

- Słuchaj, dziewczynko, czy to ty powiedziałaś Tomkowi, że szpak przyleciał?

- Ja, proszę pana - Teresa majdając nogami chrupała beztrosko cukierki.

- Dlaczego go okłamałaś? Przecież szpaka wcale nie ma.

- Ja go nie okłamałam, proszę pana, bo ja naprawdę myślałam, że przyleciał.

- Cóż ci wpadło do głowy?

- Nic, proszę pana, to tylko pan doktor Jonasz tak mnie oszukał.

- Pan doktor Jonasz! -- Żurko usiłował ukryć podniecenie - cóż on ci takiego powiedział.

- Mnie nic... ja... ja tylko myślałam, że on karmi szpaki.

- Czekaj no, to bardzo ciekawe, dostaniesz całe pudło landryn, ale opowiedz nam po kolei. Więc jak to było?

- To było tak, proszę pana. Chłopcy zrobili śmigus-dyngus...

- Jak to, we wtorek?

- Tak, proszę pana. Oni jak zaczną, to leją przez cały tydzień, a we wtorek to jeszcze lepiej niż w poniedziałek. A w tym roku to Tomek dostał pistolet na wodę od pana doktora Zapłona i powariowali z tym laniem. Nie mogłam wcale wyjść z domu, a jak w końcu wyszłam, to mnie gonili po całym ogrodzie. Więc po obiedzie tośmy przyszły tu z dziewczynkami i rozbiłyśmy sobie obóz. Wzięłyśmy lalki i bawiłyśmy się, żeśmy uciekły z naszymi dziećmi do puszczy w obawie przed dzikimi ludźmi, proszę pana. A żeby było bezpiecznie, tośmy na zmianę trzymały straż przy ścieżce. I jak ja byłam na warcie, to właśnie zobaczyłam pana doktora Jonasza, jak dawał jeść szpakom.

- To znaczy, udawał, że daje jeść.

- Tak, udawał, że daje jeść szpakom, ale ja wtedy myślałam, że naprawdę je karmi, bo dobrze nie widziałam. Zresztą pan doktor tak się wyraził do pani doktorki.

- Do pani Protoklickiej?

- Tak.

- Kiedy?

- No, wtedy pod domkiem dla szpaków.

- To oni przyszli razem?

- Nie, ja to panu wytłumaczę. Jak pan doktor Jonasz wytarł ręce i chciał odejść, to z tamtej strony alejki nadeszła pani doktorka i powiedziała: „O, co za spotkanie - Teresa z talentem naśladowała Protoklicką - cóż tu robisz, tajemnicza rżeso?”

- Jak? - zdumiał się Żurko. - Tajemnicza rżeso?

- Tajemnicza rżeso. Na pewno tak powiedziała. Dobrze zapamiętałam, bo to takie dziwne.

- Może „tajemniczy Jamesie”? - wtrącił Trepka.
- Tajemniczy drzęsie, nie, przecież to nic nie znaczy - zaśmiała się Teresa - ona wyraźnie powiedziała, „tajemnicza rzęso”.
- No dobrze, już dobrze - zdenerwował się Żurko - i co dalej?
- Więc powiedziała: „Cóż tu robisz, tajemnicza rzęso, wybierasz ptaszkom jajeczka z gniazd? A nieładnie! O, brzydki chłopiec!” i pogroziła mu palcem. A pan doktor Jonasz powiedział: „Ja tylko karmiłem szpaka”. Oboje się roześmieli i poszli alejką. Trzymali się za ręce.
- Spojrzelismy po sobie zelektryzowani. - Dziękuję ci, dziewczynko - rzekł pośpiesznie Żurko - masz tu resztę landryni i zmykaj!
- Gdy Teresa odbiegła, zatarł ręce.
- No, proszę was, to jest nareszcie coś. A myślałem, że ugrzęźliśmy na dobre.
- Coś?! - wykrzyknąłem. - Ależ to są rewelacje!

Rozdział XXIV

Jonasz był zupełnie załamany. Gdy tylko weszliśmy do jego pokoju, zrozumiał wszystko. Nie mógł wykrztusić słowa, opadł na fotel i drżącą ręką sięgnął po karafkę.

- Stop! - Żurko powstrzymał go żelazną dłonią - od tej pory będzie pan, pił i jadł tylko to, co panu damy.

- Jak to... panowie? - Jonasz rozglądał się z przerażeniem, a na jego czole pojawiły się od razu drobne kropelki potu.

- Poznaje pan. to? - Żurko pokazał mu rękopis „Zeta”.

- Zdaje się, że to pismo profesora - wykrztusił Jonasz.

- Zdaje się, że gdy pan chował je w karmniku szpaków, był pan o tym przekonany.

- Ach! - Jonasz ukrył czoło w dłoniach.

- Pan milczy? Najwyższy czas, żeby pan zaczął mówić - rzekł Żurko.

- Panowie, ja nie zabiłem - wyszeptał błagalnie Jonasz - panowie...

- Gołosłownym zaprzeczeniem nie zajędzie pan daleko. Czekaemy na zeznania. Kiedy pan zabrał z pokoju profesora Mistrala ten rękopis?

- Ja nie zabrałem - wykrztusił Jonasz - podrzuciono mi.

- Podrzuciono... - westchnął Żurko - cóż pan jeszcze wymyśli?

- Przysięgam... znalazłem to... w... w walizce. We wtorek...

- W walizce, no proszę - zakpił Żurko.

- Pan mi nie wierzy - Jonasz wycierał czoło chusteczką - ale tak było. Wróciłem z obiadu. Chciałem się przebrać. Otworzyłem walizkę i na samym wierzchu zobaczyłem żółte okładki „Delta”.

- Chyba „Zeta” - zauważyłem.

- Nie, „Delta” - pokręcił głową zrozpaczony Jonasz.

- Coraz lepiej, doktorze - kpił Żurko - ładnie pan to wszystko pokiełbasił. Bo my jednak znaleźliśmy w skrzynce na drzewie rękopis „Zeta”, ten o agranulocytocie.

- Niech będzie „Zeta” - jęknął Jonasz. - to i tak mnie nie zbawi.

- Ja myślę - wycedził Żurko. - Stracił pan u mnie kredyt, doktorze. We wtorek pytałem pana o rękopisy profesora. Zataił pan, że ma rękopis w walizce.

- Ja wtedy... nie wiedziałem. Spostrzegłem dopiero potem...

- Ach tak, nie wiedział pan. - Żurko wstał. - Ja już nie mam pytań, koledzy. Ta sprawa jest dla mnie jasna.

- Panowie! - zerwał się Jonasz.

- Spokojnie, doktoru. Już pana o nic nie będę pytał. Teraz na pana kolej. Pan wie, czego ja od pana oczekuję. Interesuje mnie tylko pańskie jedno słówko.

Jonasz opadł na krzesło.

W drzwiach na taras spotkaliśmy doktor Protoklicką. Odniosłem wrażenie, że na nas czekała. Z jej twarzy zniknął drwiący wyraz, uśmiechała się do nas uprzejmie.

- Chciałam pomówić z panami o jednej sprawie.

- Spodziewałem się tego - mruknął Żurko. - Szkoda, że dopiero teraz. Przecież doktor Jonasz karmił szpaka już we wtorek.

Doktor Protoklicka zaróżowiła się.

- Pan jest doskonale poinformowany, poruczniku. Jednak pan się nieco omylił, ja nie o tej sprawie chciałam z panem pomówić. Chciałam panu powiedzieć coś, czego pan jeszcze nie wie.

- O... to ciekawe! - powiedział Żurko. - Przejdźmy wobec tego do pokoju profesora.

Gdy Żurko zamknął za nami drzwi, lekarka odwróciła się gwałtownie. Miała łzy w oczach.

- Pan jest przekonany o winie Jonasza, prawda?

- Doktor Jonasz nie jest z nami szczery - powiedział Żurko. - Właściwie powinienem go już dawno aresztować. Zdarzało się, że skazywano przy mniejszych poszlakach.

- Dlaczego więc go pan nie aresztuje? - szepnęła.

- To zbyt ciche - mruknął Żurko - i tak trzymam tutaj państwa jak myszy pod kloszem. - Żurko skromnie oglądał paznokcie. - Zdaje się, że miała mi pani powiedzieć coś ciekawego.

- Tak. Jonasz jest niewinny. On nie wziął tych papierów. Zostały mu podrzucone.

Żurko westchnął.

- Nie mówi pani nic oryginalnego.

- Podłożono mu te papiery i ja wiem, kto podłożył.

- Czyżby?

- Widziałam na własne oczy. We wtorek przed obiadem byłam w pokoju Jonasza... chciałam mu zwrócić książkę... W pokoju nie zastałam nikogo... chciałam wyjść, nagle usłyszałam, że ktoś ostrożnie otwiera drzwi. Czuję, że to nie Jonasz. Było mi trochę nieswojo, że ktoś obcy zastanie minie tutaj... a zarazem... byłam ciekawa, kto może zaglądać do pokoju. Skryłam się za zasłoną przy oknie. I wtedy zobaczyłam Zapłona. Zbliżył się na palcach do walizki na krześle i wsunął do niej coś podobnego do książki lub zeszytu. Potem rozglądając się na strony znikł za drzwiami.

- Bardzo ładna bajeczka - uśmiechnął się Żurko nie podnosząc głowy.

- Bajeczka? Jak pan może! - Protoklicka zerwała się z miejsca.

- Bardzo kiepsko obmyślona bajeczka - powtórzył ze smutkiem Żurko - w tym domu wszyscy nagle odkryli w sobie talenty Ezopa. To bardzo smutne zjawisko taka powszechna ucieczka w krainę baśni. Żałuję doprawdy, że nie mam pięciu lat. Ach, człowiek ma zawsze pecha! Gdy miałem pięć lat, nikt nie chciał mi opowiadać bajek. Teraz, gdy mam trzydzieści pięć, wszyscy zasypują mnie nimi. Ale nic z tego. Od dawna, szanowna pani doktor, interesują mnie tylko fakty, tytko realne fakty, i pochlebiam sobie, że umiem je oddzielić od tworów fantazji.

Doktor Protoklicka przygryzła wargi i rzuciwszy Żurce wściekle spojrzenie wyszła z pokoju.

Żurko wyciągnął długie nogi i zaśmiał się.

- Do licha, nie wiedziałem, że ta babka tak szaleje za tym lawendowym bubkiem! A swoją drogą, nie posądzałem jej o tyle poświęcenia.

- Nie wierzysz jej?

- Ani trochę. Gdyby tak było, nie czekałaby z tym do dziś. Typowe kłamstwo zmyślone na poczekaniu, sklecone z reminiscencji powieści kryminalnych. „Skryła się za zasłoną... drzwi otworzyły się powoli... cień zbliżył się na palcach do walizy.” Och, co za banał!

Żurko zamyślił się nagle.

- A swoim porządkiem, warto by przesłuchać tego wesołka Zapłona. Nie szkodzi napędzić mu trochę strachu.

Zapłon leżał na leniwcu założywszy nogi na sąsiednim krześle. Ziewał.

- Pan się nudzi? - zapytał Żurko.

- Do jasnej padaczki - ziewnął Zapłon. - Wściec się można! Kiedyż pan, u diabła, zakończy to dochodzenie, osobo śledcza! Dokąd pan będzie nas tu trzymał!

- Nikt państwa nie trzyma. Zdaje się, że zawarliśmy dobrowolną umowę. Może pan wyjechać choćby zaraz.

- Dziękuję - mruknął Zapłon - wyjadę, a pan mi na kark wsadzi anioła stróża, co? Wyjechać nie ma po co. Ale chętnie, wybrałbym się z panem na ryby.

- Na ryby ze mną? - zdumiał się Żurko.

- O tej porze ryby biorą jak cholera.

- Na pana miejscu nie myślałbym o rybach. Pan nie zdaje sobie sprawy ze swego położenia, doktorze Zapłon - uśmiechnął się Żurko.

- Czyżby pogorszyło się nagle?

- Diabelnie, przed chwilą obciążona pana niesamowicie.

Zapłon gwizdnął.

- Pan mnie zaciekawia, poruczniku.

Żurko zapalił papierosa.

- Nie spodziewałem się po panu, że pan się lubi bawić w świętego Mikołaja.

- W świętego Mikołaja?... A to dobre! Pan mnie coraz bardziej zaciekawia, poruczniku.

- Ale to są skłonności anachroniczne - ciągnął Żurko. - O ile mi wiadomo, święty Mikołaj nie przychodzi na Wielkanoc,

- Doprawdy, odkąd pan zaczął uprawiać igraszki słowne, stał się pan niezmiernie interesujący, poruczniku, Ale może pan zacznie wreszcie mówić jak milicjant.

- Wątpię, czy to będzie przyjemne dla pana - cedził Żurko. - Pan się zaczął źle bawić, doktorze. Rozumiem, że posiadanie rękopisu w obecnej sytuacji było nieco krępujące dla pana, ale podrzucanie go koledze do walizki jest wybitnie w złym stylu. To nie było zagranie fair, doktorze.

- A niech to diabli! - westchnął Zapłon. - Jeden zero dla pana!

Żurko wytrzeszczył oczy.

- Pan nie zaprzecza?

- Nie, bynajmniej - ziewnął znudzony Zapłon - umówiliśmy się przecież, że będziemy się bawić lojalnie. Żeby zabawa bawiła, musimy się trzymać pewnych reguł i lojalność obowiązuje. Powiedziałem już panu, że będzie pan miał we mnie najbardziej lojalnego partnera. Dlatego, poruczniku, mówię: jeden zero dla pana.

- Co to za żarty? - nastroszył się Żurko.

- Żarty? To pan mnie rozśmiesza, poruczniku.

- Więc przyznaje pan, że we wtorek...

- Tak jest, we wtorek... - skinął głową Zapłon.

- Zakradł się pan przed obiadem do pokoju doktora Jonasza.

- Zakradłem się do pokoju Jonasza.

- I schował pan w jego walizce rękopis.

- Schowałem.

- Nie wiem, czy pan sobie zdaje sprawę z konsekwencji tego rodzaju zeznań. Będę zmuszony zaarrestować pana pod zarzutem morderstwa w celu przywłaszczenia sobie pracy naukowej denata.

Zapłon się skrzywił.

- Och, znów pan wlażł w swoją drętwą skorupę blacharza. Niech mi pan wierzy, że pańska szlachetna osoba na tym wiele traci.

- Proszę liczyć się ze słowami - rzekł zimno Żurko - nie przywykłem w tym tonie prowadzić przesłuchań i mogę wyciągnąć z tego bardzo przykre konsekwencje.

- Czyżby pan naprawdę chciał mnie aresztować, groźny funkcjonariuszu?

- Jestem skłonny to zrobić choćby dlatego, by poskromić pana język, doktorze.

- Być może, ma pan rację! Tak będzie rzeczywiście zabawniej.

Zapłon wstał i wyciągnął ręce.

- Jestem do pana dyspozycji. Czy pan ma przy sobie bransoletki?

Żurko zmierzył lekarza spojrzeniem zdolnym zabić konia.

- Pan się za bardzo śpieszy, doktorze Zapłon. Przedtem chciałem panu zadać zasadnicze pytanie. Pan przyznaje się do otrucia profesora Mistrala?

Zapłon podrapał się w głowę.

- Czy nie jest pan przypadkiem zbyt zachłanny. Podałem panu palce, a pan od razu ciągnie całą rękę. Zupełnie jak ten szatan w ludowym przysłowiu. Czy nie wystarczy panu, że przyznałem się do podrzucenia biednemu Jonaszowi kukułczego jaja do walizy?

- Proszę odpowiedzieć na pytanie - zacisnął wargi Żurko - zabił pan profesora czy nie?

- Czekaj pan, muszę się zastanowić. To zbyt poważna sprawa, żeby rozstrzygać ją w jednej chwili... Nie, wie pan, że chyba jednak nie zabiłem tego poczciwego Mistrala.

- Ach tak. Może pan więc powie przynajmniej, jak pan wszedł w posiadanie pracy profesora.

- Okropne sformułowanie - uśmiechnął się Zapłon - i jak mi się zdaje, w tym wypadku niezupełnie ściśle. Nie wszedłem w posiadanie pracy, lecz zostałem nią obdarowany.

- Obdarowany? Przez kogo?

- Przez jakąś życzliwą i bliżej mi nie znaną osobę.

- Zdumiewające! - zaszydził Żurko.

- Istotnie. Sam byłem zdumiony, gdy zastałem rękopis w kieszeni mojego płaszcza kąpielowego w łazience.

- W kieszeni płaszcza?

- Nie inaczej. Mam zwyczaj brać kąpiel około godziny dwunastej i wtedy znalazłem ten prezent w kieszeni.

- Zaskakujące - rzeki zimno Żurko - czemuż pan nie zameldował nam o tym?

- To byłoby zbyt banalne jak na mój gust. Chciałem dać panu szansę wykazania swych nieprzeciętnych zdolności.

- Dziękuję. Dlaczego pan jednak wybrał Jonasza?

- Och, miałem do tego pewne powody. Ten maleńki prezent pachniał mi wyraźnie Jonaszem.

- Pachniał?

- Dosłownie. Mam dość subtelny narząd powonienia i od razu poczułem lawendę. Nadto kartki były potłuszczone tym niesamowitym smarem, którym mój szlachetny kolega pielęgnuje mizerne szczątki swego uwłosienia.

- Brylantyną?

- Tak jest. Jeśli pan ma rękopis, może pan sprawdzić. Tłuste zielone plamy są dosyć wyraźne. Czy wciąż chce pan mnie zaaresztować?

- To zbyteczne - wycedził Żurko - wystarczy, jeśli nie będzie pan opuszczał terenu „Przystani” bez mojego zezwolenia.

Zapłon opadł na leniwiec.

- Jednym słowem skazuje mnie pan na bezterminowe nudy.

Żurko skrzywił się i wyszedł z łazienki.

W hallu było pusto, tylko Trepka drzemał w fotelu. Na nasz widok poruszył się i uśmiechnął.

- Widzę, że wzięliście nowy rozpęd, Żurko - powiedział - jeśli tak dalej pójdzie, nie pozostanie mi nic innego, jak sadzić do końca kapustę.

Żurko chrząknął i spojrzał na Trepkę podejrzliwie. Od jakiegoś czasu nabral wybitnej nieufności do niewinnych odezwań się Treпки.

Rozdział XXV

Następnego dnia zbudziłem się z uczuciem zmęczenia. Żurko do późna w nocy wertował notatki i nie dał mi zasnąć rozważając na głos najrozmaitsze warianty śledztwa i hipotezy.

Wyszliśmy do ogrodu, by orzeźwić się nieco po źle przespanej nocy. Koło altany natknęliśmy się na kapitana Trepkę. Krążył zwawo dookoła klombu, zdenerwowany czy może raczej wystraszony, z laską w ręku.

- A... pokazaliście się nareszcie - przystanął na nasz widok. - Wracając do naszej wczorajszej rozmowy, przyjacielu Żurko, czy moglibyście mi zdradzić, jaką drogą poprowadzicie dalej śledztwo?

Żurko chrząknął.

- Muszę przebudować koncepcję teoretyczną. Praca w środowisku intelektualnym to cholernie trudna rzecz. Atak frontalny nie powiódł się. W pewnym sensie muszę zaczynać od nowa.

- Od nowa! - wykrzyknął Trepka.

- Trochę eksperymentowałem - spuścił skromnie oczy porucznik - zgodzicie się chyba, że sprawę prowadziłem w sposób mocno nieszablonowy.

- W istocie, przyjacielu.

- Odbiegłem trochę od instrukcji i przyjętego schematu. No cóż, trzeba będzie wrócić na zwykłą, może mało efektywną, ale pewniejszą ścieżkę.

- O, to bardzo smutne - rzekł Trepka - to smutne, że opuścił was duch w momencie, gdy śledztwo dobiega końca.

- Dobiega końca? - zdziwił się Żurko.

- Nie inaczej.

- Znacie nazwisko mordercy?

- Znam je już dość dawno.

- Kto?

- Nie mogę jeszcze zdradzić... i nie pytajcie mnie, dlaczego. Powinno wam wystarczyć, że chodzi o dobro śledztwa.

- Bluffujecie, kapitanie - odetchnął Żurko.

Trepka miał kamienną twarz.

- Zresztą - rzekł zimno - nazwisko zbrodniarza straciło dla mnie decydujące znaczenie w tej sprawie.

- Straciło decydujące znaczenie? Co mam przez to rozumieć, kapitanie? - zapytał zdumiony Hipolit.

- Partnerzy są mniej ważni. Chodzi o stawkę gry - wyjaśnił Trepka dziwnym tonem - kiedy się dowiedziałem o stawce gry... wszystko inne jest głupstwem. A stawka gry jest już jasna... Czekałem na ostatnie ogniwo łańcucha. Mam je już. Krąg się zamknął. Nadszedł czas na wyciągnięcie ostatecznych wniosków. Zdaje nam się, że nic nie wiemy, że obraz zamglił się ostatecznie, ale to jest tylko złudzenie. Wiemy już wszystko.

- Wszystko? - wybełkotał Żurko.

- Tak jest, przyjacielu - rzekł Trepka - lecz musimy się uwolnić od ciasnego spojrzenia. Zbrodniarz chciał nami manipulować podsuwając nam coraz to nowe fałszywe poszlaki, wodząc nas po ślepych chodnikach...

- Fałszywe poszlaki? Co macie na myśli?

- Przykro mi, ale wasza wędrówka za rękopisami „Zeta” i „Delta” była gonitwą po fałszywym śladzie.

Patrzyliśmy na niego zaskoczeni.

Kiedy pół godziny potem wszedłem do naszego pokoju, zastałem tam porucznika Żurkę zajętego dość dziwną czynnością. Brał po kolei każdą kartkę znalezionej rękopisu, obwąchiwał ją starannie, po czym oglądał pod światło i odkładał na bok.

Stałem osłupiały i pomyślałem, że nasz dzielny Żurko zwariował.

- Co wyrabiasz, Hipolit? - wymamrotałem.

- Zapachu lawendy brak - zamruczał - może dlatego, że wywietrzała, a może dlatego, że jestem zakatarzony, natomiast tłustych zielonych plam jest do cholery. Zupełnie jakby ktoś paćkał się w brylantynie. Dziwne, że nie zwróciłem na to przedtem uwagi. Zobacz sam!

Istotnie, kilka kartek było niewiarygodnie zatłuszczonych.

- To mi zakrawa na kawał - powiedziałem.

Coraz bardziej odnosiłem wrażenie, że zabrnęliśmy w jakąś niepoważną historię. - Chodźmy do łazienki - powiedział Żurko.

W łazience na szklanej półce stał w całej okazałości flakon brylantyny doktora Jonasza. Na drzwiach wisiały dwa identyczne płaszcze kąpielowe z Cedetu, w pasy bordo i granatowe... Jeden z nich należał do Zapłona, drugi do Jonasza.

Żurko zaklął pod nosem.

- Niewątpliwie tak potłuścić rękopis mogła tylko świnia, która chciała rzucić podejrzenie na Jonasza. Chodziło jej o to, żeby ślad był wyraźny, i dlatego nie żałowała brylantyny... Ale kto? Każdy mógł tutaj wejść, upaprać rękopisy i wsunąć je do płaszcza. Sam Zapłon też. Ten ślad nie prowadzi do niczego.

- Hipolit - powiedziałem oglądając elektryczną maszynkę do golenia Jonasza - czy nie przyszło ci namysł, że ktoś nas goli bez mydła i na sucho?

- Ale to nic nie szkodzi - ciągnął Trepka - to nawet, że tak powiem, spełniło swoją rolę. Zbrodniarz utwierdził się w przekonaniu, że nas wywiódł w pole i tak jest dobrze.

Trepka zakręcił łaską młynka w powietrzu.

- Nie chciałem was prowadzić za rączkę - dodał po chwili - ale ostrzegałem. Czyż nie kazałem wam studiować alfabetu greckiego? Gdybyście studiowali alfabet grecki, wiedzielibyście, że „zeta” jest szóstą literą alfabetu. „Zeta” jest szóstą literą alfabetu - powtórzył groźnie - i to ma wielkie znaczenie. Zaraz to zrozumiecie, przyjaciele. Spójrzcie!

Trepka pokazał nam łaską znaki, które nakreślił na ścieżce.

- Oto w kolejności pierwsze litery alfabetu greckiego: alfa, beta, gamma, delta, epsilon, zeta. Czy wciąż jeszcze nie rozumiecie?

- To są nazwy prac profesora - bąknąłem.

- Słusznie. Wynika z tego, że profesor znakował swoje dzieła kolejnymi literami. Prace „Alfa”, „Beta”, „Gamma” zostały opublikowane przed laty i nie interesują nas. „Deltę i „Zetę” - znamy. Lecz „Delta” jest czwartą, a „Zeta” szóstą literą alfabetu. Dlatego pytam was, co się stało z piątą. Co się stało z pracą „Epsilon”? Co to za praca? Gdzie ona jest? - głos Trepki nabrał intonacji tragicznej. - Nikt o niej nie wspomniął ani słowa? Dlaczego? Czy była nikomu nie znana? Czy też chciano ukryć jej istnienie? A może ona właśnie stanowiła cel zbrodni?

Milczeliśmy przytłoczeni tym zawstydzająco prostym odkryciem.

- Może wy natrafiliście na jej ślad, Żurko?

Żurko przygryzł wargi.

- Nic o niej nie wiecie? A szkoda... przecież są poszlaki. Rzucają się w oczy.

- Poszlaki? - wyjąkałem. - O czym myślicie, kapitanie?

- Dużo poszlak! Mutant, profesor prześwietlający świnkę morską, chory w Ryżych Dołach, list z Kielc, cyfry w notatniku profesora. Te rzeczy nie dawały mi spokoju. Wiedziałem, że mają znaczenie dla sprawy. Staralem się je zrozumieć. Mutant - zwyrodniała świnka morska, płód matki, ofiary bomby atomowej z Nagasaki, potwór znoszący trzydziestosześciokrotnie większe dawki promieniowania. Co robił naprawdę w pracowni profesora? Czy siedział tam dla ozdoby? Po co Mistral prześwietlał świnki? A może je naświetlał? Go to była za choroba, na którą zmarł Inoch w Ryżych Dołach? Co znaczył ten śmieszny podpis w liście z Kielc: „Monika, świnka wybitnie lądowa”? Co oznaczały malejące cyfry w notatniku profesora? I wtedy olśniła mnie myśl - ciągnął Trepka, - Powzięłem jedno przypuszczenie i zacząłem się bać... Trząść się ze strachu. Wszystko wskazywało, że wpadliśmy w aferę trochę za dużą na mój gust. Nie chciałem wierzyć... nie wierzyłem do ostatka... Myślałem, że może poniosła mnie wyobraźnia, nie chciałem się ośmieszać. Sililem się na spokój. Lecz dzisiaj rano otrzymałem radiotelegram z kieleckiej komendy. - Trepka wyciągnął kopertę. Przeczytał:

Monika N., laborantka, przebywała w Miejskim Szpitalu nr 1 w Kielcach. Diagnoza: ostra białaczka (leukaemia). Wyleczona całkowicie, została wypisana dnia 22 marca 1957 roku. Badania kontrolne w dniu 22 kwietnia nie wykazały zmian.

- Rozumiecie moje zdenerwowanie - mówił podniecony Trepka - ja lubię robótki kameralne. Drobne psychologiczne węzłki... Wielkość mnie zawsze onieśmiela.

- Wielkość?... - spojrzałem zdumiony na kapitana - nie bardzo rozumiem.

- Białaczka jest chorobą nieuleczalną - powiedział Trepka.

- Ach, tak!

- Troszkę wiadomości z medycyny, przyjaciele. Leukaemia, inaczej rak krwi, charakteryzuje się nadmiernym wzrostem krwinek białych. O ile u zdrowego człowieka nie przekraczają liczby ośmiu tysięcy w milimetrze sześciennym, u chorych na białaczkę dochodzą do pięciuset tysięcy i więcej. W warunkach normalnych jest to choroba rzadka, lecz występuje masowo jako skutek promieniowania radioaktywnego... Ona to zebrała okrutne żniwo w Hiroszimie i w Nagasaki... Na nią zapadli rybacy japońscy, na których spadł pył radioaktywny po próbnym wybuchu bomby wodorowej na Pacyfiku.

Nazywają ją dlatego chorobą wieku atomowego.

Tę chorobę pokonał Mistral. To było jego odkrycie „epsilon”. Mam powody przypuszczać, że Mistralowi udało się nie tylko leczyć białaczkę, ale uodpornić na nią organizm na zasadzie zmian mutacyjnych narządów krwiotwórczych, a przede wszystkim szpiku. Równałoby się to biologicznemu opanowaniu energii jądrowej, dotąd bowiem zaledwie zaczęliśmy ją opanowywać technicznie.

Ta praca została zrabowana. Czy rozumiecie ogrom motywu tej zbrodni?

Patrzyłem oniemiały na Trepkę.

- A zatem te cyfry w notesie? - zapytał Żurko.

- Oznaczały zmniejszającą się liczbę krwinek białych u pacjentki z Kielc.

- Co teraz zamierzacie robić? - zapytałem.

- Ocalić dzieło, przyjacielu. Rozumiesz, że sprawa zdemaskowania mordercy schodzi na drugi plan. Najważniejsze jest dzieło!

- O ile jeszcze istnieje - mruknąłem. - Zbrodniarz mógł je zniszczyć ze strachu.

- Nie sędę - powiedział Trepka. - Póki zbrodniarz wierzy, że uda mu się wywinąć z tej całej kabały, nie zniszczy pracy. Dlatego nie chcę teraz ruszać zbrodniarza, nie chcę mu w niczym dać do zrozumienia, że wiem.

- Sprawa jest prosta - powiedział Żurko - należy zarządzić nagłą ewakuację „Przystani Eskulapa” i przeprowadzić skrupulatne przeszukanie osób i całej rudery. Rękopis nie jest szpilką.

Trepka potrząsnął głową.

- Nie wydaje mi się to słuszne.

- Dlaczego?

- Z tej prostej przyczyny, że rękopisu już nie ma w „Przystani”.

- Skąd wiecie?

- Pozwolicie, że i na to pytanie jeszcze nie odpowiem.

- Więc co proponujecie? - przygryzł wargę Żurko.

- Przerwać „kwarantannę”, rozpuścić całe towarzystwo i inwigilować. Zbrodniarz sam nas naprowadzi na ślad rękopisu. Według moich przypuszczeń, będzie chciał wywieźć go za granicę. Tutaj nie ma szans wyciągnięcia z niego większych materialnych zysków.

- To ryzykowne z naszej strony - mruknął Żurko.

- Mniej ryzykowne niż uprzednie aresztowanie zbrodniarza. Musimy brać pod uwagę, że może on posiadać nie znanych nam współników, którzy w wypadku aresztowania mordercy zbiegną z dziełem lub je zniszczą.

Rozdział XXVI

Nazajutrz rano zrobiliśmy w hallu małe zebranko. Na wstępie porucznik Żurko podziękował wszystkim za bezinteresowną pomoc, jakiej udzielili organom śledztwa. Niestety podziękowanie to wypowiedział tak zbołałym tonem i z taką miną, że w uszach eskulapów musiało zabrzmieć jak gorzka ironia.

Sytuację uratował Trepka. Z właściwą mu swadą podał do wiadomości zebranych, iż z uwagi na wątki materiału dochodzenia i brak odpowiednich poszlak zdecydowano zawiesić dochodzenie, co też niniejszym z żalem i przykrością czyni, albowiem zdążył już zżyć się z mieszkańcami „Przystani” i bardzo sobie chwalił to, jak się wyrażał, obcowanie hipokratetyczne.

„Obracając się w środowisku płaskich występów, brutalnych zbrodni, wulgarnych szantaży i ohydnych nałogów - powiedział - weszliśmy do «Przystani Eskulapa» jak do oazy, gdzie mogliśmy odetchnąć prawdziwie intelektualną atmosferą.”

W dalszym ciągu przemówienia oświadczył, że dni tu spędzone będzie uważał za jedne z najcenniejszych w swoim niezdrowym milicyjnym życiu, że niezmiernie ceni sobie skrzyżowanie szpad z tak inteligentnym przeciwnikiem i że choć musi chwilowo ustąpić z placu boju, swojego czasu nie uważa bynajmniej za zmarnowany, ponieważ poczynił bardzo ciekawe obserwacje kryminologiczne i zebrał ważny materiał do przemyśleń taktycznych.

Zakończył moralizatorskim apelem do eskulapów, by zamiast pielęgnować kwiaty zła, pielęgnowali kwiaty naturalne, i wezwał ich do prac ogrodniczych, które „oczyszczają umysł i czynią go nieprzystępnym myślom o zbrodni”. Nie omieszkał przy tym nadmienić o zbawiennym wpływie tychże prac na układ krążenia.

Jak przewidziałem, małe exposé Trepki zaskoczyło wszystkich. Tylko na twarzy Zapłona błąkał się uśmiešek pobłażania, jakim młodzież darzy gładzenie naiwnych starszków. Reszta słuchała kapitana w osłupieniu. Co prawda z uwagi na osobliwy styl przemówienia nie mogłem się zorientować, czy jest to zaskoczenie formą czy treścią. Kapitan zawsze szokował tych, którzy nie znali jego niesamowitych praktyk milicyjnych.

- Czy są jakieś pytania? - rozległ się w ciszy głos Żurki.

Pytań nie było, więc opuściliśmy gęsiego hall i żeby nikt nie miał złudzeń co do naszych intencji, ostentacyjnie rozpoczęliśmy ewakuację. Podjechał nasz milicyjny wóz, a my spiesznie wynieśliśmy nasze manatki.

Siedzieliśmy już w wozie, kiedy zbliżył się do nas Zapłon.

- Jedną chwilę - zatrzymał nas - panowie naprawdę odjeżdżają? Myślałem, że to bluff.

A więc wakacje się skończyły!

- Pan żałuje? - zapytał Żurko.

- Jeśli mam być szczerzy, to tak.

- Może pan jeszcze zostać - Żurko popatrzył na niego badawczo. - Nikt pana nie zmusza do odjazdu.

- Zajęcia w instytucie - westchnął Zapłon.

- Jeśli o to panu chodzi, doktorze, to niech się pan nie przejmuj. Podstemplujemy panu zaświadczenie jeszcze na trzy dni.

Zapłon spojrział zdumiony. Odniosłem wrażenie, że tego się po nas w żadnym razie nie spodziewał.

Licząc się z tym, że jednak większość eskulapów zechce powrócić do swej rezydencji warszawskiej, zorganizowaliśmy inwigilację „Izolatkę”. By zapewnić sobie dyskretny wgląd w sytuację w willi, Trepka postanowił zainstalować tam kaprała Kajtusa w charakterze cykliniarza.

Projekt napotkał zrazu niespodziewany opór kandydata. Kajtusowi praca wydała się zbyt ciężka.

- Wolałbym malarstwo pokojowe - oświadczył, - Zesłym razem malowałem u Bazylego i, obywatel kapitan świadkiem, klient był zadowolony. Wiadomo, fachowa robota. Nawet jeszcze z więzienia polecał mnie znajomym przestępcom.

Kajtus miał na myśli sprawę niejakiego Bazylego Hondura, w której rzeczywiście dość chlubnie wystąpił w roli malarza pokojowego.

- W tej sprawie nie możesz być malarzem - powiedział Trepka. - „Izolatkę” dopiero co została odmalowana i oczekują tam przybycia cykliniarza ze spółdzielni.

Kajtus wzdychał ciężko, skrobiąc się po okolicach żuchwy.

- Mogę być cykliniarzem - powiedział wreszcie - ale zwracam uwagę obywatelowi kapitanowi, że cykliniarze biorą po dwadzieścia złotych od metra. Kto to zapłaci?

- Eskulapi zapłacą.

- Obywatel kapitan daje słowo?

- Słowo.

- Obywatel kapitan powinien od tego zacząć - powiedział zadowolony Kajtus.

Jeszcze tego samego dnia stawił się z cyklina na ulicy Podkomorskiej. Jak kiedyś obliczyłem, dzięki tego rodzaju pracom rzemieślniczym przy okazji różnych inwigilacji Kajtus wyciągał do dwu tysięcy dodatkowego dochodu miesięcznie.

Tymczasem w „Przystani Eskulapa” pozostał na swoim posterunku w portierni Drabek. Cały dzień oczekiwaliśmy od niego meldunku o ruchach eskulapów, niestety, Drabek milczał. W południe zadzwoniłem do niego.

- Co z eskulapami? Wynoszą się?

Drabek, swoim zwyczajem, długo mlaskał i chrząkał przy telefonie, zanim wydukał:

- Iiii, obywatelu poruczniku, co się tam mają wynosić. Albo im tu źle? Siedzą cicho jak myszy pod miotłą, tylko apetyty im się poprawiły. Nic nie zostało z obiadu, o suchym prowiancie jestem.

Pod wieczór zadzwoniłem powtórnie.

- No jak, wyjechał kto?
- Eeee tam! - jęknął Drabek. - Nie zanosi się wcale. Może jak pogoda zacznie nawalać, to się ruszą, ale teraz to po co im.

- Co urobią?
- A nic. Póki było większe słońce, opalali się na tarasie. A teraz grają w karty. Tylko pan doktor Zapłon pisze na tarasie.

- A panna Stor?
- Panna Stor czyta.
Rzuciłem słuchawkę i zakląłem pod nosem. Wszystkiego się spodziewałem, ale nie tego, że nikt się stamtąd nie ruszy. Co to może znaczyć, u licha?

Podniecony, zakomunikowałem o tym Trepce. Kapitan nie stropił się zbyt. Poczciwcy korzystają z okazji - uspokoił mnie - cóż się dziwić, Pawełku, słońce, wiosna, zapach ziemi...

Trepka westchnął na wspomnienie „Przystani” i oddał się z powrotem studiowaniu sprawy zamachów na Anatola Patterhorna. Kiedy zaś zwróciłem uwagę, że zachowanie eskulapów staje się jednak podejrzane, skierował mnie do Żurki.

Żurko był w równym stopniu zaskoczony co ja.
- Wyjaśnienie może być tylko jedno - powiedział - boją się. Każdy z nich boi się wyjechać pierwszy, żeby nie zwrócić na siebie uwagi, i czeka, aż ktoś inny zrobi początek. A ponieważ wszyscy myślą ta samo, więc w rezultacie wszyscy siedzą i udają, że im się nigdzie nie spieszy. No, ale w końcu ruszą się przecież. Trzeba tylko poczekać.

Czekaliśmy cały następny dzień. Jednak bezskutecznie. Żurko był coraz bardziej zdenerwowany. Oburzała go zwłaszcza moralna strona zagadnienia.

- Zupełny brak poczucia odpowiedzialności! - wykrzykiwał - oto, do czegośmy doszli! Leżą sobie do góry brzuchem, a tam na nich czekają chorzy.

- To są lekarze z instytutu - zauważyłem - oni nie leczą.
- To nie ma znaczenia - gorszył się Żurko - przecież mają, u licha, jakąś pracę. To jest cynizm, proszę cię! Bezczelne wykorzystywanie sytuacji!

- Sam ich do tego zachęciłeś udzielając urlopu Zapłonowi.
- Nie mogłem inaczej. Chodziło o to, żeby się Zapłon nie domyślił. Ale skąd mogłem wiedzieć, że wszyscy pójną w jego ślady.

Trepka radził czekać jeszcze jeden dzień, lecz i następnego dnia komunikat i Drabka brzmiał jak zwykle: „Nikt się nie ruszył. Sytuacja bez zmian”.

- To już jest zupełnie niepojęte! - jęknął Żurko, po czym udał się do Trepki i tam wyraził głośno swoją dezaprobatę dla jego metod.

- Przyjacielu - powiedział Trepka - jeśli się nie mylę, akceptowaliście mój skromny plan.

Żurko wyjaśnił, że uczynił to pod wpływem chwilowej niedyspozycji. Trepka odparł na to, że jeśli sobie Żurko życzy, może zrezygnować z dalszego śledztwa i przyjąć serdeczne podziękowania komórki eksperymentalnej za, jak się wyraził, „cenny wkład”.

Żurko z kwaśną miną oświadczył, że będzie musiał niestety to zrobić, ponieważ pułkownik zlecił mu od poniedziałku inne zadania, ma jednak nadzieję, że w przyszłości nieraz jeszcze będzie mógł służyć Trepce swoją pomocą.

Tak skończyły się gościnne występy dzielnego porucznika w sprawie „Przystani Eskulapa”.

Jakby na ironię losu w godzinę później, gdy jedliśmy obiad, wezwano nas do telefonu. Dzwonił Drabek, że przed chwilą doktor Jonasz z walizką wyjechał z „Przystani”.

- Sojka? - zapytałem podniecony.
- Trzyma go za frak.

- W porządku.

Dwie godziny później wywiadowca Sojka zameldował: „Jonasz udał się do domu na Podkomorskiej”. Niemal jednocześnie włączył się na linię Kajtus: „Jonasz przybył o 12.20 do »Izolatki«. Zwolnił na cały dzień Kotowską i usiłował nakłonić mnie do porzucenia pracy pod pretekstem, że chce mieć ciszę”.

- Pod żadnym pozorem nie ruszać się, Kajtus! - zapowiedziałem.

O godzinie szesnastej Kajtus zadzwonił ponownie, jak mi się zdawało, mocno zaambarasowany. „Łapiduch kręci się po mieszkaniu niespokojny jak kot z pęcherzem. Znow minie chciał usunąć. Wziął się nawet do tego bardzo mocno. Oskarżył mnie, że nie jestem ze spółdzielni i że robię fuchę na lewo. Na szczęście panna Katowska zjawiała się w porę i powiedziała Jonaszowi, żeby się nie mieszał do gospodarstwa. Jonasz, wściekły, wyjechał na miasto.”

W dalszym ciągu relacji Kajtus nie omieszkiał poskarżyć się, że ma już pęcherze na rękach. Podkreślił przy tym z naciskiem, że wycyklinował już dwa pokoje, a teraz zaczyna hall i że zarobił już osiemset złotych.

- Za duże tempo wzięliście, Kajtus - zauważyłem - możecie zostać bez pracy, zanim się rzecz wyjaśni.

- Nie da rady inaczej, obywatelu poruczniku - sapał Kajtus - ta sługa nikczemna stoi nade mną jak kat i na ręce mi patrzy. Musi mieć zgaga pewne wątpliwości co do moich kwalifikacji albo coś przewąchała, bo osobiste pytania mi stawia, a przy tym zrzędzi, nie daj Boże.

- Pilnujcie się, Kajtus - ostrzegłem go - opryskliwość kobiet może mieć podłoże seksualne.

- Obywatel porucznik myśli?...

- Myślę, że mogliście się jej spodobać, do cholery!

Zapanowała długa chwila ciszy. Kajtus najwyraźniej przetrawiał moją sugestię.

- W razie czego jak się zachować, obywatelu poruczniku? - zapytał wystraszony.

- Pozytywnie, jak najbardziej pozytywnie, Kajtus.

Z drugiej strony telefonu usłyszałem ciężkie stęknienie, a potem pociąganie nosem.

- Ale za to cyklinowanie dostanę od metra - Kajtus przypomniał płacząco.

Odłożyłem słuchawkę.

Trepka wysłuchał relacji spokojnie, ale gdy tylko skończyłem, związał pedantycznie teczkę z aktami sprawy Anatola Patterhorna różową wstążeczką i zamknął ją w szafie.

- Nie podoba mi się ten Jonasz, przyjacielu - zakaszłał - zupełnie mi się ten człowiek nie podoba.

Zapytałem, w jakim sensie, ale Trepka powiedział tylko:

- Czeka nas mała wyprawa. Bądź łaskaw, chłopcze, przygotować prowiant alarmowy, światło i przybory jak zwykle.

Godzinę później wywiadowca Sojka przekazał kolejny meldunek:

- Jonasz był na obiedzie w „Melodii”, potem włóczył się po mieście cały czas na piechotę, przeszedł całym Nowym Światem i Krakowskim aż na Starówkę. Był bardzo zdenerwowany. W „Melodii” zwymyślał kelnera, a na skrzyżowaniu przy Świętokrzyskiej omal nie wpadł pod taksówkę. Z Podwała wsiadł w „sto dwadzieścia pięć” i przejechał się aż na Puławską, gdzie wykupił bilet do cyrku na dziewiętnastą.

Następnie Sojka zakomunikował, że otarł sobie nogę i prosił o wycofanie go z akcji. Trepka wziął ode mnie słuchawkę.

- Czy to wszystko? - rzekł niezadowolony. - A kontakty?

- Z nikim się nie spotykał.

- Telefony?
- Nie rozmawiał.
- Czy był w klinice lub w instytucie?
- Nie - Sojka był urażony - nic nad to, co powiedziałem. Figus się włóczył bez celu.

Trepka zbeształ Sojkę za niewłaściwe wyrażenie się o osobie inwigilowanej, po czym znów zauważył, że nie podoba mu się ta cała historia.

Kiedy wkrótce potem zadzwonił Kajtus, Trepka miał dla niego gotowe zlecenie o dość niespodziewanej treści.

- Mówisz więc, przyjacielu, że panna Kotowska wyraźnie uwzięła się na ciebie? - zagaił łagodnie.

- Tak jest, obywatelu kapitanie, sztorcuje mnie, jakbym był chłopcem kuchennym. Nie wiem, czy to zniosę, obywatelu kapitanie.

- Nie potrzebujecie już znosić. Mam dla was inne zadanie. Zabierzecie Kotowską na dziewiątą do kina. Zrozumiałe?

- Tak jest - Kajtus był wyraźnie zaskoczony. - A jeśli nie będzie chciała?

- Będzie chciała - powiedział Trepka. - Wszystko za tym przemawia, że będzie chciała, jeśli tylko poprosicie ją umiejętnie. Gdybym jednak się mylił, musicie usunąć ją z domu pod innym pretekstem. Zrozumiano? Dom musi być opróżniony najpóźniej o dziewiątej, choć byście mieli ją aresztować. Powtórzyć.

- Dom musi być opróżniony najpóźniej o dziewiątej - wyrecytował Kajtus - choćbym miał aresztować pannę Kotowską,

- To jest ostateczność, Kajtus, ostrzegam was! - powiedział Trepka. - Macie iść z Kotowską do kina. Musicie ją skłonić da tego, jeśli nie potraficie, biada wam!

Trepka odłożył słuchawkę i zapytał, czy wszystko przygotowałem do wyprawy. Kiedy odpowiedziałem twierdząco, wyciągnął z szuflady pistolet i sprawdził magazynek.

- Idziemy do „Izolatki”? - zapytałem. Trepka skinął głową;

- Podejrzewacie, że tam właśnie ukryli manuskrypt „Epsilon”?

- Biorę to pod uwagę - powiedział Trepka.

- Byłoby to w każdym razie dosyć dziwne miejsce. Morderca mógł się przecież spodziewać, że willa jest strzeżona - zauważyłem.

- Tak jest, przyjacielu, podzielał twoje wątpliwości. Ja sam jestem zaskoczony. Co prawda, może to była jakaś psychologia na opak: właśnie ukryć rękopis w miejscu pozostającym pod nadzorem milicji. Ale mimo to jestem zaskoczony. Jestem zaskoczony osobą Jonasza, mój chłopcze. Muszę ci wyznać, że nie brałem go pod uwagę. Rozumiesz moje zdenerwowanie, przyjacielu. Nie o nim myślałem.

- Może jego wypad z „Przystani Eskulapa” do Warszawy jest czysto przypadkowy - powiedziałem.

- Nie - Trepka stanowczo potrząsnął głową. - Znam na tyle ludzi. Jego przyjazd tutaj jest na pewno związany z tą sprawą. Ręczę za to, mój chłopcze. Jego zachowanie daje aż nadto do myślenia. To przecież wyraźne. Ten człowiek chciał zostać sam w „Izolatce”. Po co? Kręcił się stale po dolnym hallu. Chciał się pozbyć Kajtusa, Kotowskiej. Po co? Żeby spenetrować pokój profesora Mistrala. Jonasz tutaj czegoś szuka, czymś się podnieca. Wolno nam przypuszczać, że chodzi o manuskrypt „Epsilon”.

Obawiam się, że dziś w nocy będzie chciał włamać się do pokoju Mistrala i dlatego musimy być na miejscu, mój chłopcze.

Rozdział XXVII

O dziewiątej byliśmy na ulicy Podkomorskiej. Panowały tu doskonałe ciemności. Z powodu zachmurzenia nie świeciły ani gwiazdy, ani księżyc, a uliczne latarnie strąkowały, jak to się często zdarza w naszym stołecznym mieście. Dlatego łatwo i niepostrzeżenie

przedostaliśmy się na teren „Izolatki”. Widać Kajtus wykonał rozkaz, bo wszystkie okna były ciemne i wyglądało na to, że w domu nie ma żywego ducha.

Dysponowaliśmy duplikatami kluczy do „Izolatki”. Kazałem je sporządzić na użytek śledztwa na początku sprawy. Zrazu chcieliśmy wejść głównymi drzwiami, okazały się jednak zamknięte od środka i klucz tkwił w zamku. Zaproponowałem Trepce, że wejdziemy od kuchni, Trepka jednak wołał posłużyć się żabką. Używał tego instrumentu bardzo chętnie, ile razy tylko nadarzyła się sposobność, żeby nie wyjść z wprawy. Patrząc, jak zręcznie operuje narzędziem, zastanawiałem się, ile jest prawdy w tym, co niektórzy mówili o przestępczej przeszłości kapitana.

W hallu wyjąłem z teczki ochronne pantofle, jakich używa się w muzeach, nałożyliśmy je na obuwie i weszliśmy do pokoju Mistrala.

Spojrzałem na zegarek. Było pięć po dziewiątej. Widowisko cyrkowe już się powinno było skończyć, i wkrótce należało się spodziewać powrotu doktora Jonasza. Pierwszą naszą czynnością było sprawdzenie rolet w oknach. Były szczelne, więc Trepka pozwolił na zapalenie latarki kieszonkowej. W mdłym świetle zlustrowałem wnętrze. Panował tu pedantyczny porządek, nie spostrzegłem najmniejszego śladu poszukiwań.

- Zdaje się, że nikt tutaj jeszcze nie przeniknął - szepnąłem.

- Możesz mówić normalnie, mój chłopcze - Trepka pokazał drzwi obite grubą warstwą materiałów izolacyjnych - to prawdziwe studio radiowe. Mistral cenil ciszę.

Sądziłem, że zabierzemy się do zrobienia małego bałaganiku w pokoju, tymczasem Trepka wskazał mi od razu wysokie wolteriańskie fotele stojące w kątach po obu stronach drzwi.

- Spoczniemy tutaj, Pawełku.

A więc w penspektywie było oczekiwanie. Tego najbardziej nie znośm w naszej pracy.

- Czy nie można by tymczasem pogrzebać trochę po szufladach i półkach - zauważyłem obmacując światłem latarki biurko i rzędy książek w bibliotece.

- Po co? - sarknął kapitan - czy nie uczyłem cię pracować ekonomicznie, mój chłopcze? Po co masz sobie szarpać nerwy? Niech przestępca denerwuje się za ciebie. Niech czuje kurcze w żołądku i korek w gardle. Niech wspina się jak małpa po półkach, niech drżącymi łapami mocuje się z szufladą zostawiając wszędzie śliczne daktyloskopy. Niech płaci cenę występku. Nie odbieraj mu tej przyjemności. - Trepka rozparł się wygodnie w fotelu. - To jest ważne z punktu widzenia sprawiedliwości. A kiedy już będzie miał w rękach zdobycz, kiedy będzie oddychał z ulgą i organizm jego będzie się gotował do niezbędnej rekreacji, wtedy my wejdziemy na scenę i jeden nasz gest rozbroi tego człowieka. Takie przyłapanie! Wyobrażasz sobie, co to za cios dla niego. Znokautujemy go psychicznie.

Nie, nie chcę się pozbawiać efektu, jaki da nam wyjęcie rękopisu z rąk przestępcy.

Nie było rady. Siadłem skwaszony i czekałem beczynn timer. Kiedy wreszcie minęła dwunasta, a w domu wciąż panowała przerażająca cisza, Trepka zaczął ruszać się i wzdychać w swoim fotelu, a potem nagle wstał i zniknął w łazience. W chwilę później usłyszałem podejrzan e pluskanie. Kiedy szum wody przedłużał się, zaniepokojony wtargnąłem do łazienki i ku mojemu zdziwieniu ujrzałem Trepkę w wannie.

- Co robicie! - wykrztusiłem.

Trepka spokojnie mydlił łysinę.

- Jak zwykle zadajesz nierzeczowe pytania, przecież widzisz, że się kąpię.

- Kąpiecie się?

- Nie widzę absolutnie powodów, dla których miałbym się pozbawiać codziennej - kąpieli.

- Ale służba... - wykrztusiłem.

- Wszak ty, Pawełku, jesteś na posterunku - powiedział z lekkim naciskiem.

- Tak jest, oczywiście - bąknąłem zrozumiawszy aluzję. Wycofałem się do gabinetu i zająłem swoje miejsce w fotelu.

Trepka pluskał się jeszcze przez dziesięć minut, po czym wrócił owiany zapachem mydła i jaśminu, owinięty jak człowiek Wschodu jakąś luźną wzorzystą draperią, w której po bliższej konfrontacji rozpoznałem szlafrok nieboszczyka Mistrala.

- Radzę i tobie wziąć kąpiel - powiedział. - Wygrać możliwości do maksimum, oto jest cała mądrość wywiadowcy, mój chłopcze. Kiedy cię los wetknął do mieszkania z łazienką i ciepłą wodą, bierz kąpiel, przyjacielu.

Co zrobiłby na naszym miejscu Żurko? Nasz przyjaciel Żurko czyhałby w zwierzęcym tego słowa znaczeniu. Każda komórka, każde, że tak powiem, ściętno jego żyłastego ciała brałaby udział w czyhaniu. Znieruchomiały, skurczony w kącice, czaiłby się w napięciu; zdławione gardło, zaciśnięte pięści, przygryzione wargi. A po dwu godzinach - nieodparte zmęczenie, zamglony wzrok, zwiotczałe mięśnie, otepiały umysł. Dla niego byłoby wszystko jedno, gdzie czeka: na drzewie, na dachu czy w wygodnym mieszkaniu. Gdyż i tu, i tam wypełniony byłby po dziurki w nosie czekaniem. Zablokowany jedną myślą. I wielu chwaliłoby go za to, gdyż według nich ucieleśniałby ideał wywiadowcy. Lecz ja jestem innego zdania. Dla mnie taka postawa jest emocjonalna, prymitywna i głupia.

Nie znoszę, przyjacielu, zablokowanych umysłów, nie znoszę monolitycznej blokady świadomości. Wywiadowca o takiej postawie po trzech latach służby jest już wykończony. Po trzech latach przyjacielu, kiedy dopiero zaczyna zdobywać doświadczenie, staje się łachmanem i trzeba go wycofać, bo ma nerwy wyeksploatowane do końca.

Dlatego, mój chłopcze, powtarzam, unikaj zbędnych napięć i ucz się techniki oczekiwania. Zachowuj prężność na moment, gdy klucz zgrzytnie w zamku. Gdy klucz zgrzytnie w zamku - powtórzyl uroczyście. - I dlatego, przyjacielu Dziarmago, weź kąpiel i prysznic.

Niestety klucz w zamku nie zgrzytnął tej nocy, a ja nie mogłem sprawdzić skuteczności oczekiwania naukowego i nie zablokowanego monolitycznie. Sprawdziłem natomiast, że rozluźnienie zaaplikowane mi przez Trepkę, acz niewątpliwie przyjemne, miało jedną ujemną stronę. Był nią gargantuiczny i zgoła niesłużbowy sen, który mnie zmorzył, gdy odświeżony kąpielą spocząłem w fotelu, do czego się przyznaję ze skruchą i wstydem. Faktem jest, że kiedy otworzyłem oczy, w pokoju było już jasno, a Trepka krzątał się z termosem i zapasami jadła.

Po posiłku udało nam się nawiązać kontakt z Kajtusem, który właśnie przybył do pracy i wsunął nam pod drzwi kartkę z wiadomościami oraz gazety.

Wyjaśniła się przyczyna, da której Jonasz nie odwiedził wieczorem pokoju. Gdy powrócił z cyrku, przy furtce już czekał na niego posłaniec z kliniki i Jonasz resztę nocy spędził w szpitalu jako konsultant przy operacji pewnej wysoko postawionej osobistości. Rano przespał się kilka godzin w klinice, a od ósmej załatwia różne sprawy w mieście. Był w Instytucie Hematologii na Chocimskiej i w Instytucie Onkologii na Wawelskiej.

Trepka orzekł, że spędzimy w mieszkaniu jeszcze jedną dobę. Na dzień jutrzejszy naznaczony był pogrzeb profesora Mistrala i należało się liczyć z przybyciem gości, krewnych i znajomych. Jeśli więc Jonasz chciał zrealizować swój plan, musiał działać szybko.

Nie mając nic lepszego do roboty zabraliśmy się do wertowania gazet. Niektóre z nich zawierały już część materiałów śledztwa, które przeznaczaliśmy do opublikowania.

Trepka pokazał mi z westchnieniem nagłówek „Sztandaru Młodych”, gdzie młody dziennikarz, kryminolog pytał, jak zwykle, największymi literami: „GDZIE JEST REKOPIS EPSILON”.

- Oto skutek uchylecia tak zwanego rąbka tajemnicy - mądrej głowie dość dwie słowie.

Na szczęście do pozostałych dzienników nie można było zastosować przysłowia o mądrej głowie i to w sposób wybitny poprawiło humor kapitana. Dzienniki zajmowały się nie tyle zagadką morderstwa, ile naszymi skromnymi osobami. Podkreślono nieudolność milicji i krytykowano sposób prowadzenia dochodzeń w tej sprawie. Najwięcej ataków i złośliwości skierowano pod adresem Trepki i jego komórki eksperymentalnej. W niektórych enuncjacjach poznaliśmy jadowite pióro redaktora Hałastry, naszego prasowego antagonisty, notabene autentycznego przedwojennego detektywa prywatnego, który, jak się wyraził Trepka, „dogorywał w prasie”.

Tytuły enuncjacji były wymowne:

NIEDOZWOLONE EKSPERYMENTY
PRZY ZWŁOKACH UCZONEGO
„PRYZYSTAŃ ESKULAPA” CZY PRYZYSTAŃ
ZBRODNIARZA
99 GODZIN TORTUR PSYCHICZNYCH
W „PRYZYSTANI ESKULAPA”

Pod tym ostatnim tytułem „Express” zamieszczał wywiad z doktorem Jonaszem, który zalił się na styl pracy organów śledczych.

Przerwanie dochodzeń w „Przystani Eskulapa” dzienniki uważały za fiasko metod Trepki.

„Zdziecinniały starzec w milicji” - pisało „Życie Warszawy”. „Szpilki” zamieszczały karykaturę Trepki w krótkich spodenkach, obrywającego płatki z kwiatka i wróżącego: „Jonasz... Zapłon... Kasica...” Zaś nagłówek „Kuriera” głosił: „KAPITULACYJNA MOWA KAPITANA TREPKI W «PRYZYSTANI ESKULAPA»”. „Trafiłem na większego od siebie” - oświadczył znany spec kryminalistyki, po czym zniknął jak kamfora. Naszemu przedstawicielowi nie udało się go dotąd odszukać. Przypuszczalnie pokonany starzec przeżuwa w odosobnieniu gorycz porażki. „Trzeba skończyć z niepoważnym eksperymentowaniem - pisał dziennik - a zająć się normalną pracą. Eksperymentowanie na bieżących sprawach, gdzie w grę wchodzi interes publiczny, jest niedopuszczalne.”

- Doskonale - mrucał zadowolony Trepka - to mnie uspokaja. Myślę, że wpłynie to także uspokajająco na mordercę... i osobnik ten nie spłoszy się niepotrzebnie.

Na szczęście domyślny detektyw ze „Sztandaru Młodych” jest odosobnionym wyjątkiem. Zresztą jego szlachetny dziennik nie jest czytany przez naszych eskulapów. No i, co niemniej ważne, możemy być spokojni o los naszej eksperymentalnej komórki. Ci poczciwcy przygotowują genialnie grunt pod nasze zwycięstwo. Albowiem, pamiętaj, przyjacielu, największe zwycięstwa, najgłośniejsze, są to zwycięstwa zaskakujące i nieprzewidziane.

Dalszą lekturę zakłóciły nam krzyki w kuchni. Przywarliśmy do drzwi. Krzyki powtórzyły się, a potem dał się słyszeć płacz. Ktoś kilka razy trzasnął drzwiami. Wreszcie - wszystko ucichło.

Zastanawialiśmy się z Trepką, co to wszystko znaczy, gdy nagle zgrzytnął klucz w zamku. Pośpiesznie zajęliśmy nasze miejsca w fotelu. W tej samej chwili drzwi otworzyły się na oścież i naszym zdumionym oczom ukazał się... Kajtus w autentycznej osobie. Twarz miał uśmiechniętą jak księżyc. Niósł tacę z karafką i kieliszki. Nie zauważył nas w pierwszej chwili. Postawił tacę na biurku i podniósł rolety. Jasne światło dzienne załało pokój.

- Oszalałeś, przyjacielu! - syknął zrozpaczony Trepka.

- Spokojna głowa, obywatelu kapitanie - Kajtus odwrócił się do nas - obywatele napiją się po jednym.

- Bój się Boga! Co za pomysł! Zdekonspirowałeś nas.
- Niby przed kim?
- Przed Kotowską.
- Kotowskiej nie ma. Dom pusty.
- Może wrócić.
- Dzisiaj nie wróci.
- Jak to?
- Została ewakuowana, proszę obywatela kapitana - powiedział oficjalnym tonem

Kajtus.

- Ewakuowana? Kajtus, wyrażajcie się po ludzku... Te krzyki - zaniepokoił się Trepka.
- Kobieta nerwowa, stawiała opór.
- Co takiego?
- Obywatel kapitan wybaczy, ale dłużej nie mogłem ze względów moralności publicznej. Diabeł w nią wstąpił. Szła na całego w celach... hm... matrymonialnych. Obywatel kapitan skosztuje i obywatel porucznik - wręczył Trepce kieliszek.
- Trepka wychylił odruchowo, potem dopiero zreflektował się.
- Kajtus - zapytał groźnie - czy to koniak?
- Tak jest, obywatelu kapitanie.
- Buszowałeś po piwnicy?
- Tylko po spiżarni.
- Jak ci nie wstyd!
- Niech obywatel kapitan pije śmiało. Dostałem od gospodyni wolną rękę w zakresie spirytualiów. Poczciwa kobieta zrozumiała, że cyklinować na sucho nie idzie w żaden sposób. A propos cyklinowania, obywatelu kapitanie, mam nadzieję, że będę zapłacony od metra, jak było ugodzone.

Resztę dnia dzięki męskiej decyzji kaprala Kajtusa tudzież jego zapobiegliwości kuchennej spędziliśmy w stanie całkowitego odprężenia. Jak donosiły meldunki, Jonasz był wciąż zajęty, a reszta eskulapów nie ruszała się z „Przystani”.

Co prawda ponowiłem moją propozycję spenetrowania pokoju Mistrała i odszukania rękopisu, o ile taki znajduje się rzeczywiście w tym miejscu, jednak Trepka zaoponował i tym razem, powołując się dla odmiany na argumenty estetyczne.

- Czyż nie rozumiesz, przyjacielu - powiedział - jaki piękny efekt da wyjęcie rękopisu wprost z rąk przestępcy. Przecież uczyłem cię, Pawełku, że nasza praca jest sztuką, a więc można ją wykonać brzydtko lub pięknie.

Tym, co nadaje piękno naszej sztuce, jest celowość. Założyłem sobie, że osiągnę nasz cel najprostszym, najefektowniejszym i najbardziej ekonomicznym środkiem. Podobnie jak artysta, który jedną nieomylną krechę nadaje dziełu charakter.

Wygłosiwszy tę dość osobliwą w ustach specja kryminalistyki tezę, Trepka oświadczył, że według jego przypuszczeń tej nocy zapadnie rozstrzygnięcie. Jonasz przystąpi do akcji. Żeby mu ułatwić zadanie, polecił Kajtusowi opuścić już o czwartej willę i zostawić nas samych.

Zajęliśmy nasze stanowiska na fotelach. Była już chyba ósma wieczór, kiedy nareszcie usłyszeliśmy podejrzaną szmery w okolicach zamka, po czym nastąpił oczekiwany przez nas zgrzyt metaliczny. Wstrzymaliśmy oddech. To była chyba najbardziej emocjonująca chwila od początku śledztwa.

Drzwi zaskrzypiały cicho i ktoś wsunął się niemal bezszelestnie do pokoju, świecąc elektryczną latarką. Trepka się nie mylił. To był Jonasz; poznałem go po charakterystycznej krągłej sylwetce. Wpatrywałem się w niego z natężeniem. Na nogach miał tylko skarpetki. Poprawiając nerwowo rękawiczki na rękach zaczął zbliżać się pomału do biurka. Czy nas nie

zauważy przedwcześnie? Ale Jonasz, jak zahipnotyzowany, wpatrywał się w biurko. Dotarłszy do celu wyjął z kieszeni pęk kluczy i zaczął przeszukiwać szuflady. W ciszy słyszeliśmy jego przyśpieszony oddech, świadczący, jakby powiedział Trepka, o wzmożonym procesie przemiany, materii i szybkim wytracaniu energii psychicznej.

Poszukiwania nie dały jednak widać rezultatu, bo Jonasz otarł czoło i zbliżył się do szafki ściennej, gdzie profesor przechowywał napoje wysokokowe.

Nastąpiło małe interludium. Jonasz wychylił dwa kieliszki i odetchnął ciężko. Przez moment widziałem jego twarz napuchłą i udreżoną. Potem odwrócił się znowu i podszedł do półek bibliotecznych. Żółtawy krążek światła przesuwiał się systematycznie po rzędach książek. Przegląd nie dał rezultatu i Jonasz przystawił krzesło. Wgramoliwszy się na nie zaczął szperać oburącz między książkami. W gorączce strącił kilka tomów na podłogę, podniósł je, znów się wspiął na krzesło. Jego oddech stawał się coraz cięższy, ruchy coraz bardziej nerwowe. Raz po raz ocierał twarz. Zdejmował okulary, znów zakładał. Widziałem, że się męczył. Męczył się straszliwie.

Trwało to dobre pół godziny, nim zniechęcony zszedł wreszcie na podłogę. Zgasił latarkę i siedział kilka minut w ciemności. Potem musiała go olśnić jakaś myśl, bo usłyszeliśmy hałas odsuwanego krzesła i światło zabłyśło ponownie. Zauważyliśmy, że stał teraz przy szafie grzebiąc wśród bielizny i ubrań, otwierając puste walizy.

Wreszcie ściągnął marynarkę, zerwał z szyi krawat, zdjął okulary i podszedł do umywalni. Chwilę trzymał twarz pod strumieniem wody, parszcząc głośno, potem otarł się chusteczką, doprowadził do porządku i jakby dla spokoju sumienia zajrzał jeszcze pod wielką tekturową tekę na biurku.

Usłyszeliśmy westchnienie ulgi. W rękach lekarza błysła żółta, gładka okładka rękopisu. Z trudem opanowałem się, żeby nie skoczyć z miejsca. Tymczasem Jonasz przesunął okulary na czoło i trzymając rękopis przy nosie zaczął przeglądać go nerwowo.

Nagle jego ramiona zadrżały jak w febrze. A potem usłyszałem śmiech. Nie, to nie było złudzenie. Jonasz trząsał się cały w okropnym chorobliwym ataku śmiechu.

Wreszcie obrócił się w naszą stronę i jak pijany ruszył do drzwi.

I w tym momencie zobaczył nas siedzących sztywno na wysokich fotelach, jak posągi Baala.

Rozdział XXVIII

Musiałoby to być dla niego zjawisko niesamowite, bo wydał zdławiony krzyk, cofnął się odruchowo, a rękopis wypadł mu z rąk.

- Co za dziwne spotkanie, doktorze Jonasz - westchnął Trepka nie ruszając się z miejsca. - Cóż, nie przywita się pan z nami? A... pan zdrętwiał. Jak wy to nazywacie w medycynie? *Rigor mortis*? A jednak pan mnie zadziwił. Nie spodziewałem się tego po panu, sądziłem, że pana finisz będzie bardziej stylowy, tymczasem pan nie wytrzymał kondycyjnie. A szkoda. *Finis coronat opus*!

Jonasz stał nieruchomo jak zahipnotyzowany. Patrzyłem w jego wykrzywioną twarz, mającą w półmroku, i przez chwilę nie mogłem pogodzić się z myślą, że tak wygląda morderca. Dopiero potem myśl moja zaczęła się rozjaśniać. Jonasz mordercą? Dlaczegożby nie? Czy poszlaki od początku nie wskazywały na niego? To on podał Mistralowi proszek, to jemu Mistral powierzył klucz od szafki z truciznami i któż lepiej od niego mógł wiedzieć o pracach profesora? Od niego, asystenta! Przypomniałem sobie wszystkie jego kłamstwa, uniki i zwody. Więc dlaczego to mnie zaskoczyło? Dlaczego nie chciałem się zgodzić na takie rozwiązanie i buntowałem się wewnętrznie. Szukałem gorączkowo odpowiedzi i wydało mi się, że ją znalazłem.

To wszystko było na pozór zbyt proste, by robiło wrażenie prawdy. Za daleko szukałem! W życiu wszystko jest mniej skomplikowane. Nie teraz, ale wtedy miałem rację. Wtedy, kiedy mówiłem Żurce o psychologii na opak. Jonasz zastosował ten chwyt.

Poczułem upokorzenie i zdjęła mnie złość na tego lawendowego pana. Nie mogłem mu darować, że podszedł nas tak łatwo i zwodził do ostatniej chwili. Może to wyjaśni i choć nieco usprawiedliwi mój gwałtowny postępek, jakiego się wówczas dopuściłem. Oto bowiem nie zdołałem się opanować, zerwałem się z fotela, dopadłem Jonasza, chwyciłem go za kłapy marynarki, potrząsnąłem nim jak kłodą i krzyknąłem:

- Ręce do góry, zbrodniarzu!

W jego oczach zamigotało przerażenie. Uniósł odruchowo ręce, a potem nagle wyprężył się jak struna i osunął bezwładnie na podłogę.

Nim się spostrzegłem, zauważyłem z przerażeniem, że trzymam w powietrzu pustą marynarkę.

Trepka spokojnie zapalił światło, podniósł rolety i otworzył okno. Potem spojrzał z niesmakiem na leżącego.

- Coś ty zrobił, Pawelku?

- Nie wiem, wysunął mi się, kapitanie.

- Tak nie można. Przestraszyłeś człowieka. Przestraszyłeś go niesłusznym oskarżeniem. Skamieniałem.

- Jak to?! - wykrzyknąłem. Więc według was Jonasz nie zabił?

- Oczywiście, że nie - Trepka pochylił się nad asystentem i usiłował przywrócić go do przytomności.

- Lecz przecież wasze słowa...

- To było posunięcie taktyczne, przyjacielu. Bądź łaskaw pomóc mi go przenieść.

Chwyciłem asystenta pod ramiona i wspólnie z Trepką ulokowałem go na łóżku.

- A jednak Jonasz... - próbowałem opanować, lecz Trepka przerwał mi ostro:

- O Jonaszu porozmawiamy potem. Teraz najważniejszy jest rękopis.

Istotnie. W tej sprawie ludzie zeszli już na drugi plan. Najważniejsze było dzieło.

Drżącą z emocji ręką podniosłem z podłogi rękopis w plastikowej okładce naznaczonej jedną literą „Epsilon”.

Nie jestem skłonny do fantazjowania, jednak w tej chwili wyobraźnia moja dostała solidnego kopniaka. Trzymałem w ręku epokowe dzieło! Kamień milowy na drodze postępu! Ocalenie ludzkości! Klucz do opanowania biologicznego skutków radioaktywności!

Trzymałem w mojej ręce. Moje nazwisko będzie odtąd na zawsze związane z odkryciem Mistrala. Ogarnęła mnie radość podniosła i szlachetna, że dobrze zasłużyłem się ludzkości.

Zrozumiałem, dlaczego tak wielu chce zbawiać narody nawet wbrew ich woli. To uszczęśliwia cholernie! Gdzieś daleko za oknem radio grało „Dziwiątą Symfonię”

Beethovena. A może mi się tylko zdawało. Powinno grać w każdym razie.

- Przyjacielu, co z tobą? - zaniepokoił się Trepka.

- Radość. Radość międzynarodowa, kapitanie.

- Dajże mi ten rękopis!

Trepka wyjął mi dzieło z ręki i zaczął przeglądać je w skupieniu.

Przywrócony rzeczywistości, rozejrzałem się po pokoju, jakby uczcić tę wiekopomną chwilę. Wzrok mój padł na apteczkę, z której pokrępiął się Jonasz. Napełniłem drżącą ręką kieliszki.

- Kapitanie, napijmy się za zwycięstwo.

Wtem usłyszałem kretyński chichot. Wzdrygnąłem się i obejrzałem. Na łóżku siedział w kucki zgarbiony Jonasz i chichotał nerwowo. Przeniósłem wzrok na Trepkę i oniemiałem z wrażenia. Starszy pan ćwiczył przysiady. Zdawało mi się, że wszyscy oszaleli.

- Kapitanie, co wyrabiacie, u licha!

- Spokojnie, przyjacielu - zasapał Trepka. - Tylko spokój i intensywne ćwiczenia fizyczne mogą nas uratować.

- Uratować? Nie rozumiem. Kapitanie, co się stało, na Boga!

- Czytaj rękopis, mój chłopcze, a zrozumiesz.

Porwałem pracę „Epsilon” i nagle wszystko stało się dla mnie jasne. Zaraz na pierwszej stronie przeczytałem wyraz „awitaminozy”. Nigdzie ani słowa o leukaemii i promieniotwórczości.

- Co to znaczy? - wyjąkałem.

- To znaczy, że padliśmy ofiarą omyłki.

- Lecz przecież na okładce jest „Epsilon”.

- To właśnie jest najstraszniejsze.

- Oszukali nas! - wykrzyknąłem.

- Niestety, jeszcze gorzej - zamruczał bezradnie Trepka.

- Gorzej?

- Sami zostali oszukani.

- Nie było w ogóle pracy o białaczce! - wykrzyknąłem.

Trepka potrząsnął żałośnie głową.

- Była, ale los wypłatał nam okrutnego figła.

Czułem, że oblewa mnie zimny pot.

- Nie chcecie chyba powiedzieć... to nie znaczy chyba, że rękopis „Epsilon”...

- Niestety to znaczy, że rękopis „Epsilon” znajdował się w innej okładce.

- Zamieniono okładki? - wyjąkałem.

- Tak jest. Rękopis „Epsilon” znajdował się w okładkach „Zeta” i dlatego... dlatego, przyjacielu, został spalony.

Osunąłem się na krzesło. Przez kilka minut podłoga wirowała mi przed oczyma. Kiedy wstałem, w pokoju nie było już nikogo. Z łazienki dochodził plusk wody. Trepka brał prysznic. Czułem, że narasta we mnie gwałtowna niechęć do kapitana. Nie potrafił być nawet tragiczny! Ale gdzie Jonasz? Zerwałem się na równe nogi. Drzwi były otwarte, wpadłem do hallu. W półmroku zamajaczyła mi znajoma postać. Asystent zataczał się z butelką mamrocząc coś pod nosem. Był kompletnie pijany. W pierwszej chwili chciałem go trzepnąć, ale gdy pomyślałem, że wszystko już na nic, ręce mi opadły. Haniebny koniec! Co za haniebny koniec! Nie będzie wielkiej epepei! Nie będzie nawet materiału na dramat! Będzie tylko kryminalna groteskowa opowieść.

Wydałem się sam sobie już tylko śmieszny ze swoim przedwczesnym uniesieniem i marzeniami, nieszczęsny podporucznik milicji zaplątany między zdziwaczałego zwierzchnika a pijanego eskulapa. Śmieszny i niezgrabny do potęgi. Życie dało mi jeszcze raz po palcach. Zawsze będę miał pecha. Do śmierci.

I zamiast trzepnąć pijanego asystenta po gębie, wyrwałem mu z rąk butelkę i napełniłem kieliszek.

Była dziewiąta rano, kiedy zerwałem się przestraszony. Okazało się, że leżałem w ubraniu na kanapie w hallu. Czułem gorycz i pragnienie. Głowa łupała mnie solidnie. Pamiętałem wszystko, co zdarzyło się wczoraj, i byłem wściekły. Zdawałem sobie sprawę, że zachowałem się głupio i rozkleiłem się zupełnie. Stwierdziłem również, że bolało mnie to bardziej niż utrata rękopisu, i to stwierdzenie do reszty minie przygnębiło.

Poszedłem napić się wody do kuchni, a potem zajrzałem do pokoju profesora. Trepka siedział przy stole ogolony, świeżutki i różowy jak zwykle, a kapral Kajtus w kuchennym fartuchu podawał mu na tacy jaja na miękko i herbatę.

- A, jesteś nareszcie - powiedział na mój widok - twój stan psychiczny, Pawełku, napawa mnie troską. To prawda, że byłeś świadkiem smutnych scen, ale trzeba umieć przegrywać, mój chłopcze. Nasza praca to gra. Czasami główny numer nie wyjdzie. Ale przecież pozostała nam na pocieszenie dogrywka. Trzeba ująć mordercę.

- To znaczy kogo? - spojrzałem na niego ponuro. Trepka zakrztusił się jajkiem.

- Niestety, mój chłopcze, twoja ciekawość nie może być jeszcze zaspokojona. Musisz uzbroić się w cierpliwość.

Przygryzłem wargi.

- Jesteście pewni, że to nie Jonasz?

- Powiedziałem ci już. Jonasz nie jest mordercą, choć zapewne nie jest także kryształową postacią.

- Na czym opieracie to twierdzenie?

- Na tym, że ja znam nazwisko mordercy. Ale to nie jest konieczne, żeby wykluczyć autorstwo Jonasza w zabójstwie Mistrala. Gdybyś się zastanowił, mój chłopcze, sam doszedłbyś do podobnego wniosku. Przecież wczoraj miałeś próbkę jego zachowania się - Jonasz to człowiek słaby, psychastenik, osobnik tchórzliwy i nerwowy. Tymczasem sposób, w jaki morderstwo zostało popełnione, wskazuje, że jego autor był człowiekiem zimnym, odważnym i o żelaznych nerwach. Zwracam również twoją uwagę na inny niemniej ważny argument. Jonasz nie wiedział o tragicznej omyłce. Nie wiedział nawet dobrze, gdzie szukać rękopisu.

- Jaka więc jest w tym wszystkim rola Jonasza?

- Chciał po prostu wykorzystać okazję. Wbrew swoim kłamliwym zeznaniom, był dobrze poinformowany o istnieniu rękopisu „Epsilon”. Dlaczego zataił ten istotny fakt przed nami? Dlatego, że był zarażony tym, co w naszym żargonie nazywamy „okazjonizmem”. Chciał zarobić na śmierci profesora Mistrala. A nuż się uda? A nuż ani morderca, ani my nie zorientujemy się, że profesor ukrywał przed światem cenną pracę naukową? Jest gatunek ludzi praktycznie myślących, którzy okradania zmarłych nie uważają za nieuczciwość, wychodząc z założenia, że nikt na tym nie straci, nikomu nie stanie się krzywda, a oni zyskają. Więc czemu mieliby nie skorzystać? Jonasz chciał skorzystać. Gdyby wszystko poszło szczęśliwie, za rok lub dwa dowiedzielibyśmy się o genialnym odkryciu doktora Jonasza w dziedzinie walki z białaczką. Ale się nie udało. Spotkała go podwójna porażka. Wpada w naszą pułapkę, a w dodatku okazuje się, że w okładkach naznaczonych literą „Epsilon” nie ma spodziewanego rękopisu.

I tak ma szczęście, że natrafił na nas. Gdyby go tutaj przyłapał nasz dzielny Żurko, chłop miałby dużo trudności z wywikłaniem się spod zarzutu morderstwa. Myślę, że ta wpadka odoczy go radykalnie od popełniania okolicznościowych przestępstw. W tej chwili jest przerażony swoją zuchwałością i piekielnie boi się kompromitacji. Poza tym jest już zupełnie rozsądny i zastanawia się nad odpowiedziami na pytanie, które mu postawiłem, czyli gotuje się do generalnej spowiedzi.

Przyglądałem się Trepce z przykrym zdumieniem. Mimo że tyle razy zaskakiwał mnie swoim opanowaniem, to jednak w obecnej sytuacji jego zimna krew wydała mi się po prostu cyniczna.

- Nie wydajecie się zbyt stropieni utratą rękopisu, kapitanie - odważyłem się na gorzką uwagę.

Trepka flegmatycznie ocierał usta.

- Rozumiem twój żal, przyjacielu, lecz cóż chcesz, żebym robił. Dołączać rozpacz do nieszczęścia to pomnażać go jeszcze. Wierz mi, mój chłopcze, że chwila, gdy pojąłem tragiczną pomyłkę mordercy, była najczarniejszym momentem mojego życia. Lecz jestem stary i miałem czas nauczyć się stawiać czoło przeciwnościom losu. Gdy przegrywam, pytam tylko: „Czy z mojej winy?” Jeśli odpowiedź brzmi: „Nie”, staram się być spokojny.

- A... więc macie czyste sumienie - rzekłem z ironią.

- Czy sądzisz, że gdybym nie miał czystego sumienia, jadłbym tutaj o godzinie dziewiątej jaja na miękko? Nie, przyjacielu, nie było w naszej mocy zapobiec nieszczęściu. Kiedy dowiedzieliśmy się o istnieniu rękopisu „Epsilon”, było już za późno.

- Czy nie można się było dowiedzieć wcześniej?

- Cudów nie ma - mruknął Trepka. - Gdybym był jasnowidzem, nie pracowałbym za psie pieniądze w milicji, lecz otworzyłbym zakład okultystyczny. Gdyby profesor miał do nas zaufanie... prosiłem go przecież o to, Pawełku... Lecz on zataił przede mną istotny motyw, chociaż domyślał się go z pewnością. I to było fatalne dla niego i dla nas wszystkich. To dramat braku zaufania, mój chłopcze.

- Kapitanie - rzekłem - czy naprawdę nie macie już nadziei?... Może jednak ten rękopis...

- Nie! - przerwał mi Trepka. - Szaleństwem byłoby się łudzić. Mechanizm tej historii jest zbyt prosty.

Pochylił się nad biurkiem i przez chwilę kreślił coś na papierze.

- Spójrz na tę tabelkę. Profesor Mistral pracuje nad trzema dziełami jednocześnie, oznaczając je kolejnymi literami alfabetu greckiego. Oto one:

praca o awitaminozach - symbol „Delta”
praca o białaczce - symbol „Epsilon”
praca o agranulocytozie - symbol „Zeta”.

Prace „Delta” i „Zeta”, to jest prace o awitaminozach i agranulocytozie, nie miały dla niego większej wartości. Natomiast praca „Epsilon” była dziełem rewelacyjnym o nieocenionym znaczeniu naukowym. Profesor miał ją zamiar opublikować na światowym kongresie hematologów w Tokio. Jak wiemy, profesor nie dowierzał swemu otoczeniu; miał zresztą ku temu pewne podstawy! Bał się, że dzieło jego życia może mu zostać wydarte. Pracował więc w tajemnicy, nie dopuszczając do niej nawet najbliższych współpracowników. Ostatnie wypadki wzmogły jego podejrzliwość. Żeby zabezpieczyć dodatkowo rękopisy, wyjeżdżając do „Przystani Eskulapa” zamienia zawartość okładek. Proszę, spójrz, jak teraz wygląda rozmieszczenie dzieł - Trepka pokazał mi tabelę:

praca o awitaminozach - w okładce oznaczonej symbolem „Epsilon”
praca o białaczce - w okładce „Zeta”
praca o agranulocytozie - w okładce „Delta”;

- Zaraz - powiedziałem - ale na jakiej podstawie twierdzicie, że rozmieszczenie było akurat takie?

- Zapomniałeś o zeznaniu Macioszka. Macioszek zeznał, że okładka, którą znalazł w cieplarni, nosiła znak „Zeta”. W niej więc powinna była znajdować się praca o agranulocytozie. Tymczasem, jak wiemy, rękopis traktujący o agranulocytozie został podrzucony Jonaszowi i ukryty przez niego w karmniku. Ponieważ znaleziona dzisiaj trzecia okładka oznaczona literą „Epsilon” zawierała pracę o awitaminozach, wynika z tego jasno, że zniszczony rękopis znajdujący się w okładkach „Zeta” musiał być pracą o białaczce. Czy wszystko jasne?

- Tak - wykrztusiłem wstrząśnięty. - Ale dlaczego morderca zabrał wszystkie trzy rękopisy? Przecież chodziło mu tylko o pracę „Epsilon”.

- To była zbrodnia opracowana, że tak powiem, naukowo - wyjaśnił Trepka - zbrodnia, gdzie wszystko zostało przewidziane lub raczej miało być przewidziane. Mordercy chodziło rzeczywiście tylko o pracę „Epsilon”, ale dwa pozostałe rękopisy też miały spełnić pewną funkcję. Po pierwsze, morderca kradnąc je chciał stworzyć fałszywy motyw. Po drugie, podrzucając je Jonaszowi i Macioszkom chciał rzucić na nich oskarżenie.

Milczałem przez chwilę usiłując uporządkować swoje myśli.

- Jedno mi jeszcze wydaje się dziwne - powiedziałem - ukradziono wszystkie trzy rękopisy...
- Tak jest.
- Morderca miał więc chyba okazję zapoznać się z ich treścią. Czym więc wytłumaczyć tę katastrofalną omyłkę, że podrzucona zostaje właśnie praca „Epsilon”, ta, o którą mordercy chodziło?
- Niestety, przyjacielu - westchnął Trepka - akcja została tak przeprowadzana, że nie było czasu na studiowanie prac. Tu leżał słaby punkt całej operacji. Morderca zbyt zaufał okładkom. Kiedy się dowiedział o pomyłce, było już za późno.
- I skąd, u diabła, ten trzeci rękopis wziął się w „Izolatce”?
- Trepka zakaszłał.
- Za dużo chcesz wiedzieć, przyjacielu. Gdybym ci chciał wszystko wyjaśnić, musiałbym ci podać nazwisko zabójcy, a tego, jak wiesz, nie mogę zrobić.
- Dlaczego? - rzekłem urażony.
- Naucz się myśleć sam!
- Czy tylko dlatego? Czuję, że macie w tym jakiś specjalny cel.
- Być może - uciął Trepka.

Rozdział XXIX

Tego dnia po południu na Cmentarzu Powązkowskim odbył się pogrzeb profesora Mistrała z udziałem licznie zebranych przedstawicieli świata naukowego stolicy oraz rzesz studenckich. Stawili się także w komplecie nasi znajomi z „Przystani Eskulapa”, wnosząc do żałobnych obrządków niezdrowy nastrój sensacji. Sam fakt, że w pogrzebie bierze udział zabójca, nadawał uroczystości jakiegoś makabrycznego charakteru. Niskie, ciężkie chmury i deszcz pogłębiały jeszcze ponurą atmosferę.

Staliśmy z Trepką pod parasolem i z daleka obserwowaliśmy przebieg żałobnych egzekwii. Sądziłem, że Trepka wykorzysta sposobność, by zbliżyć się do towarzystwa z „Przystani”, kapitan zachował jednak niezrozumiały dla mnie dystans i ograniczył się do wymiany ukłonów. Nie pozwolił mi nawet zamienić kilku słów z Halinką i jeszcze przed końcem obrządków opuściliśmy cmentarz.

W drodze powrotnej zapytałem go, kiedy zamierza dokonać aresztowania mordercy.

- Wstrzymamy się z tym do soboty - usłyszałem lakoniczną odpowiedź.
- Do soboty? - zdziwiłem się.
- Niestety - powiedział Trepka - muszę jeszcze przeprowadzić pewien mały eksperyment.

Byłem zaskoczony.

- Mówiliście, zdaje się, że dochodzenie jest już ukończone i znacie nazwisko zabójcy.
- Tak jest, przyjacielu. Dochodzenie jest już zamknięte - mruknął Trepka.
- O cóż więc jeszcze chodzi?
- Chcę się pokusić o efektowny dowód *ad oculos*. To znakomicie uprości akt oskarżenia. Jest jeszcze drugi powód: - dodał po chwili - uczciwy matematyk sprawdza rozwiązanie.

Kiedy w sobotę rano zadzwoniliśmy do „Izolatki”, okazało się, że wszyscy mieszkańcy wyjechali do „Przystani Eskulapa”.

- Doskonale - powiedział Trepka. - Możemy przystąpić do ostatniej akcji.

Zrozumiałem wtedy, dlaczego Trepka wyznaczył termin na sobotę. Z pewnych powodów chciał, by epilog rozegrał się w „Przystani”.

Dalsze wypadki potoczyły się szybko. O godzinie dziesiątej byliśmy na miejscu. Pierwszą osobą, którą napotkaliśmy, była Halinka. „Dobra wróżba” - pomyślałem.

Szła ścieżką do altany, prowadząc za rączki dwoje najmłodszych Macioszczaków. Na nasz widok przystanęła i pomachała nam ręką.

- Miła dziewczyna - powiedział Trepka z ojcowskim uśmiechem. - Cóż, nie przywitasz się z nią, Pawełku?

Zmieszany, wyskoczyłem z wozu i podbiegłem do Halinki.

- Dlaczego pani cały czas siedziała tutaj? Dlaczego pani nie wróciła do Warszawy? Czekałem na panią, Halinko.

- Byłam na pogrzebie, ale pan nawet mnie nie zauważył - uśmiechnęła się z lekkim wyrzutem. - Pomyślałam sobie, że mam wartość dla pana tylko jako obiekt śledztwa.

- Ależ, Halinko, jak pani może... - wyjąkałem.

Patrzyliśmy chwilę na siebie nadąsani, a potem roześmialiśmy się jak dzieci.

- Nie odpowiedziała mi pani na moje pytanie - odezwałem się wreszcie - co panią trzymało tak długo w „Przystani”?

Halinka podniosła na mnie wielkie, strwożone oczy.

- Bałam się - szepnęła.

- Czego?

- Widzi pan... nikt z nas nie brał poważnie tego, co mówił kapitan przy pożegnaniu. Baliśmy się zasadzki. Myślałam, że kiedy wyjadę, będę śledzona. Nie mogłabym tego znieść. Niech pan pomyśli, cały czas wiedzieć, że ktoś mi depce po piętach, podpatruje każdy mój ruch. Och, to byłoby okropne! Tutaj przynajmniej miałam spokój.

- Więc tylko dlatego - rzekłem rozczarowany.

- Poza tym - spuściła oczy Halinka i zawahała się - nie chciałam panu psuć opinii.

- Mnie? Ależ, Halinko!

- Przez te dni myślałam o nas. Dużo myślałam. I doszłam do wniosku, że zachowywaliśmy się jak dzieci. To nie było miejsce ani czas na miłość. Zarówno ze względu na pana, jak i na mnie. Pańscy zwierzchnicy mogliby zupełnie fałszywie zrozumieć to, co nas łączy... Czy... czy nie dano panu tego odczuć?

- Nie, skąd - rzekłem bez przekonania, przypominając sobie nacechowane rezerwą zachowanie Trepki w ostatnich dniach.

- Byłoby mi strasznie przykro, gdybym zaszkodziła panu.

- Niech pani będzie spokojna, kapitan wie o wszystkim, otrzymałem na to jego specjalne zezwolenie - próbowałem się uśmiechnąć.

Halinka zmieszała się. Było jej z tym bardzo do twarzy. Czuję, że krew zaczyna mi pulsować gorączkowo. „Do licha, trzymaj się, Paweł! Nie jesteś jej obojętny - pomyślałem sobie - niech cię diabli wezmą, ale zdaje się, że z tej całej historii ty jeden wyjdiesz wygrany!”

- Halinko - powiedziałem - muszę pani powiedzieć coś ważnego. Śledztwo się kończy, nadszedł czas, byśmy porozmawiali poważnie.

- Nie teraz - przestraszyła się - potem... kiedy będę już poza... poza tą straszną sprawą. Teraz trzeba szybko działać, pomóc kapitanowi.

- Pomóc kapitanowi? W czym pani mu może pomóc, Halinko?

- Może... będę mogła. Na wiele rzeczy patrzę teraz inaczej.

- O co chodzi? - rzekłem zainteresowany.

- Potem... potem panu powiem... chodźmy już...

Od stromy domu zbliżał się Zapłon.

- Kapitan Trepka prosi wszystkich do hallu - uśmiechnął się do nas obleśnie.

Trepka miał bardzo oficjalną minę.

- Opuszczając „Przystań” przed paru dniami - powiedział - liczyłem na to, że wkrótce przyjadę obwieścić państwu szczęśliwe zakończenie i dopełnić formalności ujęcia

zbrodniarza. Niestety w tym czasie ujawniły się nowe, tragiczne aspekty sprawy. Panowie, panie, spojrzymy prawdzie w oczy. Staję przed wami jako zwiastun klęski. Od pewnego już czasu gra toczyła się o inną, ważniejszą stawkę niż o wymierzenie sprawiedliwości zabójcy. Popelniono tu zbrodnię nie tylko przeciw jednostce. Popelniono tu zbrodnię przeciw ludzkości. Zniszczono dzieło nieobliczalnej wartości.

- O czym pan mówi? - przerwał nerwowo Kasica.

- O rękopisie „Epsilon”.

- „Epsilon!” - wykrzyknął profesor - a cóż to takiego?

- Kapitalne odkrycie profesora Mistrala w dziedzinie walki z białaczką.

Zapanowała chwila ciszy. Zebrani patrzyli po sobie zdezorientowani i podnieceni. Ale nikt się nie odezwał.

- Nie jestem kompetentny, by wyjaśnić państwu wartość dzieła - rzekł Trepka - dlatego poprosiłem doktora Jonasza, by pokrótce zapoznał państwa z naukowym znaczeniem pracy. Proszę, doktorze.

Jonasz otarł czoło chusteczką. Był blady jak ściana. Jąkając się, zaczął w terminach naukowych tłumaczyć, ma czym polegała rewelacyjna wartość odkrycia.

- To bluff - przerwał mu bezczelnie Zapłon. - Po co ta komedia? Nie nabierze nas pan na to, kapitanie. To są wasze kryminalistyczne sztuczki.

Zapanowało małe zamieszanie.

- To dziwne, że to właśnie pan nie wierzy - powiedział Trepka.

- Proszę o dowody - zaśmiał się Zapłon. - To są fantastyczne historyjki. Pan musiał nacytać się różnych bzdur z biblioteki *science fiction*.

- A gdybym panu przedstawił dowody?

Zapłon stropił się i spojrzał podejrzliwie na Trepkę.

- Proszę bardzo - Trepka wyciągnął ostentacyjnie zegarek - za pół godziny wszyscy będą już wiedzieć. Państwo muszą o tym wiedzieć dodał surowo. - Klęska, którą ponieśliśmy, nie jest tylko moją klęską. Jest przede wszystkim waszą klęską. Klęską nauki. Po co ja państwu o tym mówię? Po to, żeby zostało uratowane to, co się jeszcze da uratować. Żeby zostało uratowane wasze dobre imię - Trepka zrobił małą pauzę. - Ja mam dowody. Potrzebuję tylko jeszcze jednego dnia, aby wskazać nazwisko sprawcy. I wskażę go. Wiem, jak go szukać i jak go określić, nawet gdybyście wciąż jeszcze milczeli. I nie potrzebuję prowadzić dodatkowych dochodzeń. Sądzę jednak, że wasz udział w tej sprawie jest potrzebny. Jest potrzebny nie dla mnie, dla was. Dla waszych sumień. Dlatego po raz ostatni apeluję o bezwzględną szczerłość. Odgroźcie się, państwo, od tej zbrodniczej jednostki, która jest wśród was! Wybiła godzina, żeby mówić prawdę.

Rozumiem, że możecie się krępować zeznawać w całym gronie. Dlatego urządzimy to dyskretnie - Trepka znów spojrzał na zegarek - za pięć minut będę państwa kolejno prosił do laboratorium na małe konferencyjki. Ja powiem państwu, co ja wiem, a państwo zeznacie prawdę. To jest ostatnia wasza szansa.

To mówiąc Trepka przeszedł do laboratorium. Ruszyłem za nim zdezorientowany. Kiedy zamknęliśmy drzwi, zapytałem cicho:

- Co to ma znaczyć, kapitanie? Powiedzieliście, że dopiero jutro będziecie znać nazwisko przestępcy...

- Tak trzeba było - powiedział - to mały chwyt, sądzą, że wybaczysz mi, mój chłopcze, tę drobną nieszczerłość.

- Czy wasz apel do sumień też był tylko chwytem?

- Przyjacielu, czyż uważasz mnie za cynika? - zakaszłał Trepka. - Mój apel był szczerzy i wpływał z mojej humanistycznej natury.

- Liczycie, że ich zeznania uproszczą sprawę?

- Nie. Nie liczę na żadne zeznania. Z tej prostej przyczyny, że oni raczej nic już ciekawego nie mogą mi powiedzieć.

- Po co więc to wszystko?

- Powiedziałem już, że robię to dla nich. Chcę im zostawić złudzenie, że w czymś przysłużyli się sprawie. Wydaje mi się to konieczne dla ich moralności jako naukowców. Dla ich samopoczucia.

- Kapitalne! - zadrwiłem.. - Ale nie wmówicie we mnie, że przyświecał wam tylko ten bezinteresowny cel.

Trepka chrząknął.

- Istotnie, przyjacielu, masz rację. Nie byłem zupełnie bezinteresowny... Przykro mi, ale wciąż nie mogę się zdobyć na czystą bezinteresowność.

- A więc macie w tym drugi cel?

- Mam.

- Jaki?

Zamiast odpowiedzieć Trepka zaczął zdradzać wybitne zainteresowanie czystością ubrania i strzepywać niewidoczny pyłek z marynarki. Zrozumiałem, że już się niczego więcej od niego nie dowiem.

Urażony, opuściłem laboratorium, gdzie wkrótce miała się zacząć komedia ostatnich przesłuchań.

Rozdział XXX

Chwilę marudziłem w hallu, potem wyszedłem do ogrodu odetchnąć świeżym powietrzem. Rzecz jasna, cały czas myślałem o sprawie, a ściślej mówiąc, o moim udziale w śledztwie. Bilans był dla mnie wybitnie niekorzystny. Nie odznaczyłem się niczym. Niby uczestniczyłem w wydarzeniach, Trepka niby nie ukrywał przede mną żadnych faktów, a jednak czułem, że znajduję się na uboczu. Trepka nie chciał mi zdradzić najważniejszego - wniosków, jakie wyciągał ze swoich odkryć, i chociaż dochodzenie weszło w ostatnie stadium, wyraźnie odsunął mnie od udziału w rozwiązaniu tej całej historii. Tak więc na pięć minut przed zakończeniem wiedziałem, że nic nie wiem. Sokrates uważał podobno, że to już dużo, ale ja byłem innego zdania. To mnie cholernie upokarzało.

- Paweł - usłyszałem znajomy głos koło siebie. Odwróciłem się i zobaczyłem Halinkę.

- Już po przesłuchaniu? - zapytałem.

- Tak! Pocałuj mnie, Paweł - po raz pierwszy zwróciła się do mnie po imieniu - to jest nasz wielki dzień. - Była jakoś radośnie podniecona.

Serce zabiło mi niespokojnie.

- Co się stało?

- Mam ci coś ważnego do powiedzenia, ale musisz mi przyrzec, że nikomu nie powiesz.

Patrzyłem na nią oszołomiony.

- O co chodzi, Halinko?

- Ta historia skończy się zupełnie inaczej, niż kapitan myśli.

- Nie rozumiem.

- Słuchaj - wzięła mnie za rękę - czy ta sprawa jest dla ciebie bardzo ważna?

- Chyba tak - rzekłem zdumiony.

- Ale dla ciebie osobiście. Czy daje ci... no... jakąś szansę życiową?

- No, raczej nie. Mój udział był tu zupełnie skromny.

- Będzie inaczej! - powiedziała z zapalem Halinka.

- Nie rozumiem.

- Finisz będzie należał do ciebie. Rozumiesz. Ty się najbardziej odznaczysz.

- Co ty wygadujesz, Halinko!

- Przyrzeknij tylko, że nikomu się nie wygadasz, choć przez dwie godziny. Że nie dasz sobie wydrzeć zwycięstwa.

- Zwycięstwa?

- Chodzi o to, żeby cała zasługa była po twojej stronie. Rozumiesz, tylko po twojej.

Przyrzeknij.

- Jeśli to nie będzie niezgodne z obowiązkami służby, mogę przyrzec, ale o co chodzi?

- Mówiłam ci: chodzi o to, że ta sprawa skończy się zupełnie inaczej, niż myśli kapitan.

- Inaczej? W jakim sensie?

- Praca „Epsilon” nie przepadnie.

Drgnąłem.

- Oszalałaś chyba! Przecież została spalona.

- Tak. Została spalona, ale Trepka nie wie o jednym: że istnieją fotokopie.

- Fotokopie? - wykrzyknąłem.

- Posłuchaj. Zaraz ci wszystko wyjaśnię. Tydzień przed śmiercią, zaraz po tym pierwszym zamachu, profesor Mistral kazał mi zadzwonić do Protasiuka, że przyjedzie w niedzielę w sprawie fotokopii. Protasiuk to taki nasz nadworny fotograf w Piasecznie - uśmiechnęła się. - Na drugi dzień wyjechaliśmy do „Przystani”. Profesor wysiadł w Piasecznie przed zakładem Protasiuka, a mnie kazał jechać do domu. Nie zjawił się na obiad. Niepokoił się, co się z nim stało. Zadzwoniłam do Protasiuka. Protasiuk powiedział, że profesor będzie zajęty do wieczora. Cała ta historia zupełnie mi wywietrzała z głowy. Dopiero teraz, kiedy kapitan mówił o pracy „Epsilon”, przyszło mi na myśl... że może chodziło o fotokopie tej rozprawy o białaczce.

- Istotnie - rzekłem podniecony - to jest kapitalna poszlaka.

- Paweł, cieszysz się?

- Tak - szepnąłem czując, że wstępuje we mnie nowy duch. - Lecz w takim razie profesor powinien mieć te fotokopie. Tymczasem nie znaleziono ich u niego.

- Mógł je zabrać morderca - zauważyła rozgorączkowana Halinka.

- Racja - przyznałem.

- Wiesz, co mi się zdaje - powiedziała Halinka - że to zniszczenie oryginału to mogła wcale nie być omyłka mordercy, może on naumyślnie chciał zniszczyć oryginał, żeby wszyscy myśleli, że praca nie istnieje i żeby mógł bezpiecznie przywłaszczyć sobie fotokopie.

- Halinko - spojrzałem na nią z podziwem - to wcale nie jest takie głupie. Lecz to by znaczyło, że fotokopie są w rękach mordercy. A jeśli tak, to zdążył je ukryć, może je nawet zniszczył ze strachu.

Halinka patrzyła na mnie zmartwiona. Nagle rozjaśniła się.

- Słuchaj, przecież w najgorszym razie powinny zostać negatywy.

- Racja - powiedziałem - powinny być negatywy u fotografa.

- Paweł, musisz tam zaraz jechać.

- To jest myśli!

Zrobiłem krok w kierunku domu i znów opadły mnie wątpliwości.

- To nie jest takie proste - mruknąłem. - Protasiuk wie o zamordowaniu profesora.

Wszyscy już wiedzą.

- Więc co? - zapytała Halinka.

- Czy to jest człowiek uczciwy?

- Chyba tak.

- Widzisz, gdy dowie się, że ma do czynienia z milicją, może się bać. Może się wyprzec wszystkiego... Mógł się dowiedzieć o wartości negatywów. Może będzie chciał na swój sposób skorzystać. Lękam się poszkąpić tę sprawę. Tu trzeba działać ostrożnie.

- A przede wszystkim szybko - powiedziała Halinka - o dwunastej Protasiuk zamyka zakład. Za dużo filozofujesz.

- Mam myśl - powiedziałem. - Czy Protasiuk zna cię dobrze?
- Owszem.
- Wie, że byłaś laborantką Mistrala?
- Oczywiście.
- Wobec tego pojedziesz ze mną.
Halinka była wystraszona.
- Czy to konieczne?
Uśmiechnąłem się.
- Gdzie diabeł nie może, tam kobietę pośle. Spróbujesz obłaskawić Protasiuka.
Oczywiście pod moją osłoną.
Pospiesznie wyprowadziłem wóz.
- Gdyby kapitan pytał o mnie, jestem w Piasecznie w sprawie nie cierpiącej zwłoki u fotografa Protasiuka - rzekłem do wywiadowcy w bramie.

Zakład Protasiuka mieścił się na rynku. Zatrzymałem samochód na sąsiedniej ulicy.
- No, więc co, Paweł? - zapytała zadyszana Halinka, gdy znaleźliśmy się przed drzwiami zakładu.
- Nic, wchodź.
- Zaczekasz tu?
- Jasne.
- Jeśli się będzie wypierał, pomożesz?
Skinąłem głową.
- Teraz się wszystko rozstrzygnie - powiedziała przełykając ślinę - ale wiesz, mam tremę. Nie wiedziałam, że to takie emocjonujące.
Pocałowała mnie szybko i zniknęła za drzwiami.
Czekałem niecierpliwie, oglądając na wystawie fotografie napuszonych ślubnych par i tłustych bobasów. Przez szybę widziałem, jak Halinka rozmawiała z fotografem. Minutę później wysunęła główkę przez drzwi. Serce mi zabiło niecierpliwie.
- Paweł, jesteś?
- No, jak idzie? Są?
- Są - szepnęła podniecona Halinka - schodzimy na dół do archiwum, poczekaj cierpliwie mały kwadransik.

Czas dłużyl mi się niesamowicie. Najpierw zacząłem się przechadzać po ulicy, potem podszedłem do kiosku kupić papierosy. Kiedy się odwróciłem, zauważyłem ze zdumieniem wóz profesora Kasicy wolno skręcający w boczną ulicę.

Moje zdumienie wzrosło, gdy zobaczyłem Zapłona. Na mój widok cofnął się. Wyraźnie skrył się za słupem z ogłoszeniami.

- Czemu się pan czai, doktorze?

Miał dosyć głupią minę.

- Ja?... czaić się...

- Co pan tu robi właściwie?

- Nic. Spaceruję. A pan? - zapytał mnie bezczelnie.

- Ja też spaceruję - wycodziłem patrząc na niego badawczo.

Zapłon zaśmiał się jakoś nieprzyjemnie.

- No to... no to powodzenia - mrugnął do mnie szelmowsko okiem.

Jego obecność tutaj wydała mi się mocno podejrzana. Postanowiłem nie spuszczać go z oczu. Oglądając się za siebie wróciłem pod zakład. Zapłon nie próbował się już kryć i spacerował tam i z powrotem po trotuarze. Spojrzałem na zegarek. Minęło już blisko pół godziny, odkąd Halinka zniknęła. Zacząłem się niecierpliwić, ale poczekałem jeszcze pięć minut. Potem wszedłem do środka. Drzwi były otwarte, ale w zakładzie nie było nikogo.

Odchyliłem zasłonę. Pusto. Nieprzyjemny dreszcz przeszedł mi po skórze. Zrozumiałem, że dzieje się coś niedobrego. Przypomniałem sobie lęk Halinki, dziwne zachowanie się Zapłona. Zdjął mnie strach. Halinka mówiła o zejściu do magazynu. Więc chyba do jakiejś piwnicy. Rozglądałem się dookoła po zakamarkach, ale stąd nie było żadnych schodów na dół.

Szarpnąłem następne drzwi. Były zamknięte. Zastukałem. Nikt nie odpowiadał.

- Halinko! - zawołałem.

Zupełna cisza. Na czoło wystąpił mi zimny pot. Serce łomotało w piersiach. Nie namyślając się wiele wziąłem rozpęd i uderzyłem w drzwi. Za słabo. Rąbnąłem drugi raz. Rozległ się trzask. Zamek nie ustąpił, ale środek drzwi wyleciał. Na szczęście był z dykty. Wlaziłem przez dziurę i znalazłem się w jakiejś mrocznej izbie, przesiąkniętej dusznym odorem chemikalii.

- Halinko! - krzyknąłem znowu.

Znów odpowiedziała mi cisza. Drżącą ręką namacałem kontakt przy drzwiach i zapaliłem światło. Rozejrzałem się gorączkowo. I tu nie było żadnego zejścia do piwnicy, natomiast zobaczyłem coś, co zmroziło mi krew w żyłach. W kącie leżało bezwładne ciało brodatego człowieka. Dopadłem do niego. Żył. Pierś unosiła się słabym oddechem... W tyle głowy wielki krwiał od uderzenia tępym narzędziem. Przeszukałem go. W portfelu znalazłem kilkadziesiąt złotych i dowód na nazwisko Protasiuk.

Wstrząśnięty, rozejrzałem się dookoła. Dopiero teraz zauważyłem nieład, jaki panował w pomieszczeniu. Pootwierane szafy, powyciągane szuflady i otwarta kasa pancerna.

Najbardziej ponure myśli przebiegały mi przez głowę. Zasadzka! Porwano Halinkę! Skradziono negatywy! Wypadłem do małej sieni, a stamtąd na puste podwórze. Przebiegłem jeszcze jakąś sień i znalazłem się na ulicy.

Chciałem krzyczeć, ale zatrzymałem się oszołomiony. Tu było zupełnie spokojnie i nic się nie działo.

Jakaś przekupka siedziała nieruchoma przy koszach sałaty, marchwi i rzodkiewki. Obok dziecko wpatrywało się milcząco w lalkę. W dali widać było wielkie jaskrawe parasole przy stolikach przed małą cukiernią.

Uderzyła mnie senność i nierealność tej sceny. Raptem dojrzałem Zapłona.

Stał na rogu bokiem do mnie i palił papierosa. Podbiegłem do niego i złapałem go za ramię.

- Dostyc tej gry! - krzyknąłem.

- Panie, czy pan oszalał? - uśmiechnął się Zapłón.

- Nie róbcie ze mnie wariata. Tam leży człowiek z rozwaloną głową.

- Gdzie? - zapytał spokojnie doktor.

- U fotografa.

- Dobrze, biegnę dzwonić na pogotowie - szarpnął się gwałtownie, ale nie puściłem go z rąk.

- Nie wymknie się pan tak łatwo! - bełkotałem. - Gdzie panna Stor? Coście z nią zrobili?

- Panna Stor - Zapłón odwrócił leniwie głowę i pokazał za siebie - panna Stor jest tam, pod parasolem.

Wytrzeszczyłem ze zdumienia oczy. Istotnie Halinka siedziała przy stoliku przed kawiarnią, a obok niej... Obok niej zobaczyłem Trepkę we własnej osobie.

Podszedłem do nich oniemiały.

- Kapitanie... - wykrztusiłem patrząc to na niego, to na Halinkę.

- Co się stało, Pawełku? - Trepka flegmatycznie odwrócił się do mnie - siadaj!

Usiadłem machinalnie. .

- Kapitanie, wy tutaj z Halinką?... - wyjąkałem.

- A bo co?

- Nie bardzo rozumiem...
- Dlaczego, przyjacielu? - powiedział spokojnie Trepka - owszem jest może trochę za chłodno... ale przyjemnie... Siedzimy sobie na świeżym powietrzu, pijemy kawkę i gawędzimy, jak przystało na starych dobrych znajomych. Cóż robić w takie senne południe w małym miasteczku... kiedy się czeka?
- Patrzyłem na niego osłupiały.
- Czeka? Na co?
- Na samochód.
- Wyjeżdżacie?
- Za chwilę - powiedział Trepka.
- A morderca?
- Siedzi przy tobie, mój chłopcze.

Rozdział XXXI

- Zerwałem się z miejsca.
- Co to ma znaczyć!... Jeśli to żart, to w mizernym stylu.
 - Ja nie żartuję, przyjacielu.
 - Nie... to nonsens! - roześmiałem się nerwowo - Halinka mordercą? Ależ oczywiście, że żartujecie!
 - Dlaczego, przyjacielu? Że ten parasol i stolik, i kawa? Nie pracujemy przecież przy stałych dekoracjach. Zresztą zdaje mi się, że ta dekoracja jest w stylu całej naszej sprawy i to mnie cieszy, gdyż lubię stylowe rozwiązania.
 - Niesamowite - szepnąłem - ten spokój...
 - A cóż ty byś chciał? Ruch, wrzaski, przewracanie stołków, szamotanie i kajdanki. Fe, co za brzydki obraz! Jaką ty masz zaśmieconą wyobraźnię, Pawełku. Ludzie kulturalni nie potrzebują tego. Można grzecznie, spokojnie, do końca pod parasolami przy kawie. Prawda, panno Halinko?
 - Halinka uśmiechnęła się blado, patrząc gdzieś ponad naszymi głowami.

- Byłem jak człowiek martwy. Jak przez mgłę widziałem, że przyjechała nasza milicyjna buda, wysiadł z niej porucznik Filip z plutonowym Drabkiem i zabrali Halinkę.
- To wszystko, co się stało, było zbyt nagle i niespodziewane, bym mógł pojąć. Po głowie tłukły mi się bezradne pytania. Dlaczego? W jaki sposób? Jak to było możliwe? I czułem tylko, że spadła na mnie klęska podwójna i haniebna.
- Trepka patrzył na mnie ze współczuciem, i chrząkając i bębniąc palcami na przemian.
- Niestety, przyjacielu, ten zabieg był konieczny. Sam teraz rozumiesz.
 - Nic nie rozumiem...
 - Równanie sprawdziło się... to właśnie chciałem zrobić. Potrzebowałem małego dowodu *ad oculos*. Mówiłem ci o tym. To bardzo dobrze wpłynie na dalszy bieg sprawy. Sędziowie nie zawsze znają się na naszych subtelnościach. Wolą mieć dowód *ad oculos*. I ty, mój chłopcze, też musisz mieć dowód *ad oculos*, żebyś przejrzał. Po co mają cię dręczyć jakieś złudzenia natury sentymentalnej. Zrobiłem to dla spokoju twojej duszy, Pawełku.
 - Spojrzałem na niego błędnym wzrokiem.
 - Więc tę całą historię zainscenizowaliście po to...
 - Po to, żeby przestraszyć i wypłoszyć naszą mysz spod miotły - uśmiechnął się Trepka.
 - Chciałem, żeby uciekała. Na mojej małej konferencji powiedziałem jej dużo ciekawych rzeczy o tym morderstwie i o niej i osiągnąłem skutek, przyjacielu. Zrozumiała, że nie ma co zwlekać, że gra skończona i dała drapaka wykorzystując swój ostatni atut, to znaczy ciebie. Wymyśliła na poczekaniu zręczną historię z negatywami fotokopii u fotografa, na co dałeś się szczęśliwie nabrać. Tym sposobem udało jej się pod twoją eskortą bezpiecznie i szybko

opuścić „Przystań Eskulapa”, a następnie, gdy ty czekałeś pod drzwiami frontowymi, wyjść przez podwórze, złapać taksówkę na postoju i wyjechać.

Na szczęście, przyjacielu, ja od samego początku patronowałem waszym szlachetnym poczynaniom, i to przy bezinteresownej pomocy doktora Zapłona. Wszystkie drogi były kontrolowane i ostatnia podróż Halinki skończyła się na rogatkach. Najbardziej mnie ucieszyło, że miała przy sobie komplet fałszywych dowodów. Jeśli cię to interesuje, mój chłopcze, to aresztowaliśmy ją już jako panią Elżbietę Nowak.

Nie przewidziałem tylko w najśmielszych swoich wyobrażeniach, że to dziewczę potrafi jeszcze przy sposobności ogłuszyć i obrabować fotografa. Wszak mówisz, mój przyjacielu, że fotograf Protasiuk został ogłuszony?...

Musiałem mieć minę bardzo ponurą, bo Trepka przerywał i przyglądał mi się z troską.

- Przyjacielu... masz, widzę, żal... O co ci chodzi, mój chłopcze.

- Dlaczego pozwoliliście, żebym do końca robił z siebie błazna.

- To należało do gry. Nie rozgrywałem jej z tobą, lecz ze zbrodniarzem... I w końcu nie widzę, w czym by tu twój honor ucierpiał.

- Piekielny świat! - zakląłem.

- Przyjacielu, weź się w garść i zostaw innym sąd nad światem.

- Tak jest, kapitanie - zacisnąłem zęby - mam nadzieję... że teraz, kiedy już wszystko skończone, odkryjecie mi swoje karty.

- Oczywiście, mój chłopcze. Sprawa jest w gruncie rzeczy bardziej prosta, niż się na pozór wydaje. Od początku brałem pod uwagę Halinkę. Stanowisko laborantki dawało jej specjalne możliwości. To prawda, że została zaangażowana stosunkowo późno. Praca wyszła już wtedy ze stadium doświadczeń laboratoryjnych i profesor sprawdzał swoje odkrycie klinicznie w prowincjonalnych szpitalach, przypuszczam jednak, że Halinka miała okazję poszperać w jego rękopisach i korespondencji. I wtedy wylął się w jej ambitnej główce zbrodniczy plan. Cóż chcesz, przyjacielu, gra była warta ryzyka. Przywłaszczenie takiego dzieła...

- Sądzicie, że mogła je sobie przywłaszczyć? - zapytałem z niedowierzaniem - ależ w jaki sposób? Nie miała przecież nawet stopnia doktorskiego!

- Miał go za to Michał Kasica.

- Michał Kasica?! - wykrzyknąłem.

- Michał Kasica był jej współnikiem, przyjacielu. A przypuszczam także, że i małżonkiem *in spe*. Za granicą mogli się podać za młodych naukowców z instytutu hematologicznego. Nie wiem, czy by im się to udało. W najgorszym razie pozostawało im jedno wyjście: sprzedaż pracy Mistrała. Są kraje, gdzie odkrycie naukowe jest towarem. Można je sprzedać i kupić. Czy wyobrazasz sobie, jakie kuszące perspektywy odsłaniała przed młodą parą zyskowna sprzedaż takiego dzieła?

- Czy jednak do tego wszystkiego konieczne było morderstwo? - zapytałem. - Profesor trzymał przecież dzieło w tajemnicy. Czy nie wystarczyło więc po prostu skraść je, sporządzić fotokopię.

Trepka potrząsnął głową.

- Gdyby profesor żył, z pewnością dochodziłby praw autorskich do dzieła, gdziekolwiek byłoby opublikowane. Mógł z tego wyniknąć skandal i sprawa karna. Niewątpliwie jednak istotniejszy był fakt, że profesor odlatywał za parę dni do Tokio i miał zamiar ogłosić swoje odkrycie na międzynarodowym zjeździe. To by zupełnie pokrzyżowało Halince plany. W tej sytuacji zapadła decyzja morderstwa. Trzeba przyznać, że morderstwo to zostało obmyślane zręcznie i przygotowane w najdrobniejszych szczegółach.

Otrucie ma to do siebie, przyjacielu, że moment śmierci ofiary nigdy prawie nie pokrywa się z momentem dokonania zbrodniczej czynności, to jest podsunięcia trucizny. Stąd zabójca ma prawie zawsze alibi. W naszym wypadku komplikował jeszcze sprawę niejasny

motyw zbrodni i niejasny sposób zaaplikowania ofierze cyjanku. Od razu wyłoniła się na przykład kwestia, czy trucizna była w proszku czy w wódce.

Ale rozpatrzmy rzecz po kolei.

Halinka postanowiła wykorzystać maleńką słabość profesora. Mistral miał zwyczaj wypijać przed snem kieliszek czegoś mocnego. Nie wiem dokładnie, jak to wyglądało w „Izolatce”, w każdym razie w „Przystani” Macioszkowa co wieczór o dziesiątej przynosiła mu do pokoju pół szklaneczki wiśniaku. Był to zwyczaj stale i skrupulatnie przestrzegany.

- Więc jednak cyjanek był w karafce - westchnąłem.

- Tak jest - powiedział Trepka - twoja hipoteza była słuszna, szkoda, że dałeś się potem zasugerować Żurce.

- Zniknięcie wódki, zatkany zlew, kubel, otrucie psów - uśmiechnąłem się gorzko.

- Wystarczyło tylko skojarzyć te fakty i trzymać się ich mocno. Halinka wychodząc do apteki wsypała truciznę do karafki, a wracając wylała zatrutą wódkę i nalała zwykłego wiśniaku.

- I dlatego gdy Macioszek o pół do dwunastej, popił sobie z karafki, nie mógł się już zatruć - dodałem.

- Nie inaczej, mój chłopcze. Ponieważ zlew był zatkany, Halinka wylała zatrutą wódkę do kubła. A to miało wiadome konsekwencje.

- Zaraz - powiedziałem - przecież w szklance profesora w pokoju znaleźliśmy wodę, a profesor Mistral nie mógł jej tam nalać.

- Słusznie, profesor nie. Ale mogła to zrobić z powodzeniem Halinka - powiedział Trepka.

- Wtedy, kiedy o jedenastej weszła zrobić zastrzyk?

- Tak, mój chłopcze. To było bardzo zręczne z jej strony. Na tym zagranju położył się właśnie nasz dzielny Żurko.

- I dlatego myśleliśmy, że trucizna była w proszku przyniesionym przez Jonasza!

- O to jej właśnie chodziło. Potrafiła zresztą przygotować i inne fałszywe poszlaki. Jako kozła ofiarnego upatrzyła sobie doktor Protoklicką i na nią chciała zrzucić główne podejrzenia. Dlatego przesyłała cyjanek do słoika, na którym były odciski palców Protoklickiej. I dlatego umieściła odrobinę trucizny w jej pudernicze. Nie przedstawiało to dla niej żadnej trudności, bo Protoklicka nieraz zostawiała puderniczkę we wspólnej łazience. Reszty dokonały okoliczności, które, jak wiesz, ułożyły się dla niej pod tym względem dość korzystnie. Podejrzenia padły niemal na wszystkie osoby.

- A jednak z tą wódką to była ryzykowna robota.

- Ryzyko nie było takie duże, jak ci się zdaje. Pamiętaj, że po zmyciu naczyń po kolacji, to znaczy około pół do dziewiątej, kuchnia już była pusta. Macioszkowa wracała dopiero koło dziesiątej, by zanieść Mistralowi wiśniak. Całe zaś towarzystwo gromadziło się zwykle po kolacji w hallu na górze, z wyjątkiem Mistrala, który szedł od razu do swojego pokoju. Sprawa klucza też już chyba jest dla ciebie jasna?

- Zabrała go, żeby nikt nie zamknął drzwi profesora i żeby mogła tam wejść w nocy i zabrać rękopisy. Dlaczego jednak potem wrzuciła go do kompotu? To wyglądało na jakiś głupi żart.

- To było w jej stylu, podobnie zresztą jak ta niesamowita przesyłka z pistoletem zaadresowana na naszą Komendę. Chodziło jej zapewne także o to, żeby nas dezorientować. Macioszkowa wносиła kompot w szklankach na stół dość wcześnie przed obiadem i umieszczenie tam klucza nie przedstawiało dla Halinki żadnego ryzyka.

- Przypomnieliście mi o strzale w „Izolatce” - ożywiłem się. - Strzelała Storówna, prawda?

Trepka skinął głową.

- Ale dlaczego to zrobiła? - zapytałem.

- Na to pytanie właściwie odpowiedziałem już wtedy w Warszawie. To była próba.

- Próba?

- Trzeba, mój chłopcze, zrozumieć stosunek Michała do całej tej historii. Krótko mówiąc, Michał miał od początku do końca pietra. Tchórzył, nie wierzył w powodzenie, obawiał się wpadki. Cóż więc robi nasza dzielna Halinka? Ma ona, jak wiesz, dużo fantazji i tupetu, za to mało skrupułów. Inscenizuje więc zamach na niby, żeby udowodnić słabemu duchem Michałowi, że potrafi działać bezkarnie i drwi sobie z milicji.

Próba wypadła pomyślnie. Nikt się niczego nie domyślał. Michał nabrał animuszu i uwierzył w Halinkę. Na domiar złego zdarzyło mu się wtedy rozbić samochód i wpaść w tarapaty, więc całą nadzieję pokładał w dziewczynie. Dopiero krytycznego wieczoru znów go obleciał strach. W ostatniej chwili postanawia wycofać się z interesu, telefonuje do ojca i umawia się z nim na rozmowę. Stary Kasica przybywa na wezwanie. Michał przedstawia mu swoje kłopoty i prosi o pomoc. Ale ojciec nie ma pieniędzy i w ostrych słowach odmawia. To już chyba wszystko, co chciałeś wiedzieć - uśmiechnął się Trepka.

- Do licha, kapitanie, nie żartujcie! Przecież nie powiedzieliście mi najważniejszego. W jaki sposób Halinka zabrała rękopisy?

- Z tym miałem największy kłopot - wyznał Trepka. - Może ci się to wyda śmieszne, ale pomogły mi puszki po konserwach.

- Puszki? - spojrzałem na niego z niedowierzaniem.

- Tak, puszki - powiedział Trepka ze śmieszną powagą. - Jak sobie przypominasz, zabroniłem profesorowi Mistralowi przyjąć jakiegokolwiek pokarmu z kuchni, wobec tego profesor zjadł na kolację konserwy. Pamiętasz również, że częstował nas kompotem.

Wypróżniliśmy całą puszkę.

- To prawda.

- Profesor był pedantem i dbał o porządek. Niewątpliwie nie wyrzuciłby puszek za okno, więc powinny się one były znaleźć w koszu na śmieci. Tymczasem kosz był pusty. To mi się od razu bardzo spodobało, przyjacielu. Wiedziałem już, że trzymam byka za rogi. Zadałem sobie pytanie, komu mogły być potrzebne te puszki i w jaki sposób zostały usunięte.

Początkowo nie widziałem żadnego rozsądnego wytłumaczenia. Dopiero gdy stanęło przed nami pytanie, w jaki sposób rękopisy zostały wyniesione z pokoju, skojarzyłem sobie nagle te dwie sprawy: zniknięcie rękopisów i puszek. Gdy pomyślałem trochę, stało się dla mnie jasne, że zabrała je Halinka.

- Halinka?! - wykrzyknąłem zdumiony - kiedyż ona, u diabła, mogła je zabrać?

- Oczywiście po śmierci profesora, kiedy weszła do pokoju z zastrzykiem nowokainy.

- Niemożliwe - zaprzeczyłem - była przecież dokładnie rewidowana przez sierżanta Rojkową. Przed wejściem do pokoju i po wyjściu. Sądzicie, że Rojkowa...

- Nie, Rojkowa niczego nie przeoczyła.

- Więc jak mam to rozumieć?

- Całkiem zwyczajnie. Po prostu Storówna nie miała ich przy sobie.

- Jak to, przecież mówiliście, że wyniosła!

- Nie, przyjacielu, powiedziałem „zabrała”, a nie „wyniosła”. To jest maleńka różnica...

No, zastanów się, co mogła z nimi zrobić wiedząc, że będzie po wyjściu rewidowana.

- Nie wiem... chyba tylko wyrzucić przez okno.

- Słusznie. Wyrzuciła przez okno, za mur.

Milczałem chwilę zaskoczony.

- Czy nie za dużo miała tych czynności do wykonania - rzekłem z wątpliwością - wypłukanie i napełnienie wodą szklanki po wiśniaku, otworzenie okiennic i okna... zamknięcie ich...

- Zapomniałeś jeszcze o wyjęciu gumowych rękawiczek z fartucha profesorskiego i włożeniu ich na ręce, ściągnięciu i schowaniu ich z powrotem do kieszeni... - dodał Trepka. - Jak się bowiem domyślasz po braku odcisków palców, pracowała w rękawiczkach.

Ale zapominasz, że była tam trzy minuty, to sprawdziliśmy dokładnie. A ja założę się z tobą, Pawełku, że potrafisz bez specjalnego pośpiechu zrobić to wszystko nawet jeszcze krócej. Zresztą ona nie bała się czasu. Profesor nie żył już od godziny, co łatwo było stwierdzić, i nikt jej nie mógł podejrzewać, że ona go zamordowała. Jej trudność polegała na czym innym. Był wiatr, a w okładkach znajdowały się luźne kartki. Zresztą w ogóle rękopisy były za lekkie. Obawiała się, zupełnie słusznie, że nie dolecą. Przedtem planowała zapewne zabranie z sobą do pokoju Mistrała jakichś opakowań i balastu. Teraz liczyła się jednak z rewizją. W domu znajdowała się milicja. Musiała więc poradzić sobie w inny sposób. Myślę, że domyślasz się jak.

- Puszeki po konserwach - wykrztusiłem.

- Tak jest, puszeki po konserwach znajdujące się w koszu na śmieci. Gdyby tych puszek tam nie było, kto wie, czy w ogóle kradzież doszłaby do skutku. Ale były. Halinka zapakowała do każdej po jednym rękopisie. Puskę z rękopisem w okładce „Epsilon” wyrzuciła za mur. Dwie następne spuściła na dół pod ścianę willi, gdzie znajdowała się rupieciarnia, a następnego dnia podrzuciła je: ten w okładce „Delta” do płaszcza kąpielowego w łazience, a drugi w okładce „Zeta” Macioszkowej do piekarni. Dziwne, że ani ty, ani Żurko nie zwróciliście uwagi na to, co się stało z puszkami. Może wtedy nie musiałbym odrywać się od sadzenia kapusty - westchnął nieszczercze Trepka. - Tak, mój chłopcze, rękopisy wywędrowały sobie w puszkach. Niestety, jak wiesz, były zamienione. W okładce „Zeta” znajdował się rękopis „Epsilon”, a w okładce „Delta” rękopis „Zeta”.

Dalsze koleje rękopisu „Epsilon” były krótkie i tragiczne. W znanych ci okolicznościach został spalony przez wystraszoną i ogłupiałą Macioszkową. Natomiast jeśli chodzi o rękopis „Zeta”, to zaczęła się zabawa w podkładanie. Jonasz znalazł rękopis „Zeta” w kieszeni swojego płaszcza kąpielowego w łazience i przerażony wsunął go do płaszcza Zapłona. Z kolei Zapłón odpłacił mu się pięknym za nadobne i podrzucił mu rękopis do walizki.

- Czego świadkiem była doktor Protoklicka - dodałem.

- Niekoniecznie - uśmiechnął się Trepka - Protoklicka wcale nie musiała być świadkiem tej sceny, żeby domyślić się, kto podłożył rękopis. Jonasz poinformował ją z pewnością o swej manipulacji i wiedziała, że aktualnym posiadaczem „Zety” był Zapłón. Oskarżyła więc trafnie Zapłona. Tymczasem Jonasz znajduje rękopis w swej walizce.

- Chce go się pozbyć i ukrywa go w karmniku dla szpaków, gdzie znajdują go dzieci - zakończyłem.

Trepka wychylił resztę kawy i mówił dalej:

- Wróćmy jednak do tricku z oknem. Trick ten stworzył mi oczy na rolę, jaką w tym wszystkim odegrał Michał Kasica. Jeśli Halinka wyrzuciła dzieło Mistrała przez okno za mur, to znaczy, że za murem musiał czekać wspólnik i ten wspólnik zabrał rękopis. Zapytałem z kolei, kto mógł być tym wspólnikiem. Ktoś, kto tego wieczoru znajdował się w pobliżu, a jednak na zewnątrz „Przystani”. Już wtedy pomyślałem o Michale Kasicy, ale jedna rzecz budziła moje wątpliwości. Michał był człowiekiem lekkomyślnym i mało nadawał się na partnera w tej całej historii. Partnerem Storówny powinien być ktoś, komu mogłaby ufać, człowiek pewny. Dopiero kiedy dowiedziałem się, że Michał kochał Halinkę, wszystko stało się jasne. Jego samobójstwo potwierdziło moje przypuszczenia.

- Samobójstwo?! - wykrzyknąłem.

- Jasne, że samobójstwo. Wprawdzie poszlaki zdawały się wskazywać, że Michała mogła otruć Protoklicka, lecz ja nie miałem ani chwili wątpliwości. Wiedziałem już wtedy, że ona jest poza sprawą i że nie ma żadnego powodu godzić na życie Michała. Powód mógł mieć

tylko zabójca Mistrała. Michał był w takim stanie psychicznym, że zabójca mógł się obawiać wyspy. Lecz zabójcą była przecież Halinka, a ona nie miała wtedy sposobności wrzucić do piwa cyjanku. Wątpię zresztą, czy by się w ogóle na to potrafiła zdobyć. Ona jednak naprawdę kochała tego chłopaka.

Zresztą stan psychiczny Michała i sytuacja, w jakiej się znalazł, wystarczająco tłumaczyły ten desperacki krok. Od chwili śmierci Mistrała Michał nie może wrócić do równowagi. Żyje w panicznym strachu. Nosi się z myślą samobójstwa. Nagle zjawia się milicja i zawozi go do „Przystani”. Wyobraź sobie, jak się przestraszył. W „Przystani” niby się wszystko wyjaśnia, lecz Zapłon wyjawia mu, że widział go w sobotę koło dziesiątej wieczór pod wschodnim murem. Michał jest przerażony. Boi się, że odkryjemy rolę okna w tej całej historii, a przez to zdemaskujemy Halinkę i jego. Postanawia zrezygnować z łupu i ratować skórę. W tym celu wydobywa z ukrycia domniemany rękopis „Epsilon” i podrzuca go do pokoju Mistrała w „Izolatce”, by stworzyć pozory, że w ogóle stamtąd nie był ruszany i że cały czas leżał pod tekturową teką na biurku. Lecz zarazem dowiaduje się wtedy, że zaszła katastrofalna omyłka i że rękopis został zamieniony.

- Jak to, więc dopiero wtedy?! - zdziwiłem się.

- Dopiero wtedy - mruknął Trepka. - W ów sobotni wieczór, zgodnie z planem, gdy tylko Michał dostał w swoje ręce puszkę, ukrył ją natychmiast nie badając jej zawartości. Prawdopodobnie gdzieś koło „Przystani Eskulapa”. Zresztą nie przyszło mu nawet na myśl, że puszka mogła zawierać coś innego.

- Rozumiem teraz jego nagły powrót do „Przystani” w czwartek - powiedziałem - przyjechał zawiadomić Halinkę, wyjaśnić sprawę i odzyskać właściwy rękopis.

- Tak jest, przyjacielu. Lecz rękopis „Epsilon” już nie istnieje. W piekarni natrafiają na jego zwęglone szczątki. Michał wpada w stan krańcowej depresji...

- W dodatku Żurko chce go wziąć na przesłuchanie.

- Tak jest. Żurko chce go wziąć na przesłuchanie. Michał boi się, że się załamie. Nie chce wydać Halinki. Nie może znieść myśli, że będzie zdemaskowany jako współnik zbrodni. I kończy z sobą.

Rozdział XXXII

Milczałem długo przetrawiając całą historię, miotany sprzecznymi uczuciami żalu, upokorzenia i podziwu dla Trepki.

- A jednak - powiedziałem - to wszystko nie było takie proste. - Jesteście zbyt skromni, kapitanie, to przecież była piekielna historia.

- Rzecz jasna - odrzekł Trepka - to wymagało studium... i znajomości alfabetu greckiego - zażartował nie bez uszczypliwości. - Ale ja mam, jak wiesz, swoją filozoficzną metodę. Moim patronem jest czcigodny mędrzec Diogenes, który chodził z latarką po mieście bełkocząc: „*hominem quaero*”. W tym wypadku tym *homo* to byłeś ty. Nie patrz tak na mnie, mój chłopcze, to prawda, ty mi najbardziej pomogłeś.

Jak zwykle, nie wiedziałem, czy Trepka kpi sobie ze mnie, czy też mówi poważnie. Nie zdołałem dotąd rozgryźć dziwaczного stylu kapitana. Na wszelki wypadek zaprotestowałem.

- Ależ tak, mój chłopcze - Trepka klepnął mnie rubasznie po łopatkach. - Kiedy w splątanym kłębku tej piekielnej sprawy szukałem mojej czerwonej niteczki, kiedy swoim zwyczajem, zadawałem sobie pytanie: co w stosunkach między ludźmi z „Przystani” jest nie w porządku, zaraz odpowiedziałem sobie: wasza miłość lub ściślejszy stosunek panny Stor do ciebie.

- Co chcecie przez to powiedzieć? - szepnąłem.

- Miłość tej kobiety do ciebie wydała mi się rażąca i absurdalna.

Oblałem się rumieńcem.

- Nie gniewaj się, mój chłopcze - ciągnął Trepka - ja wiem, że masz dużo zalet, natura wszakże poskąpiła ci jednej, o czym przekonasz się najlepiej patrząc uważnie w lusterko. Nie, broń Boże, nie mówię, że nie zainteresujesz żadnej kobiety. Ale jesteś w tym szczęśliwym położeniu, że spodobać się możesz tylko niezwykle szlachetnej istocie, która potrafi ocenić twe wewnętrzne zalety. Zaręczam ci, że jeśli kiedyś poślubisz kobietę, będzie to z pewnością anioł. Jesteś bezpieczny, przyjacielu! Stanowczo bezpieczny, i wielu powinno ci zazdrościć. Dlatego, jak powiadam, pomyślałem sobie: coś nie jest w porządku, że takim człowiekiem, jak mój przyjaciel Dziarmaga, zajmuje się taka kobieta jak Halinka i zadałem sobie pytanie: Dlaczego to robi?

Początkowo myślałem, że dla zabawy i kaprysu, że chce mieć w bukiecie swych ofiar najbrzydszego z poruczników milicji, lecz rychło połapałem się, że to nie jest zabawa. Biedaczka wkładała w to „uczucie” zbyt dużo trudu i samozaparcia. Ty nawet nie zdajesz sobie sprawy, ile ona poświęciła dla ciebie. Żeby ci się spodobać przestała być sobą, gdyż wiedziała, że ty nie pokochałbyś, Pawełku, Haliny Stor takiej, jaką ona była naprawdę, bezwzględnej i wyrachowanej.

Zacząła więc grać rolę istoty słabej, przewrażliwionej, naiwnej i słodkiej, żeby wyzwolić w tobie opiekuńcze instynkty.

I to mnie uderzyło jako psychologiczny fałsz. Gdyż z tego, co o niej mówiono, z jej życiorysu i całej przeszłości wyłaniała się inna sylwetka - jednostki energicznej, śmiałej i sprytnej.

Dlatego zapytałem, po co ta maskarada. A cel był prosty! Nie, nie chodziło jej tylko o maskowanie swojego prawdziwego charakteru. Była winna i chciała się zabezpieczyć. Trzymała cię, że tak powiem, jako żelazną rezerwę, na wypadek gdyby jej się grunt zaczął palić pod nogami. Wtedy miałaś jej posłużyć w charakterze ostatniej deski ratunku.

To wszystko. Resztę znajdziesz u Hałastry w gazecie.

Trepka wstał i spojrział na mnie zmartwiony.

- Otrząśnijże się wreszcie, przyjacielu. Pamiętaj, co mówiłem o świadomości zablokowanej. Twoja rola w tej sprawie była przecież pozytywna. To prawda, że mogliśmy działać więcej, ale los nie dał nam być zbawcami świata. Zostawmy to innym i uprawiajmy dalej nasz skromny ogródek.

Poklepał mnie po zgarbionych plecach i odszedł do wozu.

Nie wiem, jak długo siedziałem pogrążony w czarnych myślach. Drgnąłem dopiero na dźwięk szkła. To doktor Zapłon przysiadł się do mnie z koniakiem.

- Cóż to z wami, chandra? Obywatel blacharz cierpi za świat? Rozumiem! Chcieliśmy zachować wiarę w dziesięciu sprawiedliwych w „Przystani”. Ale to za wielkie wymagania, poruczniku - zaszydził - już nawet w czasach Sodomy było o to za trudno. Wystarczy jeden, dwu, na przykład ja.

Spojrzałem na niego podejrzliwie. Do licha, czy po to tu został, żeby się nabijać ze mnie? Mówił poważnie, czy też mnie przejrzał?

Jakby odgadując moje myśli Zapłon zaśmiał się, wstał i szczelniej otulił w płaszcz.

- Ale dmucha, psiakrew. Jeszcze widać za wcześnie na wiosnę i wysiadywanie pod parasolem. Pogoda w tym roku kpi z nas niesamowicie.

- Mówią, że to od doświadczeń termojądrowych - mruknąłem.

- Rzeczywiście tak mówią.

Postawiliśmy kołnierze. Dał wiatr przenikliwy, bezlitosny. Czulem go przez płaszcz.

WYDANIE II

WYDAWNICTWO MINISTERSTWA OBRONY NARODOWEJ

Okładkę projektowały JERZY TREUTLEH

Redaktor techn.: Helena Malczewska

Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej

Warszawa 1962. Wydanie II

Printed in Poland

Nakład 20.000 egz. Obj.: 13,75 ark. wyd.8, ark druk. Papier: d:rUk. mat VH kl. 60 g, format: 70 x 10032 z Myszowskich Zakładów Papierniczych. Oddano do składu 21.VIII.1962 r Podpis, do druku 20.XL1962 r. Druk ukończono w grudniu 1962 r. Zam. nr 977 z dn. 29.Vin.1962 r, Wojskowe Zakłady Graficzne W Warszawie. H-61, Cena zł 15.-